

Agatha Christie

Trzynaście zagadek

The Thirteen Problems

Tłumaczyła: Maria Weiss

TMN

TMN

Agatha Christie

Trzyście zagadek

The Thirteen Problems

Tłumaczyła: Maria Weiss

Klub wtorkowych spotkań

— Nie rozwiązane zagadki...

Raymond West wydmuchnął kłęb dymu i powtórzył raz jeszcze, z widoczną przyjemnością:

— Nie rozwiązane zagadki.

Rozejrzał się wokół z zadowoleniem. Pokój, z szerokimi czarnymi belkami u sufitu, urządony był starymi, solidnymi meblami, które pasowały do wnętrza.

Raymond jako pisarz lubił atmosferę domu ciotki Jane, który zawsze uważał za właściwą oprawę dla jej osobowości. Spojrzał na drugą stronę kominka, gdzie w dużym fotelu po dziadku siedziała wyprostowana ciotka. Panna Marple ubrana była w gęsto marszczoną w talii czarną suknię z brokatu, której przód zdobiły belgijskie koronki spływające spod szyi. Na suknię miała narzuconą czarną koronkową mantylkę i taki sam czepek przykrywał jej śnieżnobiałe, upięte do góry włosy.

Robiła na drutach coś białego, miękkiego i puszystego. Jej dobrotliwe, wyblakłe niebieskie oczy spoglądały z łagodną przychylnością na siostrzeńca i jego gości.

Najpierw spoczęły na Raymondzie, nieco zarozumiałym młodym człowieku, potem na Joyce Lemprière, artystce z krótko przyciętymi czarnymi włosami i piwnymi oczami, a następnie przeniosły się na sir Henry'ego Clitheringa, światowca o eleganckim i zadbanym wyglądzie.

W pokoju były jeszcze dwie osoby: doktor Pender, starszawy pastor z tutejszej parafii, i pan Petherick, adwokat, niski i zasuszony mężczyzna, mający zwyczaj spoglądać znad okularów.

Panna Marple każdego z nich obrzuciła krótkim spojrzeniem i uśmiechając się łagodnie powróciła do swej robótki.

Pan Petherick odkaslnął sucho, jak zwykle zanim zaczął mówić.

— Co takiego mówisz, Raymondzie? Nie wyjaśnione zagadki? Hm... O co chodzi?

— O nic — rzekła Joyce Lemprière. — Raymond po prostu lubi słuchać swego głosu.

Raymond West posłał jej spojrzenie pełne wyrzutu, na co Joyce roześmiała się odrzucając w tył głowę.

— Raymond jak zwykle kocha mącić. Prawda, panno Marple? — powiedziała. — Zresztą pani z pewnością zna go od tej strony.

Ciotka Jane uśmiechnęła się do niej uprzejmie, ale nic nie odpowiedziała.

— Życie samo w sobie jest nie wyjaśnioną zagadką — sentencjonalnie odezwał się pastor.

Raymond wyprostował się na krześle i gwałtownym ruchem zgasił papierosa.

— Wcale nie to mam na myśli! Nie uprawiam filozofii — powiedział. — Myślałem po prostu o takich sprawach, które się wydarzyły i których nikt nigdy nie wyjaśnił.

— Znam właśnie wypadek tego rodzaju, kochanie — rzekła panna Marple. — Na przykład wczoraj rano pani Carruthers zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Kupiła pół kilo krewetek u Elliota. Wstąpiła jeszcze do dwóch innych sklepów, a gdy wróciła do domu, spostrzegła, że nie ma krewetek. Wróciła więc do tych sklepów, ale jej krewetki zniknęły.

Osobiście wydaje mi się to bardzo, zagadkowe.

— Podejrzana historia — z powagą zauważył sir Henry.

— Oczywiście, jest mnóstwo możliwych rozwiązań — ciągnęła panna Marple, a policzki jej zaróżowiły się z przejęcia. — Na przykład ktoś inny...

— Droga ciociu — przerwał Raymond z nutą rozbawienia. — Mnie nie chodzi o tego typu drobne incydenty. Myślałem o morderstwach lub wypadkach zaginięcia — o sprawach, o których sir Henry mógłby opowiadać godzinami, jeśli tylko by zechciał.

— Nie mogę zdradzać tajemnic służbowych. Nigdy nie mówię o swej pracy — stwierdził skromnie sir Henry, który do niedawna jeszcze pracował jako komisarz w Scotland Yardzie.

— Przypuszczam, że wiele zbrodni i innych spraw nigdy nie zostało wyjaśnionych przez policję — powiedziała Joyce.

— Tak, to chyba ogólnie znana prawda — odparł pan Petherick.

— Zastanawiam się, jaki umysł radzi sobie najlepiej z rozwikłaniem zagadki — rzekł

Raymond West. — Zawsze mam wrażenie, że działanie policji ograniczone jest przez brak wyobraźni.

— To punkt widzenia laika — odparował komisarz sucho.

— Ty naprawdę chcesz stać się wyrocznią, Raymondzie? W sprawach psychologii i wyobraźni należy wysłuchać pisarza... — mówiąc to Joyce uśmiechnęła się ironicznie i skłoniła w jego stronę, ale ten pozostał poważny.

— Sztuka pisarska pozwala wniknąć w naturę ludzką i dostrzec motywy, które zwykły śmiertelnik mógłby pominąć.

— Wiem, kochanie, że twoje książki są bardzo uczone — wtrąciła panna Marple. — Ale czy

naprawdę uważasz, że ludzie są tak niedobrzy, jak ich przedstawiasz?

— Moja droga ciociu, trwaj przy swoich przekonaniach. I niebo niech mi wybaczy, gdybym w jakiś sposób nimi zachwiał — odparł Raymond wycofując się z dyskusji.

— Wydaje mi się, że wielu ludzi nie jest ani dobrych, ani złych, ale cóż, po prostu bardzo głupich...
— rzekła starsza pani marszcząc czoło podczas liczenia oczek na drutach.

Pan Petherick znowu odkaszlnął.

— Czy nie uważasz, Raymondzie, że zbyt wielką wagę przywiązujesz do wyobraźni? To bardzo niebezpieczne i my, prawnicy, wiemy o tym najlepiej. Jediną logiczną metodą zgłębienia prawdy jest bezstronne rozpatrzenie faktów i dowodów. I mogę dodać, że w mojej pracy tylko ta metoda daje właściwe efekty.

— Ha! — wykrzyknęła Joyce odrzucając w tył głowę. — Założę się, że jako detektyw pobiłabym was na głowę! Jestem nie tylko artystką, ale i kobietą — a mówcie, co chcecie, ale my kobiety mamy intuicję, której brakuje mężczyznom. Dostrzegamy więc rzeczy, których wy nie możecie zobaczyć. A poza tym jako artystka miałam do czynienia z różnymi ludźmi w rozmaitych warunkach. Znam życie z innej strony, niż może je znać droga panna Marple.

— Nie wiem, czy jest tak, jak mówisz, kochanie — rzekła starsza pani. — W małych miasteczkach zdarzają się czasami bardzo ciekawe i niepokojące sprawy.

— Czy mogę coś powiedzieć? — zapytał pastor z uśmiechem. — My, duchowni, obecnie nie mamy wpływu na wiele spraw, ale za to wiemy o różnych rzeczach, bo znamy tajniki duszy ludzkiej, która jest jak zamknięta księga dla świata zewnętrznego.

— Wydaje mi się — zwróciła się Joyce do zebranych — że stanowimy całkiem ciekawą grupę. A może byśmy tak założyli klub?... Jaki to dzisiaj dzień? Wtorek? Moglibyśmy nazwać go... Klubem Wtorkowych Spotkań. Co tydzień będziemy się tu zbierać i każdy przedstawi jakąś zagadkową sprawę, którą zna osobiście i wie, jakie jest jej rozwiązanie. A więc, ile mamy osób? Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... A powinno przecież być nas sześcioro!...

— Zapomniałaś o mnie, kochanie — uśmiechnęła się panna Marple.

Joyce zawahała się przez moment, po czym wykrzyknęła pospiesznie:

— Wspaniale, panno Marple! Po prostu nie sądziłam, że zechce pani przyłączyć się do zabawy.

— Uważam, że może być bardzo ciekawa — stwierdziła starsza pani. — Zwłaszcza, że tak wielu mądrych ludzi weźmie w niej udział. Obawiam się, że nazbyt dobrze znam się na takich sprawach, ale życie w St. Mary Mead przez tyle lat dało mi możliwość poznania natury ludzkiej z różnych stron.

— Jestem przekonany, że pani współpraca okaże się bardzo cenna — dorzucił z kurtuazją sir Henry.

— Kto zacznie? — zapytała Joyce.

— Sądzę, że nie ma co do tego wątpliwości — rzekł doktor Pender. — Jeśli mamy okazję gościć pośród nas tak znakomitego detektywa, jak sir Henry... — Zawiesił głos i skłonił się w kierunku komisarza.

Ten milczał przez chwilę, po czym westchnął i prostując się w fotelu powiedział:

— Jest mi nieco trudno wybrać odpowiedni przypadek, sądzą jednak, że znam taką sprawę, która ściśle odpowiada naszym regułom. Być może sami natknęliście się na wzmiankę o niej w prasie zeszłego roku. Sprawa ta, nie wyjaśniona, została odłożona *ad acta* i jak to nieraz bywa, rozwiązano ją przypadkiem, o czym dowiedziałem się niedawno.

Fakty są bardzo proste. Troje ludzi zasiadło do kolacji, która między innymi składała się z ostryg z puszki. Tej samej nocy wszyscy zachorowali i wezwano pośpiesznie lekarza. Dwie osoby odratowano, trzecia zmarła.

— Mhm... — mruknął Raymond.

— Jak powiedziałem, fakty są bardzo proste. Stwierdzono, że śmierć nastąpiła na skutek zatrucia pokarmowego i na tej podstawie wydano świadectwo zgonu. Ale na tym sprawa się nie skończyła.

Panna Marple pokiwała głową.

— Przypuszczam, że jak zwykle zaczęto plotkować — powiedziała.

— A teraz muszę przedstawić uczestników dramatu — ciągnął komisarz. — Małżeństwo nazwijmy państwem Jones, a towarzyszkę pani Jones — panną Clark. Pan Jones pracował

jako komiwojażer w firmie chemicznej. Był to mężczyzna przystojny, lat około pięćdziesięciu, jowialny i bardzo żywotny. Jego żona była kobietą raczej przeciętną, o pięć lat młodszą od męża. Towarzyszka jej, panna Clark, kobieta sześćdziesięcioletnia to osoba tęga i pogodna, o czerstwej, rumianej twarzy. Jak więc sami widzicie, nic specjalnie ciekawego nie można o nich powiedzieć.

Kłopoty zaczęły się w dość dziwny sposób. Poprzedzając wypadki noc Jones spędził w małym hotelu, gdzie zwykle zatrzymywał się będąc w Birmingham. Pokojówka sprzątając jego pokój wymieniała bibułę na biurku. Nie mając wiele roboty, zabawiała się odczytywaniem w lusterku pisma na zużytym arkuszu bibuły. Było to tuż po tym, jak pan Jones skończył pisać list. Kilka dni później ukazała się w gazetach notatka o śmierci pani Jones na skutek zatrucia ostrygami z puszki. Pokojówka zdradziła wtedy swoim koleżankom, co zdołała odcyfrować. Słowa te brzmiały: „...całkowicie zależny od mojej żony... jeśli umrze, to ja... setki i tysiące...”

Może pamiętacie, że niedługo przed tym wypadkiem dużo mówiło się o sprawie otrucia żony przez męża. Tak więc niewiele trzeba było, by rozniecić wyobraźnię dziewcząt. Według nich Jones rozprawił się z żoną, by odziedziczyć setki i tysiące funtów! A w dodatku jedna z pokojówek miała krewnych, którzy mieszkali w tym samym miasteczku co Jonesowie.

Napisała do nich i z listu dowiedziała się, że Jones interesował się córką miejscowego lekarza, przystojną trzydziestotrzyletnią panną. Wybuchł skandal i sprawa nabrała rozgłosu.

Do Scotland Yardu napłynęło wiele anonimowych listów oskarżających Jonesa o zamordowanie żony. Podobne skargi otrzymała prokuratura.

Teraz mogę się przyznać, że nie przywiązywaliśmy do nich wagi podczas śledztwa —

ciągnął komisarz. — Traktowaliśmy te denuncjacje jako bezpodstawne plotki zrodzone w mieścinie żadnej sensacji. Pomimo to podjęto decyzję o ekshumacji zwłok, by uspokoić opinię publiczną. Sprawa należała do tych, które wzbudzają podejrzenia mimo braku konkretnych dowodów winy.

W tym wypadku jednak podejrzenia okazały się nadspodziewanie trafne. W wyniku sekcji zwłok wykryto arszenik i stwierdzono, że był bezpośrednią przyczyną śmierci pani Jones. Do Scotland Yardu, współpracującego z miejscowymi władzami śledczymi, należało wykrycie sprawcy.

— Ach! — wykrzyknęła Joyce. — To dopiero zagadka! W sam raz dla nas!

Komisarz podjął opowieść.

— Podejrzenie padło oczywiście na Jonesa. On zyskiwał najwięcej po śmierci żony. Co prawda nie były to setki tysięcy funtów, jak plotkowano, ale całkiem przyzwoita suma ośmiu tysięcy. Jones nie dysponował żadnymi funduszami oprócz tego, co zarobił, a znany był ze skłonności do ekstrawagancji i słabości do kobiet. Delikatnie sprawdziliśmy plotkę o jego domniemanym flircie z córką lekarza. Okazało się, że łączyła ich kiedyś zażyła przyjaźń, ale została zerwana dwa miesiące przed śmiercią pani Jones. Od tamtej pory nie widziano ich razem.

Wynik sekcji zaszokował doktora, którego owej nocy wezwano do udzielenia pomocy ofiarom zatrucia. Zauważył wtedy natychmiast ciężki stan pani Jones i posłał po opium na uśmierzenie bóleści. Pomimo wszelkich starań chorej nie udało się uratować. Lekarz jednak ani przez moment nie widział w tym nic podejrzanego. Był przekonany, że śmierć nastąpiła wskutek zatrucia pokarmowego. Tego wieczora wszyscy troje jedli ostrygi z puszki, sałatę, chleb, masło, ser i biszkopt z kremem. Niestety, nie zostało ani trochę ostryg z kolacji, a puszkę po nich wyrzucono. Doktor na miejscu wypytał młodą służącą, Gladys Linch, czy podane na kolację potrawy były świeże. Z trudem udało mu się uzyskać rzeczowe odpowiedzi od zapłakanej i wzburzonej dziewczyny. Stale jednak powtarzała, że ostrygi były na pewno świeże.

Takie były fakty, na których opierało się dochodzenie. Wydawało się, że zabójczy arszenik nie mógł być podany w żadnej potrawie na kolację, gdyż wszystkie trzy osoby jadły to samo. Pan Jones również. Poza tym jeszcze jedna okoliczność przemawiała na jego korzyść. Otóż wrócił z Birmingham akurat na kolację, nie miał więc dostępu do jedzenia.

— A co z towarzyszką pani Jones? — zapytała Joyce. — Tą tęgą, dobroduszną kobietą?

— Nie pominęliśmy i panny Clark — zapewnił komisarz. — Była ona jednak raczej poza podejrzeniem ze względu na brak motywu zbrodni. Pani Jones nie zostawiła jej nic w spadku, tak więc przez śmierć swej chlebodawczyni traciła najwięcej, gdyż musiała opuścić dotychczasowe miejsce i poszukać sobie innej pracy.

— To chyba ją wyklucza — z namysłem powiedziała Joyce.

— Wkrótce potem jeden z moich pracowników odkrył ważny fakt — kontynuował

komisarz. — Owego wieczoru po kolacji pan Jones zszedł do kuchni i poprosił o owsiankę dla żony, bo poczuła się niedobrze. Czekał w kuchni, aż służąca przygotuje płatki i sam zaniósł talerz na górę. I to, muszę przyznać, stanowiło zwrot w całej sprawie.

Mecenas Petherick pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Po pierwsze, miał motyw — rzekł wyliczając na palcach. — Po drugie, jako komiwojazer firmy chemicznej miał łatwy dostęp do trucizny.

— I był człowiekiem słabych zasad moralnych — dorzucił pastor.

Raymond West spojrzał na komisarza badawczo.

— Coś się za tym kryje — stwierdził. — Dlaczego więc go nie aresztowano?

Sir Henry uśmiechnął się kątem ust.

— W tym właśnie cały szkopuł. Do czasu wszystko szło gładko, a teraz zaczęły się komplikacje. A Jonesa nie aresztowaliśmy, ponieważ panna Clark zeznała, że to ona zjadła owsiankę zamiast pani Jones!

Podobno poszła do pokoju pani Jones, jak to miała w zwyczaju. Pani Jones siedziała oparta o poduszki, a obok niej stał talerz z owsianką. „Wiesz co, Milly, nie czuję się zbyt dobrze — powiedziała. — Ale to moja wina, bo po co jadłam ostrygi tak późno! Poprosiłam Alberta, by mi przyniósł trochę płatków owsianych, a teraz jakoś nie mam na nie ochoty”.

„Szkoda, żeby się zmarnowały — skonstatowała panna Clark. — Wyglądają tak smacznie i nie mają grudek. Gladys naprawdę zupełnie dobrze gotuje. To dzisiaj rzadkość, gdy młoda dziewczyna umie właściwie przyrządzić owsiankę. Słowo daję, chętnie bym ją zjadła. Jestem taka głodna”...

— Tu muszę dodać — wyjaśnił sir Henry — że panna Clark przeprowadzała właśnie kurację odchudzającą, gdyż niepokoiła się stałym przybieraniem na wadze.

„Naprawdę źle robisz, Milly. Wierz mi! — przekonywała pani Jones. — Jeśli Bóg dał ci tuszę, to znaczy, że masz taka być. Zjedz lepiej te płatki. To ci wyjdzie na zdrowie”. Panna Clark nie dając się dłużej prosić opróżniła talerz. Jak więc sami widzicie, ten dowód przeciwko panu Jonesowi spalił na panewce. Podejrzany list, który pisał w hotelu, również niewiele nowego wniósł do sprawy. Jones, zapytany o słowa odbite na bibule, wyjaśnił bez wahania, że pochodziły z listu do jego brata w Australii. Zwrócił się on z prośbą, by Jones pożyczył mu pieniądze. Ten jednak odpisał, że nie może mu pomóc, gdyż sam nie dysponuje pieniędzmi i jest całkowicie uzależniony od swojej żony, jeśli chodzi o finanse. Gdyby żona nie żyła, byłby oczywiście w stanie mu pomóc, gdyż wtedy on zarządzałby majątkiem.

Wyraził ubolewanie, że nie może oddać przysługi bratu, ale w takiej sytuacji są setki, o ile nie tysiące ludzi na całym świecie.

— A więc śledztwo utknęło w martwym punkcie? — spytał pastor.

— Tak, na tym śledztwo utknęło — powtórzył posepnie komisarz. — Nie mogliśmy ryzykować aresztowania Jonesa bez żadnych dowodów, na podstawie samych poszlak.

Zapadło milczenie, które przerwała Joyce.

— I to już koniec? — zapytała.

— Taki jest stan śledztwa z zeszłego roku. Prawdziwe rozwiązanie zna Scotland Yard od niedawna, a za dwa lub trzy dni będziecie mogli i wy przeczytać o tym w gazetach.

— Prawdziwe rozwiązanie — powtórzyła z namysłem Joyce. — Ciekawa jestem, jakie będzie... Tymczasem my spróbujmy się tym zająć. Wszyscy zastanowimy się przez pięć minut, a potem każdy poda swoją wersję.

Raymond West zaczął mierzyć czas na zegarku. Gdy pięć minut minęło, podniósł wzrok na pastora Pendera.

— Może pan zacznie, pastorze?

Starszy pan potrząsnął głową.

— Muszę się przyznać, że jestem w kropce — powiedział. — Czuję, że na pewno mąż jest w to jakoś zamieszany, ale zupełnie nie rozumiem, jak mógł podać truciznę. Musiał to zrobić w jakiś nowy, nie znany dotąd sposób i szczerze się dziwię, że w ogóle zdołano to wykryć po tak długim czasie.

— Joyce?

— Ta towarzyszka! — rzuciła zdecydowanie. — Tylko ona! Cóż możemy wiedzieć o motywach, którymi się kierowała? To, że była tęga i brzydka, wcale nie znaczy, że nie mogła się skrycie kochać w panu Jonesie. Mogła też nienawidzić jego żony z jakiegoś innego powodu? Pomyślcie tylko, co to znaczy być osobą do towarzystwa — zawsze zmuszać się do uśmiechu, przytakiwać wszystkiemu, tłumić własne uczucia i urazy. Któregoś dnia, nie mogąc znieść tego dłużej — zabiła. Prawdopodobnie wsypała arszenik do owsianki, a ta cała historia, że sama ją zjadła, jest wyssana z palca.

— Pan Petherick?

— Jeśli mam wydać sąd opierając się tylko na tych faktach, wolałbym wstrzymać się od głosu.

— Ależ musi pan coś powiedzieć — nalegała Joyce. — Nie może pan wstrzymać się od głosu! Pan również jest detektywem w naszej zabawie.

— Na podstawie tych faktów niewiele można wywnioskować — rzekł z powątpiewaniem adwokat. — Co prawda, znam wiele wypadków tego typu i osobiście uważam, że to osoba panny Clark jest kluczem do całej sprawy, choć bezpośrednio winien jest mąż. Z takich czy innych powodów ona celowo osłania Jonesa w zeznaniach. Może zawarli jakiś układ finansowy? On mógł przypuszczać, że będzie głównym podejrzanym. Ona zaś, chcąc zabezpieczyć sobie starość, mogła się zgodzić na zapewnienie mu alibi swoją historyjką o owsiance w zamian za jakąś przyzwoitą sumkę. Gdybym jednak zgadł, byłoby to bardzo nietypowe rozwiązanie. Naprawdę rzadko spotykane.

— Nie zgadzam się z wami! — zachnął się Raymond. — Wszyscy pominęliście najważniejszą osobę. Córkę lekarza! Przedstawię wam moją wersję wydarzeń. Ostrygi z puszki były nieświeże. To tłumaczy objawy zatrucia. Posłano po lekarza. Znajduje on panią Jones w ostrych boleściach, bo zjadła najwięcej ostryg. Postanawia więc podać, jak wiemy, pigułki uśmierzające ból. Nie idzie sam, lecz kogoś po nie wysłał. Kto wydaje opium?

Oczywiście jego córka! Bardzo możliwe, że to ona sporządza leki dla ojca. Jest zakochana w Jonesie i oto otwiera się przed nią szansa. Uświadamia sobie, że teraz ma okazję uwolnić go od żony. Pigułki, które daje posłańcowi, zawierają czysty arszenik. Uważam, że to jest właściwe rozwiązanie.

— A jak było naprawdę? — nie wytrzymała Joyce.

— Chwileczkę, jeszcze panna Marple nie przedstawiła swojej wersji — powstrzymał ją komisarz.

Starsza pani poruszyła się niespokojnie.

— O, mój Boże! Tak się przejęłam tą historią, że znowu opuściłam jedno oczko! To przykra sprawa, bardzo, przykra... Przypomina mi starego pana Hargravesa, który mieszkał w Mount. Jego żona niczego nie podejrzewała aż do chwili, gdy zmarł zostawiając wszystkie pieniądze kobiecie, z którą miał pięcioro dzieci, a która niegdyś była u nich służącą. „Taka miła dziewczyna — zwykła była mawiać pani Hargraves. — I naprawdę można jej wierzyć, że codziennie prześciele materace. Z wyjątkiem piątku, oczywiście!”

Potem ta dziewczyna rzuciła u nich pracę i zamieszkała w sąsiednim miasteczku, a pan Hargraves stale u niej bywał, co nie przeszkodziło mu być kościelnym i każdej niedzieli obnosić tacy podczas mszy.

— Droga ciociu Jane — przerwał jej niecierpliwie Raymond. — Cóż wspólnego ma zmarły Hargraves z naszą sprawą?

— Te obydwie historie natychmiast mi się skojarzyły — odparła panna Marple. — Fakty są bardzo zbliżone, nieprawda? Przypuszczam, że w naszej sprawie ta biedna dziewczyna wyznała wszystko na spowiedzi i w ten sposób prawda wyszła na jaw. Czy tak, sir Henry?

— Jaka dziewczyna? — wykrzyknął ze zdziwieniem Raymond. — Ciociu kochana, o kim ty mówisz?

— O służącej Gladys Linch, oczywiście. Była przecież tak ogromnie wzburzona, gdy doktor z nią rozmawiał. Biedactwo! Mam tylko nadzieję, że ten niegodziwiec Jones zostanie powieszony za to, że

zrobił z niej morderczynię. Ale obawiam się, że i tą małą spotka ten sam los.

— Pani chyba się myli, panno Marple... — zaczął pan Petherick, ale starsza pani potrząsnęła z uporem głową i spojrzała prosto na komisarza.

— Mam rację, prawda? To wydaje się tak oczywiste. Te setki i tysiące — i biszkopt z kremem — przecież nie można tego nie powiązać.

— A cóż to ma wspólnego?! — wykrzyknął Raymond.

Ciotka zwróciła się w jego stronę.

— Kucharki zwykle układają mnóstwo różności na biszkopcie z kremem, kochanie. Takie małe cudeńka z cukru. Nie darmo biszkopty nazywane są ciasteczkami „setnej i tysięcznej niespodzianki”. Tak więc gdy usłyszałam, że na kolację był również biszkopt i że Jones pisał

do kogoś o setkach i tysiącach, natychmiast skojarzyłam te dwie sprawy. I tam właśnie był

arszenik — w tych „niespodziankach”. Jones spreparował je wcześniej i polecił służącej ułożyć na biszkopcie.

— Ale to niemożliwe — rzuciła Joyce. — Przecież wszyscy jedli to samo!

— Ach, nie — sprostowała panna Marple. — Jak pamiętacie, panna Clark odchudzała się, a wtedy nie jada się słodczy, a pan Jones na pewno odłożył „niespodzianki” i zostawił je na talerzu. To naprawdę było sprytnie uknute, ale bardzo niegodziwe.

Obecni utkwili oczy w komisarzu.

— To bardzo dziwne — rzekł z wolna sir Henry — ale panna Marple utrafiła w sedno.

Pan Jones, jak się to mówi, wpędził dziewczynę w kłopoty. Gladys była bliska rozpacz.

Obiecał jej małżeństwo w razie śmierci żony. Jones spreparował dodatki do kremu i pouczył

służącą, jak je ułożyć na biszkopcie. Gladys Linch zmarła tydzień temu. Dziecko nie przeżyło porodu, a Jones opuścił ją dla innej. Tuż przed śmiercią wyznała prawdę.

Zapadła chwila ciszy, a potem Raymond zwrócił się do panny Marple:

— No, ciociu Jane, jedno zero dla ciebie! Nie mogę wprost się nadziwić, jak do tego doszłaś. Mnie nigdy nie przyszłoby do głowy powiązać tej małej kucharki z całą sprawą.

— Być może, kochanie — odparła panna Marple. — Ale ty nie znasz życia tak dobrze jak ja. Pod jednym dachem mężczyzna taki jak Jones, jowialny i rubaszny, i młoda ładna dziewczyna... Jak tylko to usłyszałam, byłam pewna, że nie zostawił jej w spokoju. To wszystko jest bardzo przykre i niemiło o tym mówić. A i pan Hargraves... Trudno wprost wyrazić, jakim szokiem było to dla jego żony i

jaką sensacją dla całego miasteczka...

II

Świątynia Astarte

— Doktorze Pender, a co pan nam opowie?

Wielebny uśmiechnął się łagodnie.

— Wiodę życie spokojne i naprawdę niewiele w nim się dzieje — powiedział. — Ale raz, w czasach mej młodości, zdarzyło mi się coś bardzo dziwnego i tragicznego zarazem.

— Aa... — zachęcająco mruknęła Joyce Lemprière.

— Nigdy tego nie zapomnę — ciągnął pastor. — Wywarło to na mnie wówczas głębokie wrażenie, a i dzisiaj, gdy sobie przypominam to zdarzenie, znów odczuwam to samo przerażenie i lęk co wtedy, gdy ujrzałem człowieka powalonego przez śmierć bez udziału jakiegokolwiek żywej istoty.

— Ciarki mnie przechodzą — rzekł sir Henry.

— Tak właśnie i ja się czułem — odparł pastor. — Od tamtego czasu już nigdy nie wyśmiewałem ludzi, którzy używają słowa „atmosfera”. Istnieje bowiem coś takiego. Tak jak istnieją miejsca opanowane przez dobre lub złe moce.

— Znam taki nieszczęśliwy dom — wtrąciła panna Marple. — Najpierw stary pan Smithers doszczętnie zbankrutował i musiał się wyprowadzić. Potem zajęli go państwo Carslake i Johnny złamał nogę spadając ze schodów, a pani Carslake musiała wyjechać na południe Francji dla poratowania zdrowia. Teraz mieszkają tam państwo Burden... i oto dowiedziałam się, że biedny pan Burden ma być na dniach operowany.

— Sądzę, że jest stanowczo za wiele przesądów na ten temat — rzekł pan Petherick. —

Nierozważnym rozprzestrzenianiem bzdurnych pogłosek można znacznie obniżyć wartość domu.

— Znam parę „duchów” o całkiem krzepkim wyglądzie... — zachichotał sir Henry.

— Uważam, że powinniśmy pozwolić mówić pastorowi — zauważył Raymond.

Joyce wstała z krzesła i zgasiła światło. Tylko migocący na kominku ogień rozjaśniał pokój.

— Nastrój — wyjaśniła. — A teraz słuchamy.

Doktor Pender uśmiechnął się do niej, usiadł głębiej w fotelu, zdjął binokle i cichym głosem podjął z wolna opowieść ze swej przeszłości.

— Nie wiem, czy ktokolwiek z państwa zna wyżynę Dartmoor. Miejsce, o którym mówię, położone

jest na jej granicach. Mimo iż to piękna posiadłość, przez parę lat nie znalazł się na nią żaden nabywca. W zimie było tam może trochę ponuro, ale za to krajobraz był urzekający, a i sam dom miał pewne zalety.

Kupił go w końcu człowiek nazwiskiem Haydon, sir Richard Haydon. Znałem go z czasów college'u i choć straciłem z oczu na jakiś czas, nasza przyjaźń przetrwała. Tak więc z prawdziwą przyjemnością przyjąłem zaproszenie do „Cichej Kępy” — bo tak nazwał świeżo nabytą posiadłość.

W domu przebywało nieliczne grono osób. Oprócz Richarda i jego kuzyna Elliota była tam lady Mannering z córką Violet, bladą i wątłą dziewczyną, oraz kapitan Rogers z żoną, oboje krzepcy i zahartowani, rozmiłowani w koniach i polowaniu. Grupę gości dopełniali młody doktor Symonds i panna Diana Ashley. Tę ostatnią znałem już z gazet, gdyż uznana została za piękność sezonu. Wyglądała rzeczywiście urzekająco. Wysoka, ciemnowłosa, o kremowej cerze, spoglądała spod półprzymkniętych powiek. Skośne oczy nadawały jej twarzy pociągająco orientalny wyraz. Mówiła pięknym dźwięcznym głosem o głębokim brzmieniu. Natychmiast spostrzegłem, że mój przyjaciel Richard jest pod jej urokiem, i domyśliłem się, że całe towarzystwo zostało zebrane tylko jako tło dla niej. Nie byłem natomiast pewny jej uczuć. Kapryśnie rozdzielała łaski. Jednego dnia rozmawiała wyłącznie z Richardem, na innych nie zwracając zupełnie uwagi, kiedy indziej faworyzowała Elliota, a innym znów razem słała uwodzicielskie uśmiechy panu Symondsowi, spokojnemu, małomównemu lekarzowi.

Rankiem w dniu mego przyjazdu gospodarz oprowadził nas po domu. W samym budynku nie było nic specjalnie godnego uwagi. Po prostu solidny gmach zbudowany z dewońskiego granitu, by mógł oprzeć się czasowi i niszczącym siłom przyrody. Nic z romantyzmu starych budowli, ale zapewniał wszelkie wygody. Z jego okien rozpościerała się panorama wrzosowisk położonych na rozległych wzgórzach zwieńczonych skalistymi szczytami.

Na stokach najbliższego wzgórza znajdowały się kamienne kręgi, pozostałości chat z epoki neolitu. Na innym wzgórzu odkopano niedawno kurhan, w którym znaleziono wyroby z brązu. Haydon, niejako znawca starożytności, objaśniał nam wszystko z werwą i ożywieniem.

— To właśnie miejsce — mówił — jest szczególnie bogate w stare znaleziska. Odkryto tu szczątki mieszkańców z epoki neolitu, Druidów, Rzymian, a nawet ślady wczesnych Fenicjan.

Ale najciekawsze jest tamto miejsce. Znacie już jego nazwę — Cicha Kępa. Łatwo chyba zgadnąć, skąd się wzięła.

Wyciągnął rękę. Ta część okolicy była szczególnie pusta, gdzieś tam tylko porosła wrzosem i paprociami. Ale około stu jardów od domu znajdowała się gęsta kępa drzew.

— To pozostałość z bardzo dawnych czasów — rzekł Haydon. — Wiele drzew obumarło i zostało wyciętych, ale na ogół wygląda to tak, jak w zamierzchłej przeszłości. Być może jak wtedy, gdy mieszkali tu Fenicjanie. Chodźcie i spójrzcie na to miejsce.

Poszliśmy za nim. Gdy weszliśmy między drzewa, ogarnęło mnie dziwne przygnębienie.

Sądzę, że z powodu ciszy. Wydawało się, że wśród drzew nie ma ani jednego ptasiego gniazda. Wokół panowała martwota i groza. Spostrzegłem, że Haydon patrzy na mnie z dziwnym uśmiechem na ustach.

— Jak odbierasz to miejsce, Pender? — zapytał. — Czujesz wrogość? A może niepokój?

— Nie podoba mi się tutaj — powiedziałem spokojnie.

— I masz do tego pełne prawo. To jest twierdza jednego ze starożytnych wrogów twojej wiary. Zagajnik ten poświęcony jest Asztarte.

— Astarte?

— Astarte, Isztar, Asztoret czy jakkolwiek inaczej zechcecie ją nazywać. Mnie osobiście najbardziej odpowiada fenicka nazwa. Zdaje mi się, że jest jeszcze jeden zagajnik Asztarte w tych stronach, na północnej ścianie zbocza. Co prawda nie mam na to żadnego dowodu, ale wierzę, że właśnie tutaj, nie gdzie indziej, znajduje się prawdziwe i autentyczne miejsce kultu Asztarte. Tu, pośród tego gąszczu drzew odprawiano rytualne obrzędy.

— Rytualne obrzędy... — wyszeptała Diana Ashley. Jej oczy z rozmarzeniem wpatrywały się w dal.

— Ciekawa jestem, jak też mogły wyglądać?

— Nie cieszyły się pewnie dobrą sławą — zarechotał głośno kapitan Rogers. — Myślę, że musiało to być nie byle co!

Haydon zdawał się nie zwracać na niego uwagi.

— Pośrodku zagajnika powinna być świątynia — powiedział. Nie chodzę tam, ale wyobrażani sobie, jak może wyglądać.

W tym momencie weszliśmy na małą polankę. Pośrodku znajdowało się coś na kształt altany z kamienia. Diana Ashley spojrzała badawczo na Haydona.

— To właśnie jest miejsce kultu Asztarte — powiedział. — Jej świątynia.

Wprowadził nas do środka, gdzie na prostym hebanowym filarze spoczywała dziwna figurka przedstawiająca kobietę siedzącą na lwie. Na głowie miała rogi w kształcie księżyca.

— Astarte Fenicjan — wyjaśnił Haydon. — Bogini księżyca.

— Bogini księżyca! — wykrzyknęła Diana. — Och, urządzmy dzisiaj wieczorem szalone party. Bal kostiumowy. Przyjdziemy tutaj, gdy wzejdzie księżyc, i odprawimy rytuał ku czci Astarte.

Poruszyłem się gwałtownie. Elliot odwrócił się szybko.

— Nie podoba się panu pastrowi ten pomysł? — zapytał.

— Nie, nie podoba mi się — potwierdziłem poważnym tonem.

Elliot spojrzał na mnie z ciekawością.

— Ależ to tylko żarty. Dick przecież nie wie na pewno, czy właśnie ten zagajnik był miejscem kultu Astarte. Tylko się domyśla. I usilnie chce w to wierzyć. A zresztą choćby nawet...

— To co?

— No cóż — roześmiał się z przymusem. — Pastor nie wierzy przecież w takie rzeczy, prawda?

— Nie rozumiem, dlaczego duchowny powinien w to nie wierzyć.

— Ależ to należy już do prehistorii!

— Nie jestem tego taki pewny — powiedziałem w zadumie. — Wiem tylko jedno.

Niełatwo ulegam nastrojom, ale odkąd wszedłem między te drzewa, ogarnęło mnie przedziwne wrażenie, że zewsząd otaczają mnie jakieś złe moce, i poczułem grozę.

Elliot niespokojnie spojrzał za siebie.

— Tak, jest tu jakoś dziwnie — przyznał. — Chyba rozumiem, co pan pastor ma na myśli, ale sądzę, że to tylko gra naszej wyobraźni. A co pan uważa, doktorze Symonds?

Lekarz przez chwilę milczał, po czym odparł ze spokojem:

— Nie lubię tego miejsca. Nie potrafię określić, dlaczego. Tak czy inaczej nie podoba mi się tutaj.

W tym momencie podeszła do mnie Violet Mannering.

— Nie cierpię tego miejsca! — krzyknęła — nienawidzę! Chodźmy stąd.

Ruszyliśmy naprzód, reszta podążała za nami. Tylko Diana Ashley została w tyle.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem ją stojącą u świątynnego wejścia, wpatrzoną w figurę bogini.

Dzień był niezwykle upalny i pomysł balu kostiumowego spotkał się z ogólną aprobatą.

Zapanowała wesołość, wszyscy szeptali po kątach i sekretnie szyli przebrania. Kiedy zeszliśmy się na kolację, świetnie się bawiliśmy podziwiając stroje. Rogers i jego żona przebrali się za ludzi z epoki neolitu, co wyjaśniło nagłe zniknięcie dywaników sprzed kominka. Richard Haydon wystąpił jako fenicki żeglarz, a jego kuzyn jako herszt rozbójników. Doktor Symonds został kucharzem, lady Mannering przywdziała strój pielęgniarki, a jej córka czerkieskiej branki. Ja ubrałem się w habit zakonnika, choć strój był

niewielce za ciepły na tak upalny wieczór. Diana Ashley zeszła ostatnia i cokolwiek rozczarowała nas

wszystkich. Wystąpiła bowiem w nieforemnym czarnym dominie.

— Nieodgadniona... Oto jaka naprawdę jestem — rzuciła od niechcienia. — A teraz siadajmy do stołu.

Po kolacji wyszliśmy przed dom. Wieczór był ciepły i bezwietrzny, właśnie wschodził

księżyc. Spacerowaliśmy rozmawiając, czas mijał niepostrzeżenie szybko. Jakąś godzinę później zdałem sobie sprawę, że nie ma wśród nas Diany Ashley.

— Z pewnością poszła się położyć — powiedział Richard Haydon.

Violet Mannering potrząsnęła przecząco głową.

— Ależ nie. Widziałam ją, jak szła w tamtym kierunku jakieś piętnaście minut temu —

wskazała kępę drzew rysujących się czarno w świetle księżyca.

— Ciekawe, co ona knuje — zainteresował się Haydon. — Założę się, że znów wymyśliła jakąś diablą psotę. Chodźmy zobaczyć!

Ruszyliśmy gromadnie ciekawi, co też zrobiła panna Ashley. Ja jednak czułem dziwną niechęć do wkroczenia między tą zwartą masę ciemnych drzew. Coś silniejszego ode mnie zdawało się mnie powstrzymywać. Mocniej niż kiedykolwiek ogarnęło mnie przekonanie o nieczystych mocach tego miejsca. Sądzę, że niektórzy z nas doznali takiego samego uczucia, ale nikt nie odważył się do tego przyznać. Drzewa rosły tak gęsto, że nie przedostawał się między nie blask księżyca. Słyszeliśmy różne dźwięki dokoła nas — jakieś westchnienia, szemranie... Było to niesamowite, ale zgodnie z postanowieniem trzymaliśmy się razem.

Nagle wyszliśmy na małą polankę i stanęliśmy jak wryci. Na progu świątyni widniała migocąca postać spowita w przeźroczystą gazę, z dwoma rogami w kształcie księżyca nad masą ciemnych włosów.

— Mój Boże! — wykrzyknął Richard Haydon, a pot zrosił mu czoło.

Ale Violet Mannering rzuciła:

— Przecież to Diana! Cóż ona zrobiła ze sobą... Wygląda tak dziwnie!!

Postać w drzwiach uniosła ręce. Zrobiła krok naprzód i zaintonowała przejmującym głosem:

— Jestem kapłanką Astarte — zanuciła. — Strzeżcie się mego dotyku, bo rękami swymi niosę śmierć!

— Przestań — obruszyła się lady Mannering. — Naprawdę przyprawiasz nas o dreszcze.

Haydon rzucił się w jej kierunku.

— Na Boga, Diano! Jesteś wspaniała!

Moje oczy przyzwyczyły się już do światła księżyca i widziałem teraz wyraźniej. Violet słusznie zauważyła, że Diana wyglądała dziwnie. Jej twarz nabrała zdecydowanie orientalnego wyrazu, oczy zwęziły się i błyszczały jakimś okrucieństwem, a po ustach błąkał

się uśmiech tak dziwny, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem.

— Strzeż się — ostrzegła. — Nie zbliżaj się do bogini! Jeśli ktokolwiek mnie dotknie, padnie martwy!

— Jesteś nadzwyczajna, Diano — wykrzyknął sir Richard. — Ale przestań już. Tak czy inaczej... nie podoba mi się to wszystko.

Ruszył ku niej po trawie, a ona wyrzuciła przed siebie ramię gwałtownym gestem.

— Zatrzymaj się! — krzyknęła. — Jeszcze krok, a czarodziejska moc Astarte porazi cię śmiercią!

Richard Haydon roześmiał się i przyspieszył kroku, gdy ni stąd ni zowąd zawahał się na moment, potem jakby się potknął i runął jak długi. Nie wstał z miejsca, gdzie upadł.

Niespodziewanie Diana zaczęła się histerycznie śmiać. Zabrzmiało to przerażająco w ciszy nocnej.

Elliot rzucił się naprzód.

— Dość już tego! — krzyknął. — Wstawaj, Dick! Wstań!!

Ale Richard Haydon leżał nadal bez ruchu. Elliot podbiegł do niego, przyklęknął obok i powoli odwrócił ciało. Pochylił się nad Richardem, wpatrując się w jego twarz. Potem podniósł się gwałtownie z klęczek.

— Doktorze! — wyszeptał przejmującym głosem chwiejąc się lekko na nogach... —

Doktorze, na miłość boską, proszę tu podejść. On chyba... nie żyje!!

Dr Symonds podbiegł, a Elliot podszedł do nas bardzo wolno. Nie rozumiałem, dlaczego patrzy ciągle na swoje ręce.

W tym momencie Diana krzyknęła dziko.

— Zabiłam go! Och, mój Boże! Nie chciałam przecież, a jednak on nie żyje!

Po czym padła jak martwa na ziemię. Zemdląła.

Pani Rogers wykrzyknęła:

— Och, chodźmy z tego okropnego miejsca — zawodziła płaczliwie. — To straszne!

Elliot ścisnął mnie za ramię.

— To niemożliwe! — wymamrotał. — Mówię księdzu, to niemożliwe! Człowiek nie może zginąć w taki sposób. To... to sprzeczne z jakimikolwiek prawami natury.

Próbowałem go uspokoić.

— To można wytłumaczyć. Pański kuzyn musiał mieć ukrytą wadę serca. Podniecenie i szok...

Elliot przerwał mi w połowie zdania.

— Ksiądz nie rozumie — powiedział. Podniósł ręce do moich oczu, a ja spostrzegłem, że są czymś poplamione.

— To nie szok zabił Dicka! Pchnięto go nożem w serce, ale tego noża nigdzie nie ma!!!

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem. W tym momencie dr Symonds skończył

ogłędziny ciała i podszedł do nas. Był blady i trzął się cały.

— Czy myśmy powariowali? — wyszeptał. — Cóż to za miejsce, jeśli może się tu zdarzyć coś takiego?!

— A więc to prawda?...

Doktor potakująco skinął głową.

— Taka rana powstaje po zadaniu ciosu długim, cienkim sztyletem. Ale tutaj nigdzie nie ma tego rodzaju broni.

Spojrzeliśmy po sobie.

— A może jest? — rozpaczliwie rzucił Elliot Haydon. — Może wypadł z rany i leży gdzieś w trawie. Sprawdźmy!

Na próżno jednak szukaliśmy. Nagle Violet Mannering powiedziała:

— Diana miała coś w ręce, co wyglądało jak sztylet. Widziałam, jak błyszczy, gdy groziła sir Richardowi.

Elliot z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— Nie podszedł przecież na tyle blisko, by mogła go pchnąć.

— W ręce nic nie trzyma — oświadczyła lady Mannering, gdy schyliła się nad leżącą na ziemi dziewczyną. — Na trawie też nic nie ma. Jesteś pewna, że go widziałaś, Violet?

Dr Symonds podszedł do zemdlonej Diany.

— Musimy przenieść ją do domu. Rogers, może nam pan pomóc?

Ruszyliśmy w stronę budynku niosąc nieprzytomną dziewczynę. Następnie wróciliśmy po ciało sir Richarda.

Pastor zamilkł i rozejrzył się po zebranych. Po chwili podjął opowieść.

— Dziś, dzięki detektywistycznej literaturze, lepiej się ludzie orientują, co należy robić w takim wypadku. Każdy urwis z ulicy wie, że ciało należy pozostawić w pozycji, w jakiej zostało znalezione. Ale my wówczas nie mieliśmy o tym pojęcia i przenieśliśmy zwłoki Haydona do jego sypialni. Kamerdynera zaś posłaliśmy po policję na posterunek oddalony około dwunastu mil od domu. Wkrótce potem Elliot odciągnął mnie na bok.

— Niech pan posłucha — powiedział. — Wracam do zagajnika. Muszę znaleźć ten sztylet. Nie daje mi to spokoju.

— O ile w ogóle użyto jakiegokolwiek broni — powiedziałem z powątpiewaniem.

Schwycił moje ramie i potrząsnął gwałtownie.

— Nabił sobie wielebny głowę tymi przesadami, że śmierć Richarda jest nadprzyrodzona.

Cóż, wracam tam, by odkryć prawdę.

Byłem, dziwnie przeciwny postanowieniu Elliota. Robiłem, co było w mej mocy, by odwieść go od tego zamiaru, ale bez rezultatu. Sama myśl o tym gęstym pierścieniu drzew napawała mnie lękiem. Czułem, jak coś ostrzega mnie przed dalszymi nieszczęściami. Ale Elliot był uparty. Sądzę, że sam bał się również, ale nigdy nie przyznałby się do tego. Odszedł

zdecydowany dotrzeć do sedna tajemnicy.

To była okropna noc. Nikt z nas nie spał, nikt nawet nie próbował zasnąć. Gdy przybyła policja, otwarcie uznała całą historię za niewiarygodną. Policjanci bardzo chcieli przesłuchać Dianę Ashley, ale najpierw musieli to uzgodnić z doktorem Symondsem, a ten odrzucił ich żądanie z całą stanowczością. Panna Ashley odzyskała już przytomność, ale spała po zażyciu środka nasennego, który jej zaaplikował. W żadnym wypadku nie wolno jej było niepokoić aż do następnego dnia. Nikt nie spostrzegł nieobecności Elliota. Dopiero nazajutrz, około siódmej rano, dr Symonds zapytał o niego. Gdy wyjaśniłem, gdzie Elliot poszedł, twarz doktora spochmurniała.

— Wolałbym, żeby tam nie szedł. To wielka nieostrożność z jego strony — rzekł z troską w głosie.

— Nie sądzi pan chyba, że mogło mu się stać coś złego.

— Mam nadzieję, że nie. Ale uważam, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy sprawdzić.

Wiedziałem, że doktor ma rację, ale musiałem zebrać wszystkie siły, aby odważyć się na wykonanie tego zadania. Wyruszyliśmy obaj i jeszcze raz weszliśmy w grupę drzew skażoną złymi mocami.

Zawołaliśmy na Elliota dwukrotnie, ale nikt się nie odezwał. W jakieś dwie minuty później dotarliśmy do polanki, która wyglądała upiornie w świetle wczesnego poranka. Symonds złapał mnie nagle za ramię, a ja wydałem zduszony okrzyk. Ostatniej nocy w świetle księżyca widzieliśmy tu zwłoki człowieka leżące twarzą do ziemi. Teraz, w świetle poranka, ten sam widok ukazał się naszym oczom. Elliot Haydon leżał dokładnie tam, gdzie przedtem spoczywało ciało jego kuzyna.

— Boże mój! — szepnął Symonds. — I ten także!!

Podbiegliśmy obaj do leżącego. Był nieprzytomny, ale oddychał słabo. Tym razem nie było wątpliwości, co spowodowało tragedię. W ranie tkwił długi sztylet z brązu, o wąskim ostrzu.

— Na szczęście dostał w ramię, nie w serce — orzekł doktor. — Słowo daję, nie wiem już, co o tym myśleć. W każdym razie żyje i będzie w stanie powiedzieć nam, co się stało.

Ale tego właśnie Elliot Haydon nie mógł zrobić. Jego wyjaśnienia były bardzo niepewne.

Gdy przyszedł wieczorem, daremnie szukał sztyletu. Na chwilę przystanął w pobliżu świątyni i wtedy właśnie odczuł, że ktoś mu się przygląda spomiędzy drzew.

Walczył z tym wrażeniem, ale nie był w stanie go odpędzić. Poczul jakiś dziwny zimny powiew, który zdawał się dobywać nie spomiędzy drzew, ale z wnętrza świątyni. Odwrócił

się w tę stronę. Ujrzał małą postać bogini i pomyślał, że doznaje złudzenia optycznego. Postać ta coraz bardziej rosła. Potem uczył coś jakby uderzenie i padając zapamiętał piekący ból w lewym ramieniu.

Sztylet został rozpoznany. Był identyczny jak ten, który odkopano w kurhanie na wzgórzu i który kupił sir Richard. Nie wiadano jednak, gdzie był przechowywany — w domu czy w świątyni.

Zdaniem policji tak wówczas, jak i zapewne dzisiaj, Richard Haydon został zabity przez pannę Ashley. Wszyscy jednak jako naoczni świadkowie zeznaliśmy, że nie mogła absolutnie tego zrobić, gdyż sir Richard stał około trzech metrów od niej. Policja nie miała żadnych szans, by oskarżyć ją o to morderstwo. Tak więc śmierć mego przyjaciela pozostała zagadką.

Zapanowała cisza.

— Wydaje mi się, że niewiele jest tutaj do powiedzenia — przerwała milczenie Joyce Lemprière. — To wszystko jest straszne i niesamowite zarazem. Czy pan, pastarze, zna wyjaśnienie tego zdarzenia?

Starszy pan przytaknął.

— Tak, znam wyjaśnienie, o ile można to tak nazwać. Jest nieco dziwne, ale i tak nie tłumaczy wszystkich aspektów tej sprawy.

— Brałam udział w seansach spirytystycznych i możecie mówić, co chcecie, ale przedziwne rzeczy mogą się wydarzyć. Przypuszczam, że można by to przypisać hipnozie.

Dziewczyna rzeczywiście poczuła się kapłanką Astarte i jak sądzę, w jakiś sposób musiała zabić Haydona. Być może rzuciła w niego sztyletem, który panna Mannering widziała w jej ręce.

— Albo mogła to być dzida — poddał myśl Raymond West. — Ostatecznie księżyc nie świeci bardzo jasno. Mogła trzymać w ręce coś w rodzaju włóczni i pchnąć Haydona z odległości około trzech metrów. A później zadziałała zbiorowa psychoza. To znaczy, wszyscy byli niejako przygotowani psychicznie, by ujrzeć coś nadprzyrodzonego. I tak właśnie zobaczyliście tę śmierć.

— Oglądałem wiele pomysłowych sztuczek z nożem w music-hallach — dorzucił

komisarz. — Przypuszczam, że jest możliwe, by ktoś ukryty w gąszczu drzew rzucił nożem lub sztyletem z wystarczającą siłą i precyzją — zakładając oczywiście, że był to zawodowiec.

Przyznaję, że brzmi to nieco fantastycznie, ale wydaje mi się, że jest to jedyne prawdopodobne rozwiązanie. Pamiętajcie, że druga ofiara wyraźnie czuła, że jest obserwowana przez kogoś spomiędzy drzew. I nie należy się wcale dziwić, że relacje świadków co do sztyletu w ręce panny Ashley są rozbieżne. Gdybyście mieli moje doświadczenie zawodowe, wiedzielibyście, że zeznania pięciu świadków tego samego wydarzenia mogą się różnić tak bardzo, iż trudno wprost w to uwierzyć.

Pan Petherick odkaslnął. Najwidoczniej zamierzał zabrać głos.

— Wydaje mi się, że wszystkie nasze dociekania pomijają jeden zasadniczy fakt: co się stało z bronią? Panna Ashley nie mogłaby pozbyć się dzidy stojąc pośrodku pustej przestrzeni. Gdyby zaś morderca ukryty między drzewami rzucił nożem, to powinien tkwić on w ranie, gdy odwrócono ciało. Uważam, że powinniśmy odrzucić te dalekosiężne rozważania i skoncentrować się raczej na faktach, które są nie do podważenia.

— A dokąd nas te suche fakty prowadzą?

— No cóż, jedno wydaje się oczywiste. Nikogo blisko ofiary nie było, tak więc jedyną osobą, która mogła zabić — był on sam! Po prostu samobójstwo.

— Ale dlaczego, u licha, miałby pragnąć śmierci? — nie dowierzał Raymond.

Adwokat odkaslnął ponownie.

— To jeszcze jeden domysł do rozpatrzenia. Ale teraz nie chcę o tym mówić, bo nie to stanowi dla nas problem, ale sposób, w jaki został zabity. Moim zdaniem jego śmierć tylko tak można wyjaśnić, bo w siły nadprzyrodzone absolutnie nie wierzę. Dźgnął się sam, a padając wyszarpnął nóż z rany i odrzucił go między drzewa. Sądzę, że tak właśnie się to stało

— choć mam pewne wątpliwości, czy było do fizycznie możliwe.

— Nie chcę mówić, że jestem pewna — zabrała głos panna Marple. — To wszystko jest jednak tak pogmatwane... Ale przeróżne rzeczy się zdarzają. Na przykład, zeszłego roku podczas garden party u pani Sharpley pewien człowiek, który oznaczał numerami pole golfowe, potknął się o jeden z nich i

upadł. Stracił przytomność i nie mógł przyjść do siebie przez dobrych pięć minut.

— Dobrze, droga ciociu — rzekł Raymond uprzejmie — ale nie został pchnięty nożem, prawda?

— Oczywiście, że nie, kochanie — cierpliwie wyjaśniła panna Marple. — O to właśnie chodzi. Według mnie jest tylko jedno wytłumaczenie, jak biedny sir Richard został pchnięty sztyletem. Zastanawia mnie jednak, o co mógłby się potknąć... Pewnie był tam jakiś wystający korzeń drzewa, a on go nie zauważył wpatrzony w dziewczynę... Zresztą przy świetle księżyca można potknąć się o cokolwiek.

— Powiedziała pani, że tylko w jeden sposób można wytłumaczyć śmierć Richarda Haydona — rzekł pastor patrząc na nią z zaciekawieniem.

— To jest tak przykre, że nie chcę nawet myśleć o tym. On był praworęczny, prawda?

Nie mógł być mańkutem, bo przecież zranił się w lewe ramię. Zawsze tak bardzo współczułam biednemu Jackowi Baynesowi. Podczas wojny przestrzelił sobie stopę, i to po bardzo ciężkiej bitwie pod Arras. Powiedział mi o tym, gdy odwiedziłam go w szpitalu, i tak bardzo się tego wstydził. Spodziewam się, że Elliot Haydon niewiele zyskał przez popełnienie tak okrutnej zbrodni.

— Elliot Haydon? — Raymond aż krzyknął ze zdumienia. — Uważasz, ciociu, że to on?!

— Nie sędzę, by ktokolwiek inny mógł to zrobić — panna Marple najwyraźniej dziwiła się jego zaskoczeniu. — To znaczy, jest to zupełnie oczywiste, gdy odrzuci się tę całą aurę niesamowitości roztoczoną wokół pogańskiej bogini, a weźmie pod uwagę wyłącznie fakty, jak to trafnie ujął pan Petherick. Elliot podbiegł pierwszy do Richarda i odwrócił ciało, a wtedy oczywiście sam był odwrócony plecami do reszty towarzystwa. A będąc w przebraniu rozbójnika z pewnością miał przy sobie jakąś broń. Pamiętam, że jako młodej dziewczynie zdarzyło mi się tańczyć na balu kostiumowym z hersztem rozbójników i nie możecie sobie wyobrazić, jak uwierały mnie noże i sztylety, które mój partner miał przypięte do pasa.

Wszystkie oczy zwróciły się z niemym pytaniem na pastora Pendera.

— Poznałem prawdę pięć lat po tej tragedii. Wyznana została w liście, który napisał do mnie Elliot Haydon. Wyobrażał sobie zawsze, jak przyznał, że ja byłem jedyną osobą podejrzewającą go o zbrodnię. Wyjaśnił, że tamtej nocy opanowała go gwałtowna pokusa. On również kochał Dianę Ashley, ale nie miał u niej żadnych szans jako biedny adwokat pracą zarabiający na życie. Pozbywając się sir Richarda i dziedzicząc po nim tytuł i majątek widział

przed sobą wspaniałą przyszłość. Sztylet wysunął mu się zza pasa, gdy uklęknął przy ciele, i zanim zdążył pomyśleć, wbił go w pierś kuzyna, po czym na powrót schował. Później sam się zranił w ramię, by odwrócić od siebie podejrzenia. Ten list napisał do mnie w przeddzień wyprawy na biegun południowy na wypadek — jak zaznaczył — gdyby nigdy nie miał z niej wrócić. Nie sędzę jednak, by jechał tam z zamiarem powrotu. Jak słusznie zauważyła panna Marple, zbrodnia nie przyniosła mu szczęścia. „Przez te pięć lat przeżyłem piekło — pisał w swym liście — i mam nadzieję, że przynajmniej umierając z honorem zdołam odpokutować za swą zbrodnię”.

Pastor umilkł.

— I rzeczywiście zginął z honorem — przerwał ciszę komisarz. — Zmienił pan wprawdzie nazwiska w swym opowiadaniu, pastorze, ale myślę, że wiem, o kogo chodzi.

— Jak już powiedziałem na wstępie, nie uważam, by wyjaśnienie faktu śmierci objęło wszystkie aspekty tej sprawy. Nadal sądzę, że musiały istnieć w tym miejscu jakieś siły nieczyste, które pchnęły Elliota do zbrodni. A ja do dzisiejszego dnia nie mogę myśleć o świątyni Astarte bez dreszczu grozy...

III

Sztaby złota

— Nie wiem, czy to fair z mojej strony, że chcę opowiedzieć tę właśnie historię, gdyż nie znam jej rozwiązania i nie będę mógł na końcu podać prawdziwej wersji wydarzeń — zaczął

Raymond West. — Były one jednak tak ciekawe i osobliwe, że chciałbym je wam przedstawić, i być może wspólnymi siłami dojdziemy do jakiegoś logicznego wyjaśnienia całej tej sprawy.

Zdarzyło się to wszystko dwa lata temu, gdy pojechałem do Kornwalii, by spędzić tam Zielone Świątki w towarzystwie Johna Newmana.

— Kornwalia?! — gwałtownie rzuciła Joyce Lemprière.

— Tak, a bo co?

— Nic, nic. Swoją drogą to dziwne. Moja opowieść także dotyczy Kornwalii, a raczej małej rybackiej wioski o nazwie Rathole. Nie powiesz chyba, że i ty będziesz mówił o tym miejscu?

— Nie, moja wioska nazywa się Polperran. Położona jest na zachodnim wybrzeżu Kornwalii, miejscu skalistym i bardzo dzikim. Johna poznałem kilka tygodni wcześniej i uznałem za bardzo interesującego człowieka. Inteligentny i niezależny materialnie, odznaczał

się żywą wyobraźnią. Pod wpływem ostatniego hobby wziął w dzierżawę posiadłość w tamtych stronach. Był znawcą okresu elżbietańskiego i żywym, barwnym językiem opisywał

mi szlak morski hiszpańskiej Armady. Był tym tak przejęty, że mogło się zdawać, jakby osobiście uczestniczył w tych wydarzeniach. Ciekawe, czy ma to coś wspólnego w reinkarnacją? Bardzo ciekawe...

— Jesteś taki romantyczny, kochany Raymondzie — rzekła panna Marple patrząc na niego dobrotliwie.

— To ostatnia rzecz, o jaką można mnie posądzić — odparł Raymond lekko poirytowanym tonem. — Ale ten Newman był po prostu naszpikowany romantycznymi wizjami i z tego właśnie powodu zainteresował mnie tak bardzo. Okazało się, że statek wchodzący w skład Armady rozbił się o cieszącą się złą sławą zdradzieckie Skały Wężowe na wybrzeżu Kornwalii. Wiedziano, że przewożono nim ogromne skarby w złocie. Jak powiedział mi Newman, przez pewien czas usiłowano go wydobyć i odzyskać złoto. Historie takie nie są czymś niezwykłym w tamtych stronach, choć na ogół większość z tych mitycznych skarbów jest po prostu czystym wymysłem. Newmanowi trafiała się okazja wykupienia niemal za bezcen prawa do poszukiwań od towarzystwa, które zostało w tym celu założone, lecz zbankrutowało. Ogromnie zapalił się do tego przedsięwzięcia. Według niego wystarczyło zakupić najnowszy sprzęt, by wszystko się powiodło. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że złoto tam się znajduje i powinno się udać je wydostać bez większych trudności.

Gdy go słuchałem, przyszło mi na myśl, jak często dziwnie toczy się koło fortuny.

Takiemu bogaczowi jak Newman udaje się wszystko niemal bez wysiłku i według wszelkiego prawdopodobieństwa skarb ten w sensie materialnym niewiele by dla niego znaczył. Muszę jednak przyznać, że jego zapal i mnie się udzielił. Wyobrażałem sobie galeony dryfujące wzdłuż wybrzeża, opierające się sztormom, pokonane w końcu i rozbite o czarne skały. Już samo słowo „galeon” ma romantyczne brzmienie, a wyrażenie „złoto Hiszpanii” przyprawia o dreszcz emocji zarówno chłopca, jak i dorosłego mężczyznę. Poza tym pracowałem właśnie w tym czasie nad książką, której niektóre sceny umiejscowiłem w szesnastym wieku, i spodziewałem się uzyskać od Newmana cenne informacje na temat kolorytu lokalnego tamtych stron.

Wtedy, w piątek rano, wyruszyłem z dworca Paddington we wspaniałym nastroju, z góry ciesząc się na tę podróż. Przedział zajmował tylko jeden pasażer siedzący w kącie naprzeciw mnie. Był to wysoki człowiek o wyglądzie wojskowego, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że kiedyś już go spotkałem. Na próżno łamałem sobie jednak głowę. Wreszcie na to wpadłem.

Moim towarzyszem podróży był inspektor Badgworth, z którym zetknąłem się podczas pracy nad serią artykułów w sprawie zaginięcia Eversona. Przypomniałem mu się i już wkrótce gawędziliśmy jak starzy znajomi. Gdy podałem mu cel podróży, okazało się, że dziwnym zbiegiem okoliczności on również udaje się do Polperran. Nie chciałem być ciekawski, więc nie zapytałem, czy jego podróż ma charakter służbowy, czy też prywatny. Rozprowiałem natomiast o moim zainteresowaniu tym miejscem i wspomniałem o wraku hiszpańskiego galeonu. Ku memu zdziwieniu inspektor zdawał się wszystko o tym wiedzieć.

— Chodzi zapewne o „Juana Fernandesa” — powiedział. — Pański przyjaciel nie będzie pierwszym, który utopi fortunę usiłując wydobyć skarb. To romantyczna mrzonka.

— Zapewne cała ta historia jest tylko legendą — odparłem. — Prawdopodobnie nie zatonął tu żaden statek.

— Ależ nie, statek rzeczywiście zatonął, jak i wiele innych. Zdziwiłby się pan wiedząc, jak dużo wraków spoczywa na dnie u brzegów Kornwalii. Szczerze mówiąc, ta sprawa sprowadza mnie do Polperran. Tam właśnie rozbił się „Otranto” pół roku temu.

— Ach, tak! Teraz przypominam sobie, że czytałem o tym w gazetach. Zdaje się, że nikt z załogi nie zdołał się uratować.

— Tak, zginęli wszyscy — rzekł inspektor. — I zginęło coś jeszcze. Nie było powszechnie wiadome, że „Otranto” przewoził transport złota w sztabach.

— Tak? — spytałem zaintrygowany.

— Przy próbach wydobywania cennego ładunku pracowali nurkowie, ale... złoto zniknęło, panie West.

— Zniknęło?! — wykrzyknąłem wpatrzony w inspektora. — Jak to możliwe?

— To właśnie jest zagadką. Skały wydarły otwór w skarbcu statku i nurkowie z łatwością dostali się

tamtędy do wnętrza, ale skarbiec był pusty. Zachodzi więc pytanie, czy złoto skradziono przed, czy dopiero po rozbiciu statku. I czy w ogóle zostało umieszczone w skarbcu?.

— Niesamowite...

— Tak, to dziwna sprawa, zwłaszcza jeśli się zważy, jak wyglądają sztaby złota. To nie diamentowy naszyjnik, który można wsunąć do kieszeni. Biorąc pod uwagę, jakie są ciężkie i nieporęczne, kradzież ich zdaje się wprost niewiarygodna. Mogło się zdarzyć jakieś hokus-pokus, zanim statek wyruszył w rejs. Jeśli zaś nie, to złoto musiano usunąć w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Tak więc jadę tam, by przyjrzeć się tej sprawie z bliska.

Newman już czekał na mnie na stacji. Przeprósł, że nie pojedziemy samochodem, ale odstawił go do Truro do naprawy. Przyjechał więc ciężarówką należącą do gospodarstwa.

Usiadłem obok niego i ruszyliśmy lawirując ostrożnie pośród wąskich uliczek rybackiej wioski. Wspięliśmy się na strome zbocze, przejechaliśmy kawałek krętego zaułka i znaleźliśmy się przed Poi House, którego brama wjazdowa wsparta była na granitowych filarach.

Prezentujący się okazałe dom położony był na szczycie skał, skąd roztaczał się wspaniały widok na morze. Budynek był bardzo stary, sprzed czterech lub pięciu wieków, ze współcześnie dobudowanym skrzydłem. Za nim znajdowało się pole uprawne o obszarze około siedmiu czy ośmiu akrów.

— Wita pana Poi House — rzekł Newman. — I znak Złotego Galeonu. — Tu wskazał

ręką godło posiadłości w formie wiernej kopii hiszpańskiego statku z całym oprzyrządowaniem, umieszczone nad frontowymi drzwiami.

Pierwszy wieczór mojego pobytu u Newmana był po prostu przemiły. Gospodarz pokazał

mi stare manuskrypty dotyczące „Juana Fernandeza”. Rozwinął mapy morskie sprzed wieków i wskazał naniesione na nie szlaki wodne oznaczone kropkowanymi liniami. Przedstawił także plany aparatu do nurkowania, z których — muszę przyznać — niewiele zrozumiałem.

Powiedziałem o moim spotkaniu z inspektorem Badgworthem, co wzbudziło jego duże zainteresowanie.

— To wybrzeże zamieszkują dziwni ludzie — powiedział w zamyśleniu. — Mają we krwi przemyt i grabież rozbitych okrętów. Łupy z wraków uważają za coś, co im się prawnie należy i przeznaczone jest do napychania ich kieszeni. Jest tu jeden facet, którego chciałbym panu pokazać. Bardzo ciekawy typ.

Ranek następnego dnia był jasny i bezchmurny. Newman zabrał mnie do Polperran i przedstawił swemu nurkowi o nazwisku Higgins. Był to mężczyzna zamknięty w sobie, o nieruchomej twarzy, a jego wypowiedzi sprowadzały się do monosylab. Rozmawiał z Newmanem na ściśle techniczne tematy dotyczące nurkowania. Po jakimś czasie Newman zaprosił nas do gospody Pod Trzema Kotwicami. Tam dopiero kufel piwa rozwiązał

Higginsowi język.

— Zjechał tu detektyw z Londynu — wymamrotał.

— Mówią, że ten statek, co zatonął tu zeszłego listopada, wiózł kupę złota. No, nie on pierwszy poszedł na dno i pewnie nie ostatni.

— Tak, tak — wtrącił właściciel Trzech Kotwic.

— Prawdę mówisz, Billu Higginsie.

— No, jasne, panie Kelvin.

Spojrzałem na karczmarza z pewną ciekawością. Zwracał na siebie uwagę przez niezwykle szerokie barki, smagłą cerę i ciemne włosy. Nabiegłe krwią oczy uporczywie umykały w bok unikając czyjegokolwiek spojrzenia. Przypuszczałem, że jego właśnie miał

Newman na myśli mówiąc o ciekawym typie w tej okolicy.

— Nie chcemy tu żadnych wścibskich obcych na naszym wybrzeżu — rzucił gwałtownie Kelvin.

— Macie na myśli policję? — zapytał Newman z uśmiechem.

— I policję i innych — rzekł karczmarz z naciskiem. — I radzę o tym, panie, pamiętać.

— Wie pan co, Newman, to brzmiało jak pogróżka — powiedziałem, gdy wspinaliśmy się w kierunku domu.

Mój przyjaciel roześmiał się.

— Bzdura, przecież nie robię im nic złego.

Potrząsałem z powątpiewaniem głową. W Kelvinie było coś dzikiego i złowrogiego.

Czułem, że jego myśli mogą biegać dziwnymi, niepojętymi ścieżkami.

Wydaje mi się, że od tego momentu zaczął się mój stały niepokój. Pierwszej nocy spałem świetnie, ale następnej często się budziłem nękany niespokojnymi snami.

Niedziela zaczęła się chmurnym, ponurym rankiem i zanosiło się na burzę. Jako że nie umiem ukrywać swego nastroju, Newman natychmiast spostrzegł zmianę w moim zachowaniu.

— Co się z panem dzieje, West? Jest pan dziwnie rozstrojony od samego rana.

— Nie wiem — wyznałem. — Mam złe przeczucia.

— To pewnie ta pogoda tak na pana wpływa.

— Tak, zapewne. — Nie powiedziałem nic więcej. Po południu wypłynęliśmy motorówką Newmana, ale nagle spadła taka ulewa, że z radością dobiliśmy do brzegu i w domu wskoczyli w suche rzeczy.

Wieczorem mój niepokój wzmógł się. Na zewnątrz szalał sztorm. Około dziesiątej burza ustała i Newman wyjrzał przez okno.

— Przejaśnia się — powiedział. — Nie dziwiłbym się, gdyby za pół godziny nie było śladu po burzy. Jeśli tak, to pójdę się przejść.

Ziewnąłem.

— Jestem okropnie śpiący. Niezbyt dobrze spałem ostatniej nocy. Chyba dzisiaj się wcześniej położę.

I tak zrobiłem. Zeszłej nocy spałem niewiele, tej zaś jak suseł. Ale sny miałem koszmarne. Ciągle byłem pod wrażeniem złych przeczuc. Śniły mi się jakieś przepastne i straszne otchłanie, wśród których błąkałem się i gdzie każde poślizgnięcie groziło śmiercią.

Gdy obudziłem się, wskazówki zegarka pokazywały godzinę ósmą. Okropnie bolała mnie głowa i stale byłem pod wrażeniem nocnych koszmarów.

Musiałem być rzeczywiście bardzo rozstrojony, bo gdy podszedłem do okna i rozsunąłem zasłony, cofnąłem się przerażony. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem — tak mi się zdawało —

był człowiek kopiący... grób!

Uplłynęło ze dwie minuty, zanim odzyskałem spokój. Wtedy uzmysłowiłem sobie, że

„grabarzem” był ogrodnik Newmana, a w „grobie” miały być posadzone nowe krzaki róż, które leżały obok na ziemi. Ogródnik spojrział w górę i zobaczywszy mnie, uchylił kapelusza.

— Dzień dobry panu. Ładny ranek.

— Chyba tak — odpowiedziałem niepewnie, ciągle nie mogąc otrząsnąć się z przygnębienia.

Jak powiedział ogrodnik, ranek rzeczywiście był ładny. Słońce przygrzewało, niebo było klarownie niebieskie, co zapowiadało piękną pogodę. Zszedłem na śniadanie podśpiewując sobie. Newman nie trzymał stałej służby w domu; dwie siostry w średnim wieku, mieszkające niedaleko, przychodziły codziennie dopilnować jego skromnych potrzeb. Jedna z nich stawiała właśnie dzbanek z kawą na stole, gdy wszedłem do pokoju.

— Dzień dobry, Elizabeth — pozdrowiłem ją. — Pan Newman jeszcze nie zszedł?

— Musiał chyba wyjść bardzo wcześnie, proszę pana — odparła służąca. — Nie było go w domu, gdy przyszliśmy.

Natychmiast wrócił mój niepokój. Przez ostatnie dwa dni Newman spóźniał się nieco na śniadanie i nic nie wskazywało na to, by był rannym ptaszkiem. Tknięty złym przeczuciem pobiegłem na górę do jego sypialni. Pokój był pusty, co więcej, łóżko nietknięte. Podczas krótkich oględzin pokoju spostrzegłem coś jeszcze. Nie było rzeczy, które miał na sobie poprzedniego wieczoru, jeśli więc wybrał się na spacer, musiał być w nie ubrany. Teraz byłem już pewien, że moje złe przeczucia nie były bezpodstawne. Newman poszedł na spacer, tak jak powiedział. Z nie wyjaśnionych przyczyn nie wrócił. Dlaczego? Czy miał wypadek?

Może spadł ze skał? Natychmiast trzeba zacząć go szukać.

W ciągu kilku godzin zebrałem sporą grupę ludzi chętnych mi pomóc. Razem przeszukaliśmy skały i urwisko pod nimi. Ale po Newmanie nie było ni śladu. W końcu zrozpaczony udałem się do inspektora Badgwortha. Twarz mu sposepniała, gdy dowiedział

się o co chodzi.

— Pachnie mi to przestępstwem — powiedział. — W tych stronach jest kilku ciemnych typów pozbawionych skrupułów. Widział pan Kelvina, właściciela Trzech Kotwic?

Potwierdziłem, a inspektor dodał:

— Wiedział pan, że siedział w więzieniu? Cztery lata temu został skazany za napad z pobiciem.

— Zbyttno się nie dziwię — odparłem.

— Mówi się tutaj, że pański przyjaciel lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. Mam nadzieję, że się to na nim teraz nie zemściło.

Poszukiwania prowadzono ze wzmożoną energią. Dopiero późnym popołudniem nasze wysiłki zostały nagrodzone. Znaleźliśmy Newmana w głębokim rowie na krańcu jego posiadłości. Ręce i nogi miał skrupowane liną, a w usta wciśnięto mu chustkę do nosa, by uniemożliwić wzywanie pomocy.

Był okropnie obolały i wyczerpany. Po rozmasowaniu mu nadgarstków i kostek i sporym łyku whisky był w stanie zdać relację z tego, co się stało.

Wyszedł na spacer około jedenastej w nocy, gdy wypogodziło się już zupełnie. Szedł

kawałek wzdłuż skał, aż doszedł do miejsca powszechnie zwanego Zatoczką Przemysłowców, a to od licznych pieczar, które się tam znajdują. Zauważył kilku ludzi przenoszących coś do małej łodzi i zbliżył się, by zobaczyć, co robią. Musiało to być bardzo ciężkie i było znoszone do jednej z najdalej położonych pieczar.

Zaciekawiło to Newmana, choć nie widział w tym nic podejrzanego. Nie zauważony podszedł do nich zupełnie blisko. Nagle rozległ się ostrzegawczy okrzyk i natychmiast dwóch mocno zbudowanych marynarzy rzuciło się na niego. Stracił przytomność, a gdy przyszedł do siebie, poczuł, że wiezie go jakiś pojazd, który jechał wyboistą drogą łączącą wybrzeże z wioską. Ku jego

wielkiemu zdziwieniu ciężarówka skręciła w bramę jego własnego domu.

Tam ludzie ci chwilę poszeptali między sobą, aż w końcu zawlekli go i rzucili w rów na tyle głęboki, że uniemożliwiał odnalezienie go przez jakiś czas.

Później ciężarówka ruszyła i, jak domyślił się, wyjechała inną bramą jakieś ćwierć mili bliżej wioski. Nie mógł opisać bardziej szczegółowo porywaczy prócz tego, że byli na pewno marynarzami i pochodzili z Kornwalii, sądząc po ich akcencie. Inspektor Badgworth zainteresował się ogromnie.

— Trzeba zająć się miejscem, gdzie schowali przeładunek — postanowił. — Tak czy inaczej, udało im się wydostać go z wraku i złożyć w jakiejś pustej pieczarze. Wszyscy wiedzą, że policja przeszukała wszystkie jaskinie w Zatoczce Przemysłowców i teraz przetrząsa teren w głębi lądu, więc bandyci nocą przenieśli towar w miejsce już przeszukane w nadziei, że policja tam nie wróci. Niestety wyprzedzili nas o całe osiemnaście godzin i wątpliwie, czy uda się nam wpaść na jakiś ślad.

Inspektor zarządził, by poszukiwania prowadzono jeszcze energiczniej. W końcu znalazł

dowód na to, że złoto rzeczywiście przeniesiono na ląd, ale nie zdołał odkryć jego nowej kryjówki. Następnego dnia jednak powiadomił mnie, że wpadł na pewien trop.

Drogą prowadzącą z wybrzeża do wioski rzadko jeżdżą zmechanizowane pojazdy, a w jednym czy dwóch miejscach znalazł wyraźne ślady opon. Jedna z nich odcisnęła w ziemi charakterystyczny trójkątny wzór. Prowadził w kierunku bramy, a potem, jakkolwiek mniej wyraźny, powtarzał się przy wyjeździe z innej bramy. Nie ulegało jednak wątpliwości, że zostawił je ten sam pojazd. Dlaczego jednak wyjeżdżali inną bramą? Było oczywiste, że ciężarówka pochodziła z wioski. Niewielu ludzi w Polperran posiadało własne ciężarówki, a Kelvin, właściciel Trzech Kotwic, był jednym z nich.

— Kim właściwie z zawodu jest Kelvin? — zapytał Newman.

— Dziwię się, że pan nie wie — rzekł inspektor. — Za młodu był zawodowym nurkiem.

Newman wymienił ze mną porozumiewawcze spojrzenia. Łamigłówa zaczynała się powoli układać.

— Czy nie rozpoznał pan Kelvina w którymś z tych ludzi na plaży? — spytał inspektor.

Newman z żalem potrząsnął głową.

— Obawiam się, że nie będę mógł nic panu pomóc. Naprawdę nie miałem czasu, by im się przyjrzeć.

Inspektor uprzejmie pozwolił mu odprowadzić się do Trzech Kotwic. Garaż zajazdu znajdował się nieco powyżej w bocznej uliczce. Masywne drzwi garażu były zamknięte, ale trochę dalej dostrzegliśmy otwarte małe drzwi zapasowego wyjścia. Rzut oka na opony stojącej tam ciężarówki wystarczył inspektorowi.

— Na Jowisza, mamy go! — wykrzyknął. — Lewa tylna opona ma ten sam wzór, który tak pięknie odcisnęła się na drodze. No, Kelvin, nie sądzę, by teraz udało ci się z tego wykręcić.

Raymond West przerwał na chwilę opowieść.

— No i co? — nie wytrzymała Joyce. — Jak dotąd nie widzę nic zagadkowego w tej historii. Chyba, że złota w końcu nie odnaleziono.

— Tak, złota nigdy nie udało się odnaleźć — potwierdził Raymond. — Ale też nigdy nie zdołano niczego udowodnić Kelvinowi. Myślę, że był za sprytny dla policji. Został

wprawdzie aresztowany na podstawie poszlak, gdyż ślad opony został potraktowany jako dowód przeciw niemu. Zupełnie jednak niespodziewanie wyłoniła się nowa okoliczność, która oczyściła go z podejrzeń. Naprzeciw głównego wjazdu do garażu Kelvina znajdował się dom, który jakaś artystka wynajęła na lato.

— Ach, te artystki! — zaśmiała się Joyce.

— Ano właśnie, te artystki! Tej akurat zdarzyło się chorować przez kilka tygodni i w rezultacie dwie pielęgniarki opiekowały się nią na zmianę. Ta, która czuwała przy niej w nocy, kiedy zaginał Newman, siedziała cały czas przy oknie i zeznała, że żaden samochód nie opuszczał garażu Kelvina, gdyż w przeciwnym razie musiałaby go zauważyć. Gotowa była na to przysiąc.

— Myślę, że nie można jej zbyt wiele wierzyć — zaprotestowała Joyce. — One zawsze śpią podczas nocnego dyżuru.

— Mogło być i tak — rzekł pan Petherick ugodowo.

— Wydaje mi się jednak, że przyjmujemy fakty bez ich rozważenia. Zanim przyjmimy słowa pielęgniarki za prawdziwe, powinniśmy najpierw upewnić się co do jej uczciwości.

Zeznaniem swym zapewniła Kelvinowi alibi, i to tak prędko, że musi to budzić wątpliwości.

— Mieliliśmy również zeznania tej chorej artystki — zastrzegł się Raymond. —

Oświadczyła, że ból nie pozwolił jej zasnąć tej nocy i w takim wypadku musiałaby słyszeć warkot motoru, zwłaszcza że noc była bardzo cicha po wieczornej burzy.

— Hm... — mruknął pastor. — To zmienia postać rzeczy. A czy Kelvin oprócz tego miał jakieś alibi?

— Zeznał, że był w domu i leżał w łóżku od dziesiątej, ale nikt nie mógł tego potwierdzić.

— Według mnie zarówno pielęgniarka, jak i jej pacjentka spały — obstawała przy swoim Joyce. — Chorym zwykle się zdaje, że nie zmrużyli oka przez całą noc.

Raymond West wyczekująco spojrział na pastora Pendera.

— Wiecie państwo, współczuję temu Kelvinowi — rzekł duchowny. — Wydaje mi się, że

przysłowie „na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą” znalazłoby potwierdzenie w jego wypadku. Gdyby nie ta opona o wzorze rzadko spotykanym jak na zbieg okoliczności, obciąża go głównie jego niechlubna przeszłość.

— A co pan powie, sir Henry?

Komisarz uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Tak się składa, że wiem cokolwiek o tej sprawie — powiedział. — Nie będę więc zabierał głosu.

— Kolej na ciebie, ciociu Jane. Czy masz coś do powiedzenia?

— Chwileczkę, kochanie — rzekła panna Marple. — Zdaje mi się, że źle policzyłam oczka. Dwa lewe, trzy proste, jedno spuścić, dwa lewe... Tak, teraz w porządku. Co mówiłeś, kochanie?

— Co sądzisz o tym wszystkim?

— Boję się, że nie spodoba ci się moja opinia. Zauważyłam już, że młodzi ludzie nie lubią słuchać tego, co mam im do powiedzenia. Lepiej będzie, jak nic nie powiem.

— Ależ, ciociu Jane. Mówi śmiało!

— Cóż, kochany Raymondzie — rzekła panna Marple składając robotę na drutach i patrząc siostrzeńcowi prosto w oczy. — Naprawdę sędzę, że powinieneś bardziej uważać przy wyborze przyjaciół. Jesteś bardzo łatwowierny i tak łatwo dajesz się zwieść pozorom.

Przypuszczam, że to dlatego, iż jesteś pisarzem i masz bujną wyobraźnię. Cała ta historyjka z hiszpańskim galeonem! Gdybyś był trochę starszy i miał więcej doświadczenia życiowego, natychmiast obudziłoby to w tobie czujność. I jeszcze na domiar złego tak ufać człowiekowi, którego znałeś zaledwie od kilku tygodni!

Sir Henry wybuchnął głośnym śmiechem i klepnął się po kolanach z całych sił.

— No, ależ ci się dostało, Raymondzie! Pani jest niezrównana, panno Marple! Twój przyjaciel Newman nazywa się w rzeczywistości zupełnie inaczej. Ma zresztą kilka różnych nazwisk. Obecnie przebywa nie w Kornwalii, ale w Devonshire — dokładniej w Dartmoor —

i siedzi w więzieniu. Nie schwytaliśmy go na kradzieży złota ze statku, za to wpadł przy włamaniu do skarbcza jednego z londyńskich banków. Pogrzebaliśmy trochę w jego przeszłości i w rezultacie wpadliśmy na ślad złota skradzionego z wraku „Otranta”. Spora jego ilość została zakopana w ogrodzie przy jego domu. Było to dość sprytnie. Jak wiecie, wybrzeże Kornwalii obfituje w podania o zatopionych galeonach pełnych złota. Wykorzystał

to Newman puszczając w obieg pogłoskę, jakoby on sam podjął się próby wydobywania skarbu z zatopionego przed wiekami „Juana Fernandesa”. Miało to bowiem tłumaczyć wynajęcie przez niego nurka, a później i posiadanie złota. Potrzebny był mu jednak kozioł ofiarny i znalazł go w osobie Kelvina, który wprost idealnie nadawał się do tego celu. Newman odegrał swą komedijkę po

mistrzowsku, a nasz przyjaciel Raymond, jako sławny pisarz i wiarygodny świadek, zapewnił mu niepodważalne alibi.

— A ślady opon? — spytała ciągle niezbyt przekonana Joyce.

— Och, od razu się tego domyśliłam, choć zupełnie się na tym nie znam — wtrąciła panna Marple. — Często jednak widziałam, jak ludzie zmieniają koła przy swoich samochodach. Wspólnicy Newmana też mogli zdjąć koło od ciężarówki Kelvina i wynieść je bocznymi drzwiami garażu, a potem założyć je do ciężarówki Newmana. Następnie wyjechali na plażę jedną bramą, załadowali złoto na ciężarówkę i powrócili inną bramą, po czym z powrotem założyli koło do samochodu Kelvina. Tymczasem któryś z nich związał Newmana w rowie, a ten nie przypuszczał, że tak długo będzie leżał w tej niewygodnej pozycji. Wydaje mi się, że tę część zadania wykonał człowiek nazywany „ogrodnikiem”.

— Dlaczego, ciociu, twierdzisz, że on tylko podawał się za ogrodnika? — zdumiał się Raymond.

— Cóż, nie mógł przecież być prawdziwym ogrodnikiem, prawda? — wyjaśniała panna Marple. — Ogrodnicy nie pracują w pierwszy dzień Zielonych Świątek. Wszyscy o tym wiedzą.

Uśmiechnęła się i złożyła robótkę.

— Ten właśnie drobiazg naprowadził mnie na właściwy trop — powiedziała, po czym spojrzała Raymondowi w oczy w przekorą. — Gdy założysz rodzinę, kochanie, i będziesz miał własny ogród, i ty dowiesz się o takich drobiazgach...

IV

Krew na ulicy

— To może dziwne, ale opowiadam swoją historię z pewną niechęcią — zaczęła Joyce Lemprière. — Zdarzyło się to dokładnie pięć lat temu, ale do tej pory prześladuje mnie wspomnienie tamtych wydarzeń. Na pozór wszystko przebiegało normalnie i nic nie zapowiadało rychłej tragedii. A co dziwniejsze, na malowanym przeze mnie wtedy szkicu ujawniła się ta właśnie atmosfera. Szkic przedstawiał małą stromą uliczkę kornwalijską, skapaną w słońcu. Ale patrząc nieco dłużej wyczuwało się, że coś złowrogiego wkradło się na płótno. Wprawdzie nigdy nie wystawiłam na sprzedaż tego obrazu, ale też nigdy na niego nie patrzę. Stoi w mojej pracowni gdzieś w kącie, odwrócony do ściany.

Miejscowość nosi nazwę Rathole. Jest to mała, bardzo malownicza wioska rybacka.

Może nawet zbyt malownicza. Coś w typie „jak mały Jasio wyobraża sobie Kornwalię”. W

sklepach siedzą młode dziewczyny z włosami spiętymi w koński ogon i wypisują ozdobne motta na pergaminie. Jest tam naprawdę ładnie, ale to całe piękno zdaje się wystudiuwane i podtrzymywane jakby na siłę.

— Wiem o tym najlepiej — westchnął Raymond. — Przypuszczam też, że to miejsce jest naprawdę przekleństwem dla autokarów. Najważniejsze, by zachować jak najwięcej z lokalnego kolorytu wąskich, krętych uliczek, a o resztę mniejsza.

Joyce skinęła potakująco głową.

— I do Rathole zjeżdża się bardzo stromą drogą. Ale wróćmy do mojej historii.

Przyjechałam tam na dwa tygodnie, by trochę malować. Jest tam stara gospoda, Polharwith Arms, podobno jedyny ocalały dom z początków szesnastego wieku, kiedy to Hiszpanie zbombardowali wieś.

— Tylko nie zbombardowali — skrzywił się Raymond. — Staraj się wyrażać ściślej, Joyce!

— W każdym razie ustawili armaty wzdłuż wybrzeża i ostrzelali całą wieś burząc wszystkie domy. Zresztą nie o to chodzi. Gospoda była wspaniałym zabytkiem, a jej fronton zdobiło coś w rodzaju werandy wspartej na czterech filarach. Tę werandę umieściłam więc na pierwszym planie szkicu i właśnie zabierałam się do malowania, gdy ujrzałam samochód sunący krętą drogą ku wiosce. Zatrzymał się oczywiście przed gospodą i tym samym zepsuł

mi perspektywę. Z samochodu wysiadło dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Nie przyglądałam się im zbyt długo, zauważyłam tylko, że kobieta ubrana była w liliową sukienkę z lnu i kapelusz tego samego koloru.

Mężczyzna ponownie wszedł do auta i ku mojej niezmiernej wdzięczności zjechał w dół

na molo, gdzie zaparkował. Potem pieszo skierował się ku gospodzie. W tym właśnie momencie

następny zmotoryzowany natręt zjechał po stromym zboczu do wioski. Samochód nie zatrzymał się przed gospodą, ale wyminąwszy ją pojechał dalej i stanął obok poprzedniego. Wsiadła kobieta ubrana w płócienną sukienkę o wzorze kwiatów poinsettii tak jaskrawo szkarłatnym, jakiego dotąd nigdy nie widziałam. Na głowie miała kubańskie sombrero w kolorze ostrej czerwieni, które harmonizowało z sukienką. Na jej widok mężczyzna wykrzyknął ze zdumieniem:

— Carol, co za wspaniałe spotkanie! I to w takim ustroniu. Wieki cię nie widziałem.

Jestem tu z żoną, Margery. Musisz ją poznać!

Razem poszli w górę uliczki. Zobaczyłam, że z gospody wyszła jego żona i ruszyła w ich stronę. Gdy mnie mijali, rzuciłam okiem na Carol. Miała bardzo jasną cerę, a twarz przecinała kreska jaskrawo umalowanych ust. Pomyślałam wtedy, czy Margery ucieszy się tym spotkaniem. Przemknęło mi to przez myśl, gdy porównałam obydwie kobiety. Margery, choć widziana z pewnej odległości, zrobiła na mnie wrażenie skromnej i nie rzucającej się w oczy dziewczyny.

Oczywiście, nie była to moja sprawa, ale to spotkanie zaciekało mnie na tyle, że zaczęłam snuć różne domysły. Z miejsca, gdzie stała owa trójka, dochodziły mnie tylko strzępki rozmowy. Mówili o pływaniu. Denis, mąż Margery, zaproponował wspólną przejażdżkę łodzią wzdłuż wybrzeża. Chciał popłynąć do słynnej, wartej zobaczenia pieczary oddalonej o milę od Rathole. Carol chętnie przystała na tę propozycję, ale wolała pójść tam pieszo, wzdłuż skał. Jak stwierdziła, wprost nie znosiła jazdy łódką. I na tym w końcu stanęło.

Carol miała dojść do jaskini od strony lądu. Denis z Margery zaś dopłynąć łodzią. Ich rozmowa o morskiej kąpielu sprawiła, że ja również nabrałam ochoty, by zejść na plażę i popływać. Ranek był upalny, a i malowanie nieszczególnie mi szło. Poza tym pomyślałam, że popołudniowe światło lepiej będzie sprzyjać mojemu natchnieniu. Zabrałam więc rzeczy i poszłam na małą plażę, którą sama odkryłam i która leżała w dokładnie przeciwnym kierunku niż jaskinia.

Morze było cudowne, a pływanie wzmogło mój apetyt. Zjadłam więc tam na miejscu lunch — ozorki z puszki i dwa pomidory — i popołudniem wróciłam do wioski pełna wiary w siebie i zapалу do pracy.

Rathole, zdawało się, pogrążone było we śnie. Rzeczywiście, późniejsze światło było lepsze, cienie miały większą głębię wyrazu.

Gospoda stanowiła centralny punkt mojego rysunku. Ukośnie padające promienie słońca oblewały budynek i jakby koncentrowały się u jego wejścia, tworzyły jasną, rozświetloną plamę na chodniku.

Zauważyłam dwa kostiumy kąpielowe, szkarłatny i ciemnoniebieski, suszące się na poręczy balkonu, pomyślałam więc, że wycieczkowicze powrócili już z wyprawy.

Nie spodobało mi się coś w rogu rysunku, pochyliłam się więc usiłując to poprawić. Gdy uniosłam głowę, spostrzegłam, że jakaś postać opiera się o filar werandy. Zjawiła się tak jak duch.

Był to chyba rybak. Miał długą ciemną brodę i był wymarzoną postacią okrutnego kapitana

hiszpańskiego z dawnych wieków. Pospiesznie zaczęłam go szkicować w obawie, by nie odszedł, choć nic na to nie wskazywało. Zdawało się, że wrósł w ziemię i będzie już zawsze podpierał ten filar. Ruszył się jednak, ale na szczęście zdążyłam już uchwycić jego postać. Podeszedł do mnie i zaczął mówić o wiosce.

— Rathole było kiedyś bardzo ciekawym miejscem...

Przerwałam mu mówiąc, że wiem o tym, ale nie uchroniło mnie to od jego gadulstwa.

Musiałam więc wysłuchać całej historii o zbm... to znaczy zburzeniu wioski i śmierci właściciela gospody, zabitego na samym końcu. Zginął powalony mieczem hiszpańskiego kapitana, a jego krew bluznęła na ziemię przed domem i nikt nie zdołał jej zmyć przez wiele lat.

Wszystko to dobrze pasowało do dziwnej ospałości i znużenia, jakie wisały w powietrzu tego popołudnia. Rybak ciągnął swoją opowieść cichym, łagodnym głosem, a jednak kryło się w nim coś złowrogiego. Choć zachowywał się uniesienie, wyczuwało się w nim jakieś okrucieństwo. Jego osoba sprawiła, że pojęłam istotę inkwizycji i wszystkie bestialstwa Hiszpanów, w których zdawali się celować.

Przez cały czas, gdy do mnie mówił, nie przerywałam malowania i nagle uświadomiłam sobie, że podekscytowana opowieścią naniosłam na płótno coś, czego przedtem tam nie było.

Na białym kwadracie chodnika przed zabytkową gospodą namalowałam krople krwi.

Zadziwiająco, jak ręka może oddać to, co rejestruje mózg. Ale gdy spojrzałam w kierunku gospody, doznałam szoku. Okazało się bowiem, że namalowałam tylko to, co ujrzały moje oczy.

Przez dobrą chwilę wpatrywałam się w to miejsce. Potem zamknęłam oczy i powiedziałam sobie: „Nie bądź głupia, tam nic takiego nie ma”. Ale gdy znów tam spojrzałam, krew nadal płamiła chodnik.

Nagle poczułam, że nie zniosę tego dłużej. Przerwałam rybakowi w pół słowa i zapytałam:

— Niech mi pan powie, bo mam słaby wzrok, czy widzi pan krew tam na chodniku?

Spojrzał na mnie z uprzejmą pobłażliwością.

— Dzisiaj nic tam nie ma, proszę pani. To, o czym mówiłem, działo się prawie pięćset lat temu.

— Tak, ale teraz... tam na chodniku... — Słowa uwięzły mi w gardle, bo nagle zdałam sobie sprawę, że nikt oprócz mnie nie jest w stanie tego dostrzec. Wstałam i trzęsącymi się rękami zaczęłam zbierać rzeczy. Gdy spakowałam wszystko, ujrzałam Denisa wychodzącego z gospody. Rozglądał się z niepokojem po ulicy. Na balkon wyszła jego żona i zebrała kostiumy kąpielowe. On zaczął schodzić w dół ulicą w kierunku samochodu, gdy nagle skręcił w bok i podeszedł do rybaka.

— Powiedzcie mi, człowieku, nie wiecie, czy ta pani, która przyjechała drugim samochodem, wróciła już?

— Ta pani w sukience w kwiaty? Nie, proszę pana, nie widziałem jej. Rano poszła wzdłuż skał w kierunku jaskini.

— Wiem, wiem — niecierpliwił się Denis. — Kapaliśmy się w morzu wszyscy troje, a potem zostawiła nas na plaży, a sama poszła do domu i odtąd jej nie widziałem. Droga do gospody nie zabrałaby jej tak dużo czasu. Te skały wokoło nie są chyba niebezpieczne, co?

— To zależy, jaką drogą iść, panie. Najlepiej wziąć ze sobą kogoś, kto dobrze zna te strony.

Najwyraźniej miał siebie na myśli i już zaczynał rozprawiać na ten temat, gdy tamten przerwał mu bezceremonialnie i podbiegł do gospody, wołając do żony na balkonie.

— Słuchaj, Margery, Carol jeszcze nie wróciła. Dziwne, prawda?

Nie słyszałam, co odpowiedziała żona.

— Cóż, nie możemy czekać ani chwili dłużej — mówił dalej — jeśli chcemy dojechać do Penrilhar. Jesteś gotowa? Podjadę samochodem.

Podprowadził wóz i wkrótce oboje ruszyli w drogę. Tymczasem ja postanowiłam sobie udowodnić, że krew, którą widziałam, była tylko grą mojej podnieconej wyobraźni. Gdy samochód odjechał, podeszłam aż do gospody i dokładnie obejrzałam chodnik. Nie było na nim oczywiście żadnych krwawych śladów. Ot, po prostu urojenie. A jednak nie opuściło mnie uczucie lęku. Gdy tak stałam, usłyszałam za sobą głos rybaka. Patrzył na mnie z zaciekawieniem.

— Zdawało się pani, że widziała tu ślady krwi.

Potwierdziłam.

— To dziwne, bardzo dziwne... Mamy tu taki przesąd. Jeśli ktoś zobaczy krew w tym miejscu... — urwał.

— Tak? — zachęciłam go.

Podjął temat łagodnym głosem z kornwalijską intonacją, ale poprawną, jakby wyuczoną wymową, zupełnie pozbawioną typowego dla tych stron słownictwa.

— Mówią, że jeśli ktoś zobaczy tutaj krew, śmierć odwiedzi to miejsce w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Aż mnie ciarki przeszły! A on przekonywał:

— W kościele jest bardzo interesująca tablica, która głosi, że śmierć...

— Nie, dosyć tego — rzuciłam zdecydowanie i obróciwszy się na pięcie, ruszyłam w górę ku domkowi, gdzie wynajmowałam pokój. Gdy dotarłam na miejsce, zobaczyłam z daleka Carol idącą dróżką wzdłuż skał. Spieszyła się. Na tle szarej masy skał wyglądała jak szkarłatny kwiat. Jej

kapelusze miał kolor krwi...

Przeszedł mnie dreszcz. Znowu ta krew... Później usłyszałam warkot uruchamianego silnika. Zastanawiałam się, czy ona również jedzie do Penrithar, ale skręciła w lewo.

Patrzyłam w ślad za samochodem, który wspiął się na wzgórze i zniknął mi z oczu.

Odetchnęłam z ulgą. Rathole znowu wydało mi się ociężałe i jakby uśpione.

— Jeśli to już wszystko — rzekł Raymond West, gdy Joyce przerwała na chwilę — od razu zabiorę głos. Po prostu niestrawność, stąd latające punkciki przed oczami po każdym posiłku.

— To jeszcze nie koniec — podjęła Joyce. — Posłuchaj dalej.

O następstwach tych wydarzeń dowiedziałam się z gazety w dwa dni później. Wzmianka zatytułowana: „Tragiczna kąpiel w morzu”. Donosiła, że pani Dacre, żona kapitana Denisa Dacre’a, utonęła niedaleko Landeer Cove, miejscowości położonej nieco dalej na wybrzeżu.

Wraz z mężem zatrzymała się w tamtejszym hotelu i poszła nad morze mimo zimnego wiatru, który nie sprzyjał kąpeli. Kapitan Dacre uznał, że jest za zimno, i poszedł grać ze znajomymi w golfa. Pani Dacre stwierdziwszy, że chłód jej nie przeszkadza, poszła sama nad zatokę. Gdy nie wracała, mąż zaniepokoił się i z kilkoma przyjaciółmi zszedł na plażę. Znaleźli jej ubranie leżące koło skały, ale po niej samej nie było śladu. Ciało odnaleziono w dwa tygodnie później wyrzucone przez morze na brzeg nieco dalej od miejsca wypadku. Głowę miała rozciętą na skutek silnego uderzenia; stwierdzono, że stało się to przed zgonem, ale wytłumaczono uderzeniem głową o skały podczas nurkowania. Z moich obliczeń wynikało, że zginęła akurat dwadzieścia cztery godziny po tym, jak zobaczyłam krwawe ślady na chodniku przed gospodą.

— Składam protest — rzekł sir Henry. — To nie zagadka kryminalna, lecz opowieść o duchach. Panna Lemprière najwidoczniej jest medium.

Pan Petherick jak zwykle odkaszlnął, zanim zaczął mówić.

— Jedno uderza mnie w tej historii — rozcięcie głowy. Myślę, że nie wolno nam wykluczyć możliwości przestępstwa. Nie mamy jednak na to jednoznacznych dowodów.

Halucynacja, czy raczej wizja, panny Lemprière jest oczywiście interesująca, ale nie rozumiem, jak możemy wysuwać jakiegokolwiek hipotezy opierając się na faktach, jakie nam podała.

— Niestrawność albo zbieg okoliczności — odparł Raymond. — W każdym razie nie możemy być pewni, że chodzi o tych samych ludzi. Poza tym klątwa, czy co tam, spadłaby raczej na kogoś ze stałych mieszkańców Rathole.

— Czuję, że ten złowieszczy rybak maczał w tym palce. Ale popieram zdanie pana Pethericka, że panna Lemprière podała nam bardzo niewiele faktów — dodał komisarz.

Joyce zwróciła się ku panu Penderowi, który uśmiechnął się kiwając głową.

— To ogromnie ciekawa sprawa. Obawiam się jednak, że muszę zgodzić się z moimi przedmówcami. Jest zbyt mało faktów, na których mógłbym oprzeć rozważania.

Wtedy Joyce spojrzała z zacięciem na pannę Marple, a ta uśmiechnęła się do niej.

— Mnie się również wydaje, że trochę to nie fair z twojej strony, kochana Joyce —

powiedziała starsza pani. — Ze mną jest nieco inna sprawa. My, kobiety, doceniamy znaczenie ubioru. Nie sądzę, by była to odpowiednia zagadka dla mężczyzn. Musiało tam być sporo przebierania się. Cóż za okrutna kobieta! I jeszcze bardziej bezlitosny mężczyzna!

Joyce wlepiła w nią wzrok.

— Ciociu Jane!... To znaczy, chciałam powiedzieć, panno Marple — poprawiła się pospiesznie. — Wydaje mi się, że pani chyba zna prawdę.

— Cóż, kochanie, to znacznie łatwiejsze dla mnie, mieszkającej w takim zaciszu, niż dla ciebie. Poza tym jako artystka łatwo ulegasz nastrojom, prawda? A ja siedzę tutaj i robiąc na drutach jaśniej dostrzegam wyłącznie fakty. Krople krwi spadły z kostiumu kąpielowego wiszącego na piętze. A że był to czerwony kostium, przestępcy nie spostrzegli, że był

splamiony krwią. Biedna, bardzo biedna mała!

— Przepraszam, panno Marple — nie wytrzymał komisarz — ale ja nadal trwam w nieświadomości. Pani z panną Lemprière zdajecie się wiedzieć, o czym mówicie, ale my, mężczyźni, dalej tkwimy w mroku tajemnicy.

— Wobec tego dokończę teraz moją historię — rzekła Joyce. — W rok później pojechałam do małego kurortu na wybrzeżu. Właśnie zabierałam się do malowania, gdy nagle doznałam uczucia, że dzieje się coś, w czym już wcześniej uczestniczyłam. Przede mną na chodniku stało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, którzy witali się z trzecią osobą, kobietą ubraną w płócienną sukienkę w szkarłatne poinsettie. — „Carol, cóż za wspaniałe spotkanie!”

— usłyszałam. — „Jak miło zobaczyć cię po tylu latach. Nie znasz mojej żony? Joan, to moja stara znajoma, panna Harding”.

Mężczyznę poznałam od razu. Był to ten sam Denis, którego widziałam w Rathole, tylko żonę miał inną, to znaczy była nią Joan zamiast Margery, ale reprezentowała ten sam typ kobiety — młodej, skromnej i niepozornej. Przemknęło mi przez myśl, że postradałam zmysły. Tymczasem oni zaczęli rozmawiać o... kąpeli w morzu. Wtedy wiecie, co zrobiłam?

Poszłam wprost na komisariat. Sądziłam, że uznają mnie za rozhisteryzowaną wariatkę, ale nie zważałam na to. I okazało się, że dobrze zrobiłam. Zastałam tam inspektora ze Scotland Yardu, który przyjechał specjalnie w tej sprawie. Policja miała już na oku Denisa Dacre'a. To nie było zresztą jego prawdziwe nazwisko. Miał ich kilka i przybierał je zależnie od okoliczności. Nawiazywał znajomość z młodymi kobietami, zwykle szarymi, nie rzucającymi się w oczy, bez bliskich krewnych czy przyjaciół, poślubiał je, ubezpieczał wysoko na życie, a potem... Och! To okropne!

Ta kobieta, Carol, była w rzeczywistości jego autentyczną żoną i wspólnie przeprowadzali taki sam plan. To właśnie naprowadziło policję na jego ślad. Agencje ubezpieczeniowe zaczęły go podejrzewać. Zwykle bowiem zabierał swoje nowo poślubione żony do jakiegoś zacisznego miasteczka nad morzem, potem niby przypadkiem przyjeżdżała ta druga kobieta i razem wybierali się na plażę. Tam mordowali żonę, Carol wkładała jej ubranie i wracała z mężczyzną łódką. Potem opuszczali miasto po uprzednim demonstracyjnie głośnym rozpytywaniu o Carol. Ta zaś, już za miastem, przebierała się w swoją ekstrawagancko jaskrawą sukienkę i kapelusz, robiła rzucający się w oczy makijaż i wracała do miasteczka, skąd wyjeżdżała już własnym samochodem. Dowiadawali się, dokąd prąd może znieść zwłoki, i tam też pozorowali utonięcie nieżyjącej już żony, którą dla mimowolnych świadków odgrywała Carol ubrana w skromne rzeczy tamtej. Schodziła na plażę zostawiając jej ubranie i wracała w swojej kwiecistej sukience, która nieodparcie kojarzyła się z jej osobą. I spokojnie czekała na męża, który dołączał do niej po przeprowadzonym śledztwie, uwolniony od jakichkolwiek podejrzeń.

Przypuszczam, że kiedy zabili biedną Margery, kilka kropel krwi musiało trysnąć na kostium kąpielowy Carol, a że był czerwony, nie zauważyli tego. Panna Marple słusznie rzecz odgadła. Gdy zawiesili kostiumy, by wyschły na balkonie, krew ściekała na chodnik. Och, jeszcze teraz ją widzę — wstrząsnęła się Joyce.

— Oczywiście — rzekł sir Henry. — Teraz świetnie przypominam sobie tę sprawę.

Mężczyzna w rzeczywistości nazywał się Davis. Zupełnie uciekło mi z pamięci, że jedno z jego fałszywych nazwisk brzmiało Dacre. Tych dwoje stanowiło niezmiernie przebiegłą parę.

Zawsze dziwiło mnie jednak, że nikt nie rozpoznał Carol w kolejnych wcieleniach. Chyba tylko dlatego, że — jak słusznie zauważyła panna Marple — ubiór łatwiej zapamiętać niż twarz, zwłaszcza tak jaskrawy i rzucający się w oczy. To była zbrodnia niemal doskonała i choć podejrzewaliśmy Davisa, nie mogliśmy mu niczego udowodnić ze względu na jego niepodważalne alibi.

— Ciociu Jane — rzekł Raymond patrząc z ciekawością na starszą panią. — Jak ty to wszystko odgadujesz? Żyjesz przecież tak spokojnie, a nic nie jest cię w stanie zadziwić.

— Zawsze twierdzę, że życie tworzą powtarzające się sytuacje — odparła panna Marple.

— Wiesz, swego czasu mieszkała w St. Mary Mead niejaka pani Green. Pochowała pięcioro dzieci, a każde z nich było ubezpieczone na życie. No i oczywiście nie obeszło się bez podejrzeń. — Pokiwała głową. — Wiele jest zła w życiu na wsi. Mam nadzieję, że wy, młodzi, nigdy nie doświadczycie na sobie, jak wiele jest zła na świecie.

Motyw i okazja

Mecenas Petherick odkaszlnął staranniej i donośniej niż zwykle.

— Obawiam się, że moja historia wypadnie raczej blado po tych wszystkich kryminalnych sensacjach, jakie usłyszeliśmy. Nie ma w niej krwawych wydarzeń, ale wydaje mi się dość ciekawa i zagadkowa, a poza tym na szczęście znam jej rozwiązanie.

— Nie jest jednak bardzo fachowa w sensie prawnym — wołała się upewnić Joyce. — To znaczy, nie wymaga od nas znajomości kodeksu prawnego, paragrafów i tym podobnych.

Adwokat uśmiechnął się do niej zza okularów.

— Nie, nie, droga pani. Nie ma obawy, nic z tych rzeczy. Historia, którą mam zamiar opowiedzieć, jest prosta i nieskomplikowana, tak że może ją rozwiązać każdy laik.

— Tylko bez kruczków prawnych, proszę — ostrzegła panna Marple żartobliwie grożąc mu drutem.

— Ależ oczywiście.

— Nie jestem tego taka pewna, ale zobaczymy.

Adwokat rozpoczął opowieść.

— Niniejsze wydarzenia dotyczą mojego byłego klienta, którego będę nazywać Simonem Clode. Był człowiekiem stosunkowo zamożnym i mieszkał w dużym domu niedaleko stąd.

Jego jedyny syn poległ na wojnie i osierocił dziecko, dziewczynkę. Matka jej zmarła przy porodzie, a po śmierci ojca przygarnął ją dziadek. Ogromnie się przywiązał do tego dziecka.

Mała Chris mogła z nim robić, co tylko chciała. Nigdy dotąd nie widziałem człowieka tak zapatrzonego w dziecko, jak starszy pan Clode. Trudno wprost opisać słowami jego ból i rozpacz, gdy Chris zapadła na zapalenie płuc i umarła w jedenastym roku życia. Biedny Simon Clode był niepokieszony. Jego brat też zmarł w tym czasie i Simon z dobroci serca przygarnął swych osieroconych bratanków — dwie dziewczynki, Grace i Mary i chłopca imieniem George. Chociaż był dla nich dobry i hojny, nie był w stanie obdarzyć ich taką miłością jak małą Chris. Gdy dzieci dorosły, chłopiec został urzędnikiem w miejscowym banku, a Grace wyszła za mąż za zdolnego naukowca chemika, Philipa Garroda.

Zrównoważona i nieco skryta Mary mieszkała razem ze stryjcem opiekując się nim. Myślę, że naprawdę go kochała na swój spokojny, niewylewny sposób. Wszystko wskazywało na to, że ich życie toczy się pogodnie, bez żadnych wstrząsów.

Po śmierci Christobel pan Clode odwiedził mnie i prosił o sporządzenie testamentu na nowo, w którym swą znaczną fortunę rozdzielił na trzy równe części pomiędzy swe bratanice i bratanka.

Czas mijał. Pewnego dnia przypadkowo spotkałem George'a Clode'a i zapytałem o jego stryja, którego od dawna nie widziałem. Ku memu zdziwieniu George spochmurniał.

— Pragnąłbym, by przemówił pan stryjowi do rozsądku. Ta sprawa z duchem Chris staje się nie do zniesienia — rzekł ze smutkiem, a jego ucziwa, choć niezbyt urodziwa twarz wyrażała zakłopotanie i zmartwienie.

— Jaka sprawa? — nie wierzyłem własnym uszom.

Wtedy George opowiedział mi wszystko. Pan Clode zaczął interesować się spirytyzmem, a ukoronowaniem jego nowej pasji było spotkanie medium, Amerykanki Eurydice Spragg. Ta kobieta, której George nie zawahał się nazwać skończoną oszustką, podbiła go zupełnie.

Właściwie stale przebywała w domu i przeprowadzała wiele seansów spirytystycznych, podczas których duch Chris przemawiał do kochającego dziadka. Tu muszę zaznaczyć, że nie należę do ludzi, którzy traktują spirytyzm z kpiącą pogardliwością. Sądzę, że jeśli się spojrzy na to bezstronnie i uzna wyższość racjonalizmu nad metafizyką, można samemu się zapędzić w kozi róg. Bo jakże wytłumaczyć te zjawiska, których nie da się uzasadnić żadnymi racjonalnymi przesłankami, a których nie można pominąć milczeniem lub też sprowadzić je do miana oszustwa?

Tak więc zgodnie z tym, co powiedziałem, ani wierzę w autentyczność spirytyzmu, ani temu przeczę. Z drugiej jednak strony spirytyzm łatwo może służyć szalbierstwu, a z tego, co mówił młody Clode o pani Spragg, wynikało niezbicie, że jest ona oszustką najgorszego gatunku. Nietrudno jej było zawładnąć umysłem człowieka, który stawał się dziecinnie naiwny, gdy chodziło o jego nieżyjącą wnuczkę. Darzył ją wciąż ogromną miłością, łatwo więc było go omotać. Trzeba jednak przyznać, że w innych sprawach wykazywał trzeźwość spojrzenia i przenikliwość godną pozazdroszczenia.

Rozmyślając nad tym wszystkim odczułem ogarniający mnie niepokój. Szczerze lubiłem młodych Clode'ów, Mary i George'a, i zdawałem sobie sprawę, że pani Spragg poważnie wpływając na ich stryja może spowodować w przyszłości kłopoty.

Pod byle jakim pretekstem odwiedziłem Simona Clode'a. Zauważyłem, że pani Spragg przyjmowana jest przez niego z wszelkimi honorami jak serdeczny przyjaciel. Jej wygląd potwierdził moje najgorsze obawy. Była postawną kobietą w średnim wieku, ubraną nieco ekscentrycznie. Jej usta pełne były obłudnych frazesów typu „nasi najbliżsi, którzy już odeszli” i tym podobnych. Mąż jej, Absalom Spragg, również czuł się tam na dobre zadomowiony. Był wysokim, chudym mężczyzną o melancholijnej twarzy i uciekającym w bok spojrzeniu.

Postarałem się zostać sam na sam z Simonem Clode najszybciej, jak tylko mogłem, i skierowałem taktownie rozmowę na ich temat. Simon wpadł niemal w entuzjazm — Eurydice Spragg jest wspaniała! Jego modlitwy zostały wysłuchane. Cóż za bezinteresowna osoba!

Zupełnie nie dba o pieniądze, wystarcza jej radość, którą niesie jego znękanemu sercu. Żywi macierzyńskie uczucia dla Chris. On sam zaczynał ją kochać jak córkę.

Potem wdał się w szczegóły — jak usłyszał głos Chris mówiącej o szczęściu przebywania razem ze

swymi rodzicami. Przytaczał różne ckiwe wypowiedzi zmarłej, które zupełnie do niej nie pasowały, o ile dobrze znałem małą Chris za życia. Poza tym zwykła podkreślać w swoich wypowiedziach podczas seansów, że „tatuś i mamusia kochają drogą panią Spragg!”

— Ale ty, oczywiście, w to nie wierzysz — przerwał.

— Nie to, że nie wierzę. Daleki jestem od tego. Jest paru ludzi, którzy zajmują się spirytyzmem, i przyjmują ich słowa bez zastrzeżeń. Jak również z pełnym szacunkiem i powagą traktuję media, które są przez nich polecane. Domyślam się, że pani Spragg ma dobre rekomendacje.

Simon znów wpadł niemal w ekstazę mówiąc o niej. Wprost niebo mu ją zesłało. Spotkali się w nadmorskiej miejscowości, gdzie przebywał przez dwa miesiące. Zupełny przypadek. I jak wspaniały owoc tego spotkania!

Wyszedłem od niego bardzo wzburzony. Potwierdziły się moje najgorsze obawy, ale zupełnie nie wiedziałem, jak mogę temu zaradzić. Po dokładnym rozważeniu sprawy zdecydowałem się napisać do Philipa Garroda, męża Grace, najstarszej bratanicy mego przyjaciela. W bardzo oględny sposób wyłożyłem mu całą sprawę wskazując na niebezpieczeństwo zagrażające ze strony tej kobiety, która może całkowicie zawładnąć umysłem starca. Poddałem mu myśl, by skontaktował się z kimś godnym zaufania z towarzystwa spirytystycznego. Z tym, jak sądziłem, Philip nie powinien mieć większych trudności.

Garrod zaczął działać natychmiast. Zdawał sobie sprawę lepiej niż ja, że stan zdrowia Simona Clode'a może się pogorszyć lada moment. Jako zaś praktyczny człowiek, nie zamierzał pozwolić, by jego najbliższa rodzina została pozbawiona praw do majątku, który jej się słusznie należał, na skutek zakusów i machinacji pani Spragg.

Następnego tygodnia przyszedł do mnie w towarzystwie sławnego profesora Longmana, świetnego naukowca, który swą osobą nadawał spirytyzmowi rangę zjawiska godnego uwagi i poważania. Ponadto jako człowiek odznaczał się nieposzlakowaną uczciwością i rzetelnością. Philip Garrod zaprosił profesora do domu stryja swej żony. Efekt tej wizyty był

jednak wysoce niefortunny. Podczas swej bytności w domu Clode'a profesor Longman niewiele mówił. Przeprowadzono dwa seanse w jego obecności, ale nie znam bliższych szczegółów. Profesor przez cały czas zupełnie się nie angażował, a po wyjeździe napisał list do Philipa Garroda, w którym donosił, że nie wykrył wprawdzie jawnego oszustwa w działalności pani Spragg, niemniej jednak prywatnie wątpi w autentyczność tych seansów.

Stwierdził jeszcze, że Garrod może pokazać ten list panu Clode'owi, jeśli uzna to za stosowne, ale osobiście radził skontaktować go raczej z medium z prawdziwego zdarzenia.

Garrod zaniósł list prosto do Clode'a, który zareagował w najmniej oczekiwany sposób.

Wpadł po prostu w furję.

— To wszystko są niecne insynuacje, by zniesławić panią Spragg, która jest oczernianą i krzywdzoną

przez wszystkich świętością — krzyczał. Ona sama skarżyła się mu na jawną wrogość i zazdrość, którymi często otaczano ją w kraju. Podkreślał, że nawet Longman zmuszony był przyznać, iż nie wykrył oszustwa w jej seansach. Eurydice Spragg zjawiała się w najgorszym momencie jego życia, by nieść mu ukojenie i pomoc. On zaś gotów jest bronić jej, nawet jeśli miałyby go to skłócić z całą rodziną. Pani Spragg znaczy dla niego więcej niż ktokolwiek na świecie.

Philip Garrod został bez ceremonii wyproszony z domu, a zdrowie Simona Clode'a pogorszyło się wskutek tego incydentu. Przez ostatnie dni ciągle leżał w łóżku, po czym okazało się, że istnieje niebezpieczeństwo stałego inwalidztwa aż do chwili, gdy śmierć zabierze go z tego świata.

W dwa dni po niefortunnej interwencji Philipa zostałem pilnie wezwany do Clode'a.

Leżał w łóżku i nawet laik jak ja mógł łatwo spostrzec, że naprawdę jest bardzo chory.

Oddychał ciężko, z trudem łapiąc powietrze.

— To już koniec — powiedział, przywitawszy się ze mną. — Czuję to. Nie zaprzeczaj, Petherick. Przed śmiercią chcę jednak wypełnić powinność wobec osoby, która zrobiła dla mnie więcej niż ktokolwiek na świecie. Chcę zmienić testament.

— Oczywiście. Proszę podać mi szczegóły, a ja sporządzę testament i prześlę go pocztą.

— To na nic. Widzisz, przyjacielu — ciągnął z trudem chory — mogę nie przeżyć tej nocy. Ja już napisałem, czego chcę, i mam to tutaj — sięgnął pod poduszkę. — Powiedz mi tylko, czy dobrze to jest sformułowane.

Wyjął kartkę papieru, na której ołówkiem skreślił kilkanaście słów. Jego ostatnia wola była zupełnie jasna. Zostawiał pięć tysięcy funtów każdemu ze swych bratanków, a resztę sporej fortuny zapisał Eurydice Spragg „w dowód wdzięczności i podzięką”. Nie podobało mi się to, ale co miałem robić. Nie było mowy o niepoczytalności Clode'a, gdyż był w pełni sił

umysłowych. Wezwał dwie służące, które stawily się pospiesznie w pokoju swego pana.

Pokojówka Emma Gaunt, wysoka kobieta w średnim wieku, służyła u Clode'a wiele lat i pielęgnowała go z oddaniem podczas choroby. Drugim świadkiem była kucharka, czerstwa i dorodna kobieta około trzydziestki. Simon Clode patrzył na nie z powagą spod krzaczastych brwi.

— Chcę, byście zostały świadkami przy sporządzaniu mej ostatniej woli. Emmo, podaj mi pióro.

Pokojówka posłusznie podeszła do biurka.

— Nie w tej szufladzie — zirytował się Clode. — Nie wiesz, że trzymam pióro wieczne w prawej szufladzie?

— Jest tutaj, proszę pana — Emma wyjęła je z szuflady po lewej stronie biurka i podała swemu chlebodawcy.

— Sama musiałaś je tam położyć — zrywał się staruszek. — Nie cierpię, gdy kładzie się rzeczy nie na swoim miejscu.

Wziął pióro i przepisał testament na czysto. Pod spodem złożył swój podpis. Obydwie służące podpisały się również. Złożyłem arkusz i włożyłem do podłużnej niebieskiej koperty, którą przyniosłem ze sobą. Było to konieczne, skoro testament był sporządzony na zwykłym papierze. W chwili później, gdy służące opuszczały pokój, Clode opadł na poduszki z trudem łapiąc powietrze i krzywiąc się z bólu. Pochyliłem się nad nim z niepokojem, a Emma szybko podeszła do niego. Staruszek przyszedł jednak do siebie i uśmiechnął się słabo.

— Już w porządku, Petherick, nie bój się. W każdym razie umrę teraz spokojnie, że zrobiłem to, co leżało mi na sercu od jakiegoś czasu.

Emma Gaunt spojrzała na mnie pytająco, jakby czekając na przyzwolenie opuszczenia pokoju. Skinąłem głową i wyszła. Przedtem jednak schyliła się i podniosła niebieską kopertę, która spadła na podłogę podczas tego zamieszania. Wręczyła mi ją, a ja wsunąłem do kieszeni płaszcz.

— Jesteś zdenerwowany, Petherick — rzekł Simon Clode. — Uprzedziłeś się do pani Spragg, jak zresztą wszyscy w tym domu.

— To nie sprawa uprzedzenia. Pani Spragg może sobie być, czym chce. Nie zdziwiłbym się, gdybyś zostawił jej jakiś legat w podzięce. Mówię ci jednak otwarcie, że wydziedziczyć własną rodzinę na jej korzyść to naprawdę gruba przesada.

Z tymi słowami pożegnałem się. Tylko to mogłem zrobić, by wyrazić swoją dezaprobatę!

Mary Clode spotkała mnie w hallu wychodząc z salonu.

— Napije się pan z nami herbaty przed wyjściem? — zaproponowała i wprowadziła mnie do pokoju.

Na kominku wesoło buzował ogień i wewnątrz wyglądało miło i przytulnie. Pomagała mi właśnie zdjąć płaszcz, gdy do pokoju wszedł George, jej brat. Wziął od niej płaszcz i położył

na krześle w głębi pokoju. Przyłączył się do nas i zaczęliśmy rozmawiać o sprawach majątkowych. Chory pan Clode zrezygnował z zarządzania majątkiem i zdał to na bratanka.

Ten zaś niepokoił się nieco, nie dowierzał bowiem swemu doświadczeniu. Zaproponowałem, by przejrzeć papiery po podwieczorku, wkrótce wszyscy troje udaliśmy się do gabinetu.

W kwadrans później szykowałem się do wyjścia. Poszedłem do salonu po płaszcz.

Zastałem tam panią Spragg, klęczącą przy krześle, na którym leżało moje okrycie, i zdającą się całkiem niepotrzebnie poprawiać kretonowy pokrowiec opinający siedzenie krzesła. Na nasz widok poderwała się z czerwoną z zażenowania twarzą.

— Ten pokrowiec ciągle się marszczy — zauważyła. — Sama lepiej bym go uszyła.

Wkładając płaszcz spostrzegłem, że koperta zawierająca testament wypadła i leżała na podłodze. Podniosłem ją, włożyłem z powrotem do kieszeni i pożegnawszy się, wyszedłem.

Opiszę teraz dokładnie, co robiłem po przyjsciu do biura. Otóż zdjąłem płaszcz i wyjąłem testament. Stałem przy stole trzymając kopertę w ręce, gdy przyszedł mój pomocnik i powiedział, że jestem proszony do telefonu. Przeszedłem do innego pokoju, gdyż aparat w moim gabinecie był zepsuty. Przebywałem tam około pięciu minut. Gdy skończyłem, mój pomocnik czekał na mnie.

— Pan Spragg chciałby się z panem widzieć. Poprosiłem go do gabinetu.

Wróciwszy, zastałem pana Spragga siedzącego przy stole. Przywitał się ze mną z pewnym wyszukaniem, a potem zaczął rozwlekłe rozprawiać. W gruncie rzeczy było to niespokojne usprawiedliwianie pani Spragg i jego samego; obawiał się — mówił — że ludzie źle im życzą etc. etc., a jego żona przez całe życie znana była z prawości charakteru i dobroci serca... I tak dalej. Przyznam się, że potraktowałem go dość szorstko. W końcu zdał sobie sprawę, że jego misja nie odniosła spodziewanego skutku, bo pożegnał się pospiesznie i wyszedł. Wtedy przypomniałem sobie, że testament leżał cały czas na biurku. Wziąłem więc kopertę, zakleiłem i umieściłem w sejfie.

Zbliżam się teraz do sedna sprawy. Dwa miesiące później umarł Simon Clode. Będę się streszczał, nie wdając się w szczegóły. Gdy otworzono kopertę, okazało się, że znajduje się w niej jedynie czysta kartka papieru!

Adwokat urwał na chwilę, jakby dla zwiększenia efektu wypowiedzianych słów. Powiódł

wzrokiem po wszystkich zebranych, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Doceniacie państwo znaczenie tego faktu, prawda? — powiedział po chwili. — Przez dwa miesiące zaklejona koperta spoczywała w moim sejfie. Absolutnie nikt nie mógł przy niej manipulować. Zbyt mało było na to czasu od momentu sporządzenia testamentu do zamknięcia go w sejfie. Kto więc miał okazję, by się do niego dostać, i w czyim mogłoby to leżeć interesie?

Na koniec zrekapituluję najważniejsze punkty tej łamigłówki. Testament był podpisany przez pana Clode'a w mojej obecności i włożony przeze mnie do koperty. Potem ja sam umieściłem ją w kieszeni płaszcza. Ten zaś miała w ręce Mary, a potem George, ale cały czas przebywali w zasięgu mego wzroku. Wtedy gdy byliśmy w gabinecie, pani Spragg miała tyle czasu, by wyjąć testament z kieszeni, przeczytać go — iż pewnością tak właśnie zrobiła, bo znaleźliśmy kopertę na podłodze, gdy wróciliśmy do salonu.

Tu jednak wyłania się pierwsza wątpliwość: miała okazje zamiany, nie miała motywu.

Testament był przecież dla niej korzystny, a zamieniając kartki pozbawiłaby się spadku, o który tak bardzo zabiegała. To samo dotyczy jej męża. Mógł to zrobić w ciągu tych paru chwil, gdy sam przebywał w moim gabinecie, ale przecież działałby na własną niekorzyść.

Oboje więc mieli okazje, by dokonać zamiany, ale nie mieli motywu.

Odwrotnie zaś Mary i George — mieli motyw, ale nie mieli okazji. Nie można też pominąć w

podejrzeniach Emmy Gaunt. Była ogromnie przywiązana do swych młodych państwa, a nienawidziła Spraggów. Sądzę, że nie oparłaby się pokusie zamiany testamentu na czystą kartkę papieru, gdyby tylko mogła. Jednakże mimo że miała kopertę w ręce podnosząc ją z podłogi w pokoju Clode'a, z pewnością nie miała możliwości dokonania jakichkolwiek machinacji z jej zawartością. Poza tym kopertę przyniosłem osobiście i nie przypuszczam, by u Clode'a mogła się znaleźć druga taka sama. To więc wyklucza ewentualność zamiany kopert przez Emmę.

Adwokat rozejrzał się po zgromadzonych.

— Tak więc wygląda moja zagadka. Mam nadzieję, że przedstawiłem fakty wystarczająco jasno. A teraz z ciekawością wysłucham kolejnych wersji jej rozwiązania.

Ku zdziwieniu wszystkich panna Marple zaczęła chichotać. Wydawało się, że bardzo ją coś bawi.

— Co się stało, ciociu Jane? Czy nie powiesz nam, co cię tak rozśmieszyło? — zapytał

Raymond.

— Przypomniał mi się Tommy Symonds, mały łobuziak, ale bardzo czasem zabawny.

Jedno z tych dzieci o buzi niewiniątka, a zawsze skorych do jakiegoś psikusia. Zeszłego tygodnia w szkółce kościelnej zapytał nauczycielkę:

„Proszę pani, jak się mówi: żółtka są białe czy żółtko jest białe?” — Nauczycielka wyjaśniła, że obydwie formy są prawidłowe, na co Tommy: „Hm, zawsze myślałem, że żółtko jest żółte.”

Nieładnie to z jego strony, ale żart wcale niezły, choć stary jak świat. Ja również go pamiętam z mojego dzieciństwa.

— To bardzo zabawne, kochana ciociu, ale niewiele ma wspólnego z historią pana Pethericka — łagodnie zaprotestował Raymond.

— Ależ ma! To pułapka, a opowieść pana Pethericka jest również pułapką. Nic dziwnego, jest przecież adwokatem. A fe, mój stary przyjacielu — karcąco pokiwała głową.

— Ciekaw jestem, czy rzeczywiście odgadła pani prawdę — mrugnął do niej adwokat.

Panna Marple napisała kilka słów na kawałku papieru, zwinęła w rulonik i padała panu Petherickowi. Ten rozwinął papierek, przeczytał i spojrzał na nią z podziwem.

— Droga pani, czy jest coś, czego by pani nie odgadła?

— Znam ten trick jeszcze z czasów dzieciństwa. Również się tym zabawiałam.

— Nic z tego nie rozumiem — wtrącił sir Henry.

— Jestem pewny, że pan Petherick trzyma coś jeszcze w zanadrzu.

— Ależ nie, wcale nie — zaprotestował adwokat. — Przedstawiłem państwu sprawę najzupełniej uczciwie. I proszę nie sugerować się panną Marple, ona ma swoisty sposób myślenia.

— Powinno i nam się udać odgadnąć prawdę — rzucił nieco poirytowany Raymond. —

Fakty zdają się proste. Pięć osób miało dostęp do tej koperty. Spraggowie na pewno mieli z tym coś wspólnego, ale to nie oni dokonali zamiany. Zostają wobec tego pozostałe trzy osoby.

Wydaje mi się, że George Clode znał jakieś sztuczki magiczne i zamienił testament na czystą kartkę papieru, gdy niósł płaszcz w drugi koniec pokoju.

— Cóż, ja uważam, że to sprawka tej wychowanicy, Mary — typowała Joyce. —

Pokojówka zbiegła do niej na dół i powiedziała, co się stało, a ta przygotowała sobie drugą niebieską kopertę, a potem dokonała zamiany.

Sir Henry z wolna pokręcił głową.

— Nie zgadzam się z żadnym z was. Takie sztuczki robią tylko zawodowi iluzjoniści.

Ogląda się je na estradzie lub czyta o nich w książkach, ale raczej niemożliwe, by zdarzyły się w życiu, zwłaszcza na oczach przenikliwego pana Pethericka. Mam jednak pewien pomysł.

Wiemy... że profesor Longman podczas swej wizyty u Clode'ów niewiele mówił. Można by więc przypuścić, że Spraggowie czuli się zagrożeni po jego pobycie w domu. Jeśli pan Clode nie wtajemniczył ich w bliższe szczegóły o opinii profesora na temat seansów, to wydaje się prawdopodobne, że mogli zrozumieć wezwanie adwokata zupełnie inaczej.

Mogli sądzić, że pan Clode sporządził wcześniej testament na ich korzyść, a na skutek obserwacji profesora zmienił go wydziedziczając panią Spragg.

Mogli też domyślać się, że po interwencji Philipa Garroda pan Clode zdecydował się zapisać spadek najbliższej rodzinie, zwłaszcza jeśli nie zostali powiadomieni o faktycznym obrocie sprawy. W tym wypadku pani Spragg przygotowała się do zamiany kopert. I zrobiła to, nie mając jednak czasu na przeczytanie testamentu, gdyż pan Petherick wrócił do salonu zbyt szybko. Zdążyła tylko spalić prawdziwy.

Joyce zdecydowanie zaprzeczyła.

— Ona nigdy nie spaliłaby czegoś takiego, nie przeczytawszy uprzednio.

— Tak, to mało prawdopodobne — przyznał komisarz. — Może więc... pan Petherick pomógł nieco Opatrzności.

Uwaga ta wzbudziła ogólny śmiech, ale adwokat wyprostował się w fotelu w poczuciu urażonej godności.

— Bardzo niestosowna uwaga — rzucił ostro.

— Jakie jest zdanie pastora Pendera? — zwrócił się komisarz do duchownego.

— Nie mogę powiedzieć, bym miał jasny pogląd na tę sprawę. Uważam, że zamiany dokonała pani Spragg albo jej mąż z powodu, jaki podał sir Henry. Jeśli nie zdążyła przeczytać testamentu przed nadejściem pana Pethericka, wpadłaby w tarapaty, sama nie mogąc już nic z tym zrobić. Być może, podłożyłaby go wśród papierów pana Clode'a i liczyła na to, że zostanie odnaleziony po jego śmierci. Dlaczego nie znaleziono go, nie wiem.

Możliwe, że przyczyniła się do tego pokojówka Emma Gaunt niszcząc go, by uchronić przed krzywdą swych państwa, do których była tak bardzo przywiązana.

— Uważam, że rozwiązanie pastora jest najlepsze ze wszystkich — zawyrokowała Joyce.

— Czy tak to się odbyło, panie Petherick?

Adwokat przecząco pokręcił głową.

— Dokończę opowiadać od miejsca, w którym przerwałem. Gdy otworzono testament, czułem się jak rażony piorunem. Tak jak większość z was nie miałem pojęcia, jak się to mogło stać. I chyba nigdy nie odgadłbym prawdy, gdyby mi ktoś w tym nie pomógł. I to bardzo sprytnie. W miesiąc po śmierci pana Clode'a zaprosił mnie na obiad Philip Garrod i podczas pogawędki po posiłku wspomniał o wypadku, o którym sam się niedawno dowiedział.

— Chciałbym opowiedzieć panu o tym, Petherick, ale proszę o dyskrecję. Może mi pan to obiecać?

Zapewniłem go o tym.

— Mój przyjaciel oczekiwał spadku po jednym z krewnych i bardzo się martwił

dowiedziawszy się, że zmieniono testament na korzyść ze wszech miar niegodnej osoby.

Mój przyjaciel zapobiegł temu nie bawiąc się w skrupuły. W domu od lat zatrudniona była pokojówka, niezmiernie oddana, jak by to powiedzieć, prawnym spadkobiercom. Więc pokierował wydarzeniami przy jej pomocy. Dał jej wieczne pióro, które miała położyć na biurku swego pana, w innej jednak szufladzie, niż zwykle leżało. Było ono napełnione specjalnym atramentem. W wypadku gdyby jej pan poprosił ją o podpisanie jakiegoś dokumentu i polecił podać pióro, miała przynieść nie to, którym zwykł był pisać, ale to drugie, dostarczone jej przez mego przyjaciela. To wszystko, co miała zrobić. Mimo że nie podał jej żadnych wyjaśnień, wykonała, czego od niej oczekiwano.

Tu urwał na chwilę i rzekł:

— Mam nadzieję, że nie nudzę pana, Petherick? — A gdy zaprzeczyłem, spojrział mi uważnie w oczy.

— Pan oczywiście nie zna mego przyjaciela. — Potwierdziłem, a on skonkludował. — Wobec tego wszystko jest w porządku.

Adwokat zawiesił głos, a potem podjął znowu z lekka się uśmiechając.

— Teraz wiecie państwo, w czym rzecz? Pióro zostało napełnione atramentem sympatycznym wytworzonym z wody, do której dolano kilka kropel jodyny. Ten związek daje ciemne, granatowoczarne pismo, które znika całkowicie po czterech, pięciu dniach.

Panna Marple zaśmiała się rozbawiona.

— Atrament niewidka. Znam ten sposób, często zabawiałam się nim jako dziecko.

Uśmiechnęła się do wszystkich, po czym pogroziła palcem panu Petherickowi.

— W każdym razie ta historia była podchwytliwa — powiedziała. — Tak jak i każdy adwokat...

VI

Zbrodnia i ryby

— A teraz, ciociu Jane, kolej na ciebie — rzekł Raymond West.

— Właśnie! I oczekujemy zagadki z prawdziwego zdarzenia — Joyce Lemprière przytaknęła Raymondowi.

— No, co, pokpiwacie sobie ze mnie — łagodnie zaprotestowała panna Marple. —

Uważacie, że jeśli spędziłam całe życie na wsi, to nie przydarzyło mi się nic naprawdę ciekawego.

— Boże broń, bym kiedykolwiek uważał życie na wsi za spokojne i monotonne —

zaprzeczył Raymond z komicznym ożywieniem. — Po tych wszystkich okropnościach, o których nam opowiedziałaś!... Światowe życie wydaje się oazą spokoju i dobroci w porównaniu z St. Mary Mead!

— Cóż, mój kochany — rzekła panna Marple — natura ludzka jest wszędzie taka sama.

Na wsi po prostu ma się więcej możliwości do przyjrzenia się z bliska.

— Pani jest zupełnie wyjątkowa, ciociu Jane — podkreśliła z naciskiem Joyce. — Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, bym nazywała panią ciocią — dodała. — Nie wiem dlaczego, ale chciałabym, by tak było.

— Naprawdę nie wiesz, kochanie? — panna Marple spojrzała na nią z figlarnym błyskiem w oczach.

Policzki dziewczyny oblał mocny rumieniec, a Raymond West poruszył się nerwowo i odkaslnął, by pokryć zakłopotanie.

Panna Marple spojrzała na oboje z uśmiechem, a potem znów skierowała uwagę na swą robotę na drutach.

— To prawda, że w moim życiu niewiele działo się ciekawego, ale mam sporo doświadczenia w rozwiązywaniu drobnych spraw. Niektóre były dość przemyślnie, nie ma jednak sensu opowiadać o nich, gdyż dotyczą wykroczeń zbyt błahych, by mogło to przykuć waszą uwagę, na przykład: kto pociął siatkę na zakupy pani Jones lub też dlaczego pani Sims tylko jeden raz miała na sobie nowe futro. To naprawdę ciekawe sprawy dla kogoś, kto chciałby badać naturę ludzką. Ale sądzę, że to, co zdarzyło się mężowi mojej siostrzenicy Mabel, chyba was zainteresuje. To jedyna ciekawa sprawa, jaką pamiętam w tej chwili.

Było to dziesięć czy piętnaście lat temu. Wszystko zostało w końcu wyjaśnione, a cała sprawa zakończyła się szczęśliwie. Nikt już zapewne nie pamięta tych wydarzeń, bo pamięć ludzka jest bardzo krótka i zawodna. I jak zawsze mówię, całe w tym szczęście.

Panna Marple przerwała na chwilę mrużąc pod nosem.

— Muszę znowu policzyć oczka w tym rzędzie. Ten ubytek tutaj coś mi się nie podoba.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, potem trzy lewe... w porządku. Co to ja mówiłam? Ach, tak, o tej biedulce Mabel.

Mabel była moją siostrzenicą. Miła dziewczyna, naprawdę, tylko — jakby to powiedzieć

— trochę głupiutka. Lubiła przesadne gesty i mówiła za dużo, gdy była czymś podenerwowana. Wyszła za męża za niejakiego Denmana, gdy miała dwadzieścia dwa lata, ale obawiam się, że nie była zbyt szczęśliwa w małżeństwie. Zawsze miałam nadzieję, że nie przytrafi się im nic złego, bo Denman był człowiekiem bardzo porywczym, nie z gatunku tych mężczyzn, którzy cierpliwie znosiliby słabostki Mabel. Poza tym dowiedziałam się, że w jego rodzinie występowały choroby psychiczne. Jednakże dziewczęta są bardzo uparte. Tak dawnej, jak i dzisiaj. I pewnie nigdy nie będą inne. Więc Mabel poślubiła tego człowieka.

Nieczęsto widywałam ją po ślubie. Przyjechała do mnie raz czy dwa, a choć wiele razy zapraszali mnie do siebie, nigdy ich nie odwiedziłam. Niezbyt chętnie ruszam się z domu i zawsze udawało mi się znaleźć jakąś wymówkę.

W dziesięć lat po ślubie mąż Mabel nieoczekiwanie zmarł. Nie mieli dzieci, Mabel więc była jedyną spadkobierczynią. Napisałam do niej, oczywiście, i zaproponowałam, że przyjadę, jeśli życzy sobie tego. W odpowiedzi dostałam od niej bardzo rzeczowy list, z którego wywnioskowałam, że nie jest zbyt przejęta śmiercią męża. Przyjęłam to bez zdziwienia, bo wiedziałam, że już od jakiegoś czasu w tym małżeństwie źle się działo. Nie upłynęły trzy miesiące, gdy otrzymałam od Mabel prawie histeryczny list, w którym błagała mnie wprost o przyjazd, gdyż sprawy przybierają coraz gorszy obrót, a ona już dłużej nie może tego znieść.

Zabezpieczyłam antyczny talerz i kufel z czasów króla Karola powierzając je bankowi i natychmiast ruszyłam w drogę. Mabel zastałam w stanie załamania nerwowego. Duży dom, Martle Dene, był umeblowany bardzo wygodnie. Zatrudniano kucharkę, pokojówkę i pielęgniarkę do opieki nad teściem Mabel, który — jak to się mówi — miał pomieszane w głowie. Zachowywał się spokojnie i zupełnie poprawnie, ale niekiedy bardzo dziwnie. Jak już mówiłam, rodzina Denmanów dotknięta była chorobami psychicznymi.

Zaszokowała mnie zmiana, jaka zaszła w Mabel. Była po prostu kłębkim nerwów, cała rozdygotana. Z największą więc trudnością udało mi się z niej wydobyć, co ją gnębi. Okreźną drogą dowiedziałam się wreszcie, o co chodzi. Gdy spytałam o jej przyjaciół Gallagherów, o których często wspominała w listach, odpowiedziała, że niemal ich teraz nie widuje. To samo odparła, gdy zagadnęłam ją o innych ludzi, z którymi się dawniej przyjaźniła. Zwróciłam jej więc uwagę, że popełnia błąd odsuwając się od przyjaciół, a przesiadując całymi dniami w domu i zamartwiając się. Wtedy wybuchnęła gniewnie wyjawiając prawdę.

— To nie ja się od nich odsuwam, ale oni ode mnie! Nie ma tu teraz żywej duszy, która zamieniłaby ze mną choć słowo! Gdy idę główną ulicą, znajomi udają, że mnie nie widzą.

Czuję się jak trędowata. To jest nie do zniesienia na dłuższą metę. Chyba będę musiała sprzedać dom

i wyjechać za granicę. Ale dlaczego właściwie mam uciekać? Przecież nic złego nie zrobiłam!

Zaniepokoiłam się bardzo tym, co usłyszałam. Pamiętam, że robiłam wtedy wełniany szalik dla pani Hay i w zdenerwowaniu opuściłam dwa oczka, a nawet tego nie spostrzegłam.

— Kochana Mabel, zadziwiasz mnie. O co tu właściwie chodzi? — dociekałam.

Mabel już od najmłodszych lat była trudnym dzieckiem. Nigdy nie zdarzyło się jej odpowiedzieć krótko i węzłowato na zadane pytanie. Teraz też kluczyła wokół tematu mówiąc coś o złośliwych plotkach rozpuszczanych przez ludzi, którzy nie mają nic innego do roboty, oraz o niegodziwcach wymyślających niestworzone historie.

— Domyślam się już, o co chodzi — powiedziałam. — Krążą o tobie jakieś plotki. Ty chyba wiesz najlepiej, co ci zarzucają. Powiedz więc, co to jest.

— To po prostu wstrętne — biadolila Mabel.

— Naturalnie — zapewniałam ją pospiesznie. — Uwierz mi, że nic ze strony ludzi nie jest mnie w stanie zdziwić. No więc, Mabel, czy powiesz mi wreszcie jasno i wyraźnie, czego od ciebie chcą?

Powiedziała — okazało się, że nagła śmierć jej męża wywołała różne domysły. W rezultacie sprowadziło się do tego, że podejrzewano ją o otrucie go.

Myślę, że sami wiecie, jak okrutną rzeczą jest plotka i jak trudno z nią walczyć. Gdy ludzie obgadują cię za plecami, nie możesz stawić im czoła, zaprzeczyć oszczerstwu. A plotka zatacza coraz szersze kręgi i nikt nie jest w stanie temu zapobiec. Byłam jednak zupełnie pewna jednej rzeczy: Mabel nigdy nie otrułaby kogokolwiek! I nie mogłam dopuścić do tego, by miała sobie zrujnować życie i uciekać z domu, który lubiła, tylko dlatego, że najprawdopodobniej zrobiła coś nierozważnego, co naraziło ją na potępienie przez złośliwych plotkarzy miasteczka.

— Nie ma dymu bez ognia — powiedziałam. — Mabel, musisz mi powiedzieć, co spowodowało, że wzięto cię na języki. Coś przecież musiało być!

Jak już mówiłam, Mabel miała trudności ze związłym i rzeczowym wyrażaniem się.

Teraz też nie powiedziała mi nic konkretnego oprócz tego, że śmierć Geoffreya była rzeczywiście nagła.

Tragicznego dnia czuł się zupełnie dobrze, zjadł kolację, a w nocy niespodziewanie się rozchorował. Posłano po lekarza, ale ten przybył kilka minut za późno. Orzekł, że śmierć spowodowały trujące grzyby.

— Cóż, przypuszczam, że śmierć tego typu mogła rozniecić wyobraźnię ludzi, ale z pewnością zaistniało coś jeszcze. Czy nie pokłóciłaś się przypadkiem z mężem tego dnia?

Przyznała, że posprzeczali się poprzedniego ranka przy śniadaniu.

— I pewnie służba to słyszała? — zapytałam.

— Nie było wtedy nikogo w pokoju — odparła Mabel.

— Och, moja droga. Zapewne słyszano was bez specjalnego nadśłuchiwania i za drzwiami...

Dobrze wiedziałam, jak donośny i piskliwy głos miała Mabel w takich sytuacjach. A i Demnan mówił bardzo głośno, gdy był zdenerwowany.

— O co poszło?

— Och, jak zwykle o to samo. Zaczęło się od jakiegoś drobiazgu, a potem Geoffrey unosił się coraz bardziej i wykrzykiwał niestworzone rzeczy, aż w końcu powiedziałam mu, co o nim naprawdę myślę.

— To była poważna kłótnia, prawda?

— Nie ja zaczęłam.

— Drogie dziecko, to naprawdę nie ma znaczenia, kto zaczął. Nie o to teraz chodzi. W

mieście takim jak to, prywatne życie jest mniej lub bardziej publiczną tajemnicą. Wy zawsze kłóciliście się. Pewnego ranka posprzeczaliście się wyjątkowo ostro, a tej samej nocy mąż umarł nagłą i tajemniczą śmiercią. Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia?

— Nie wiem, co masz na myśli, ciociu Jane...

— Tylko to, co powiedziałam, moja miła. Na miłość boską, jeśli zrobiłaś coś nierozważnego, przyznaj się do tego teraz! Chcę po prostu wiedzieć, jak mogę ci pomóc.

— Nic i nikt nie może mi pomóc! — tragizowała Mabel. — Tylko śmierć może mnie uwolnić od tego wszystkiego.

— Powinnaś bardziej ufać Opatrzności — skarciłam ją. — Mabel, czuję, że coś przede mną ukrywasz.

Znałam ją dobrze z tej strony. Jako dziecko też nie mówiła całej prawdy. Upłynęło sporo czasu, zanim to z niej wydobyłam. Tamtego ranka poszła do sklepu i kupiła trochę arszeniku.

Musiała wpisać swoje nazwisko w rejestrze trucizn. Teraz wszystko było jasne — plotka wyszła od aptekarza.

— Kto jest waszym lekarzem domowym?

— Doktor Rawlison — odparła.

Znałam go z widzenia. Mabel pokazała mi go któregoś dnia na ulicy. Był to, krótko mówiąc,

zgrzybiały staruszek. Nie miałam zbyt często do czynienia z lekarzami, wiem jednak z obserwacji życia na wsi, że nie można uznać ich za istoty nieomyłne. Niektórzy są dobrymi medykami, inni nie, ale nawet najlepszym zdarza się nie wiedzieć, co choremu naprawdę dolega. Sama nie lubię mieć do czynienia z lekarzami.

Jeszcze raz przemyślałam sprawę Mabel, po czym poszłam do doktora Rawlisona. Był

dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałam — miły, uprzejmy staruszek, trochę przygłuchy i mało rzeczowy. Nosił okulary o tak grubych szklach, że aż budziło to współczucie. Przy tym niezmiernie drażliwy, łatwo się obrażał z byle powodu. Zaperzył się natychmiast, gdy tylko wspomniałam o śmierci Geoffreya Denmana, i zaczął rozwlekłe mówić na temat grzybów, ich gatunków jadalnych i nie nadających się do spożycia. Wtedy, po wypadku wypytał kucharkę, która przyznała, że jeden czy dwa grzyby wydały się jej „jakieś dziwne”, ale że były przysłane ze sklepu, więc bez obawy podała je na kolację. Im jednak dłużej o tym rozmyślała, tym bardziej była przekonana, że wyglądały podejrzanie.

Nie brałam zbyt poważnie słów kucharki, bo wiem, że służba potrafi wmówić sobie różne rzeczy. Równie dobrze mogłaby zeznać po jakimś czasie, że grzyby wydały się jej podejrzane, bo były, na przykład, pomarańczowe w purpurowe ciapki...

Dowiedziałam się, że Denman miał w nocy trudności z mówieniem. Nie mógł też nic przełknąć i zmarł w ciągu kilku minut. Doktor Rawlison zdawał się absolutnie pewny, że zgon nastąpił na skutek zatrucia pokarmowego, i upierał się przy swoim rozpoznaniu. Ile było w tym starczego uporu, a ile autentycznej pewności lekarza — nie mogłam jednak dociec.

Poszłam prosto do domu, by rozpytać Mabel, w jakim celu kupiła arszenik. Ta wybuchnęła płaczem.

— Chciałam skończyć ze sobą — szlochała. — Byłam tak nieszczęśliwa, że myślałam tylko o jednym — żeby ta udręka wreszcie doszła kresu.

— Czy masz jeszcze ten arszenik? — zapytałam.

— Nie, wyrzuciłam.

Sprawa ukazała mi się z zupełnie innej strony i postanowiłam przemyśleć wszystko od nowa.

— Co się stało, gdy zachorował? Czy zawołał cię?

— Nie — potrząsnęła głową Mabel. — Zadzwoił gwałtownie na służbę, i to kilka razy, zanim pokojówka usłyszała dzwonek. Obudziła kucharkę i razem zeszyły na dół. Wpadły w panikę, gdy zobaczyły, że jest w agonii i majaczy nieprzytomnie. Kucharka została przy nim, a Dorothy przybiegła po mnie. Wstałam z łóżka i poszłam do jego pokoju. Natychmiast spostrzegłam, że jest z nim bardzo źle. Pech chciał, że pielęgniarka miała tego dnia wychodne i nie było jej w domu, a my nie wiedziałyśmy, jak go ratować. Posłałam pokojówkę po lekarza, a sama z kucharką zostałam przy nim. Po kilku minutach uciekłam do siebie i zamknęłam drzwi na klucz. Nie mogłam tego dłużej znieść. To było okropne!!

— Bardzo egoistycznie postąpiłaś — zganiłam ją. — Bez wątpienia to też obciążało cię w oczach ludzi. Kucharka na pewno nie zatrzymała przy sobie takiej sensacji. No cóż, to również przemawia przeciw tobie.

Następnie porozmawiałam ze służbą. Kucharka zaczęła znów mówić o grzybach, ale przerwałam jej. Miałam już dość tych grzybów! Natomiast wypytałam ją o szczegóły zachowania Denmana owej tragicznej nocy. Obie były zgodne co do tego, że ich pan wyraźnie umierał. Nie mógł przełykać ani mówić wyraźnie. Coś bredził — ale nie było to nic sensownego.

— A co takiego mówił majacząc? — zaciekałam się.

— Coś o rybach, prawda? — odpowiedziała kucharka zwracając się do Dorothy. Ta potwierdziła, a kucharka dodała jeszcze: — Mówił coś o stercie ryb, ale to przecież bez sensu.

Biedak, gdy tylko zobaczyłam go, wiedziałam, że to już koniec.

Nie było sensu zastanawiać się dłużej nad tymi faktami. Po ostateczne informacje zwróciłam się do pielęgniarki starego pana Denmana, panny Brewster. Była to chuda kobieta około pięćdziesiątki.

— Co za szkoda, że nie było mnie wtedy w domu — powiedziała. — Nikt nie spróbował mu jakoś pomóc, zanim przyszedł lekarz.

— Nic by to chyba nie dało, był w stanie agonalnym. Czy zatrucie pokarmowe ma tak natychmiastowy skutek? — zapytałam z powątpiewaniem.

— To zależy — odparła panna Brewster.

Zagadnęłam ją o stan zdrowia teścia Mabel.

— Bardzo źle z nim.

— Traci siły?

— Och, nie — zaprotestowała pielęgniarka. — Fizycznie jest silny. Tylko oczy... Traci wzrok, a poza tym stan jego umysłu pogarsza się dosłownie z dnia na dzień. Gdyby nie to, mógłby przeżyć nas wszystkich. Przekonywałam państwa Denman, że powinni umieścić go w zakładzie, ale pani nie chciała nawet o tym słyszeć.

Tak, Mabel zawsze miała dobre serce, znałam ją z tej strony. Ha, tak więc rzecz się miała! Rozpatrzyłam wszystkie aspekty tej sprawy i podjęłam decyzję, Trzeba uzyskać zgodę na ekshumację zwłok i przeprowadzić sekcję, by raz na zawsze zamknąć usta złośliwym plotkarzom. Mabel oczywiście protestowała używając ckliwych frazesów „nie należy zakłócać wiecznego spoczynku zmarłemu” i tym podobnych. Ale ja niewzruszenie obstawałam przy swoim.

Pominę tu szczegóły wszystkich formalności, których należało dokonać. Uzyskałyśmy pozwolenie i przeprowadzono autopsję zwłok. Wynik sekcji nie był jednak zadowalający.

Wprawdzie w organizmie zmarłego nie znaleziono śladu arszeniku — dobre i to — ale nie wykryto również bezpośredniej przyczyny śmierci męża Mabel.

Tak więc nie uwolniło jej to od dotychczasowych kłopotów. Ludzie nadal plotkowali — teraz o jakichś rzadko spotykanych truciznach, których nie można wykryć, i tym podobne bzdury.

Spotkałam się z lekarzem, który przeprowadził sekcję, i zadałam mu kilka pytań. Unikał konkretów, na większość z nich nie odpowiedział wprost. Udało mi się jednakże wydobyć stwierdzenie, że śmierć nie została najprawdopodobniej spowodowana spożyciem trujących grzybów. Myśl o truciźnie nurtowała mnie jednak nadal, zapytałam więc, jaka ewentualnie trucizna mogłaby spowodować śmierć. Z przydługiego wywodu lekarza zdołałam zrozumieć jedno: można by ją przypisać działaniu jakiegoś silnego alkaloidu pochodzenia roślinnego.

Miałam taki pomysł: przypuśćmy, że Geoffrey Denman też odziedziczył chorobę umysłową i sam ze sobą skończył? Kiedyś tam studiował medycynę, więc mógł znać trucizny i ich skutki.

Niezbyt przekonujące, ale tylko to potrafiłam wymyślić. Byłam w kropce.

Powiem teraz coś, z czego wy, młodzi, będziecie się zapewne śmiać. Otóż gdy mam jakiś poważny problem, zawsze odmawiam krótką modlitwę, i to niezależnie od miejsca, w którym się w danej chwili znajduję. Może to być ulica czy targ — i zawsze znajduję wyjście z impasu, choć nieraz mogłoby się wydawać, że moje nagłe skojarzenia nie mają żadnego związku.

Pamiętam, że jako mała dziewczynka miałam nad łóżkiem wyhaftowaną sentencję „Proś, a będzie ci dane”. Owego ranka, gdy szłam główną ulicą miasteczka, modliłam się gorąco.

Zamknęłam oczy i... zgadnijcie, co ujrzałam, gdy je otworzyłam?

Oczy całej piątki zawisły na ustach panny Marple, a twarze wyrażały różny stopień zaintrygowania. Z góry było jednak wiadomo, że pytanie jest retoryczne, bowiem nikt nie zdołałby dać na nie prawidłowej odpowiedzi.

— Otóż zobaczyłam sklep rybny!! — z naciskiem rzekła starsza pani chcąc wywrzeć na słuchaczach mocne wrażenie. — A w nim... świeżego łupacza!

Powiodła triumfalnym wzrokiem po zebranych.

— Och, mój Boże! Odpowiedzią na modlitwę... świeży łupacz!! — z komiczną powagą skonkludował Raymond.

— A tak, Raymondzie. I nie widzę żadnego powodu, byś miał wyśmiewać moje religijne przekonania — ostro zganiała go ciotka. — Palec Boży jest wszędzie. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, były czarne plamki na łuskach ryby, tak zwane odciski kciuka św.

Piotra.

Znacie chyba te przypowieść z żywotów świętych, prawda? I wtedy nagle zrozumiałam wszystko. Potrzebna mi była wiara św. Piotra, prawdziwie gorąca wiara. Natychmiast skojarzyłam te dwie rzeczy — wiarę i ryby!...

Komisarz pospiesznie zajął się szukaniem chustki do nosa, a Joyce zagryzła wargi, z trudem powstrzymując śmiech.

— Wiecie, co wtedy sobie przypomniałam? — z niewzruszoną powagą ciągnęła panna Marple. — Otóż przypomniałam sobie, co mówiły obydwie służące, pokojówka i kucharka, o majaczeniu męża Mabel tuż przed śmiercią. Zgodnie twierdziły, że mówił coś o rybach.

Byłam teraz święcie przekonana, że w tych właśnie słowach tkwi klucz do rozwiązania zagadki jego śmierci. Zawróciłam do domu z decyzją zgłębienia tej sprawy.

Urwała na chwilę, a po krótkiej przerwie podjęła znowu.

— Czy pomyśleliście kiedykolwiek, jak wielkie znaczenie ma kontekst? W Dartmoor jest miejscowość Grey Wethers. Jeśli nazwa ta padnie w rozmowie z człowiekiem, który tam mieszka, to zapewne będzie wiedział, że mówi się o wiosce. Ale równie dobrze można by przyjąć, że rozmowa dotyczy pogody*.

Podobnie ktoś z zewnątrz słysząc słowa wyrwane z kontekstu mógłby sądzić, że rozmawia się o pogodzie, nie o miejscowości. Tak więc, gdy przytaczamy czyjeś słowa, na ogół nie powtarzamy ich dokładnie. Zastępujemy je innymi o podobnym znaczeniu.

Ponownie wzięłam na spytki obydwie służące, każdą z osobna. Zapytałam kucharkę, czy jej pan przed śmiercią mówił coś o stercie ryb. Potwierdziła bez wahania.

— Czy dokładnie takie były jego słowa? — dociekałam. — Wymienił może jakąś nazwę ryb?

— Tak, tak — szybko podchwyciła kucharka. — Nazwał jakoś te ryby, ale nie pamiętam jak. Sterta... — co to było? W każdym razie nic z ryb, które podaje się do stołu. Okoń, szczupak... Nie, nie tak.

Pokojówka również pamiętała, że umierający wymienił nazwę ryb.

— To był jakiś dziwny gatunek, chyba sprowadzany do Anglii — powiedziała. — Co to było? Stos...

— Powiedział stos czy sterta? — chciałam się upewnić.

— Chyba stos, ale tak naprawdę nie jestem pewna. Trudno mi sobie przypomnieć, bo wtedy myślałyśmy, że bredzi bez sensu. Ale teraz, gdy o tym myślę, jestem coraz bardziej pewna, że powiedział „stos”. Ryba chyba zaczynała się na „c”, ale nie był to ani sztokfisz, ani langusta**.

— Z tego, co zrobiłam potem, jestem do dziś dumna — ośmieliła się pochwalić panna Marple. — Nie znam się przecież zupełnie na lekach — uważam, że są niesmaczne i niebezpieczne. Mam stary przepis mojej babki na herbatkę z wrotycza, który jest wart więcej niż najdroższe lekarstwo. Ale wiedziałam, że gdzieś w domu Mabel są jakieś medyczne książki, a w jednej z nich spis leków.

Przyszło mi bowiem do głowy, że Geoffrey zażył jakąś truciznę i starał się wymówić jej nazwę.

Zaczęłam szukać pod literą „h”***, ale nie znalazłam nic, co brzmiałoby podobnie.

Zajrzałam więc na hasła pod „p”****— i prawie natychmiast natknęłam się... zgadnijcie, na co?!

Powiodła wzrokiem po zebranych przedłużając chwilę triumfu.

— Pilokarpina!! Bez wątpienia można było przyjąć, że to właśnie słowo chciał wymówić mąż Mabel przed śmiercią, ale nikt go nie zrozumiał, gdyż mówił bardzo niewyraźnie. A jak to słowo mogła zrozumieć kucharka, która go nigdy przedtem nie słyszała? Czy nie przypomina ono wyrażenia „pile of carp?”*****

* W ang. *wether* i *weather* czyta się identycznie (przyp. tłum.).

** W ang. odpowiednio *cod*, *crayfish*.

*** W ang. *heap* — sarta.

**** W ang. *pile* — stos.

***** Stos karpia (ang).

— Na Jowisza! — wykrzyknął sir Henry.

— Nigdy bym na to nie wpadł — wyznał pastor Pender.

— Kapitalne! Wprost kapitalne! — zachwycił się pan Petherick.

— Szybko przewróciłam kartki szukając wyjaśnienia hasła podanego w spisie.

Przeczytałam o pilokarpinie, jej działaniu w leczeniu oczu i o innych właściwościach, które nie wnosiły nic do sprawy. Wreszcie dotarłam do najważniejszego punktu: powszechnie stosowana jako antidotum na zatrucie atropiną!

Wtedy miałam już wszystko jak na dłoni. Zawsze wątpiałam w możliwość samobójstwa męża Mabel. Teraz byłam absolutnie pewna, jak to się stało. Wiedziałam, że jedynie to rozwiązanie jest możliwe i prawidłowe, ponieważ wszystkie fakty ułożyły się nagle w logiczną całość.

— Nie próbuję nawet zgadywać — zawczasu poddał się Raymond. — Ciociu Jane, mów prędko, jak to naprawdę było.

— Jak już mówiłam, nie znam się na medycynie, ale to jedno wiedziałam z własnego doświadczenia, że oczy leczy się atropiną. Poszłam więc na górę, wprost do pokoju teścia Mabel. Wyłożyłam prawdę nie owijając w bawełnę.

— Panie Denman, wiem wszystko! Dlaczego otrął pan swego syna?

Patrzył na mnie minutę lub dwie — był całkiem przystojnym mężczyzną — a potem nagle wybuchnął śmiechem. Był to najbardziej okrutny śmiech, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Zapewniam was, że ciarki mnie przeszły. Tylko jeden raz zdarzyło mi się słyszeć coś takiego — gdy postradała zmysły biedna pani Jones.

— Tak! — wyrzucił z siebie. — Rozprawiłem się z nim. I to całkiem sprytnie. Chciał się mnie pozbyć! Zamknąć w zakładzie. Słyszałem, jak rozmawiali o tym. Mabel jest dobra, nie zgodziła się na to. Ale ja wiedziałem, że długo nie będzie mogła sprzeciwić się Geoffreyowi.

Wszystko musiało być po jego myśli. Zawsze tak było. Ale ja go załatwiłem — zabiłem mojego miłego, kochającego synalka! Ha! Ha! W nocy cicho zszedłem na dół. To było bardzo łatwe. Brewster miała wychodne. Mój drogi synuś spał. Przy łóżku stała szklanka wody.

Zawsze budził się w nocy i pił. Wylałem wodę — ha! ha! — i wlałem krople do oczu z butelki. Zbudzi się i wychyli to, zanim się spostrzeże, że to nie czysta woda. Kropli nie było dużo, zaledwie łyżka stołowa, ale to wystarczyło, zupełnie wystarczyło. I tak właśnie się stało!!! A tamci przyszli do mnie rano i donieśli mi o „tragedii” w oględny sposób. Bali się, bym nie rozpaczął! Ha! Ha! Ha! Ha!

Panna Marple ciągnęła.

— Cóż, taki jest koniec tej historii. Oczywiście, ten biedak został zamknięty w zakładzie dla umyślowo chorych. Nie był skazany na więzienie, gdyż nie odpowiadał za swoje czyny.

Prawda zatriumfowała wreszcie i każdy ubolewał nad Mabel, i robił, co mógł, by przebłagać ją za bezpodstawne podejrzenia.

Ale śmierć Geoffreya pozostałaby na zawsze zagadką, gdyby nie to, że rozpoznał jednak truciznę, którą wypił, i próbował się ratować prosząc o antidotum. Wydaje mi się, że atropina wywołuje wyraźne objawy, rozszerzenie źrenic i inne. Ale, jak już powiedziałam, doktor Rawlison miał bardzo słaby wzrok, biedny staruszek. A w tej samej książce medycznej wyczytałam — a były tam bardzo interesujące rzeczy — że zatrucie atropiną i zatrucie pokarmowe mają bardzo zbliżone objawy. I zapewniam was, że od tego czasu świeży łupacz zawsze mi się kojarzy z przypowieścią o św. Piotrze.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Moja droga przyjaciółko — przerwał milczenie pan Petherick. — Pani jest naprawdę zadziwiająca!!

— Ale, ale, ciociu Jane — zwrócił się do niej Raymond z łobuzerskim uśmiechem. —

Jest jednak coś, czego nawet ty nie wiesz!

— Mylisz się, kochanie, wiem — odparła starsza pani. — To zdarzyło się dziś przed kolacją, prawda? Gdy wyszliście razem do ogrodu, by podziwiać zachód słońca. Przy krzaku jaśminu. Tam

właśnie mleczarz zapytał Annie, czy może dać na zapowiedzi.

— Do licha, ciociu Jane — obruszył się Raymond. — Psujesz nam romantyczną wymowę tej ważnej chwili. Jak można porównywać Joyce i mnie z mleczarzem. i Annie?!

— Bardzo się mylisz pod tym względem, Raymondzie — łagodnie stwierdziła panna Marple. — Wszyscy jesteśmy w gruncie rzeczy podobni do siebie. Być może, nie zdajemy sobie jednak z tego sprawy. I całe w tym szczęście.

VII

Błękitne geranium

— Gdy byłem tu rok temu... — zaczął sir Henry Clithering, po czym urwał w pół zdania.

Pani Bantry spojrzała na niego z ciekawością. Były komisarz Scotland Yardu przebywał

u swych przyjaciół, pułkownika Bantry i jego żony, którzy mieszkali niedaleko St. Mary Mead. Pani domu trzymając w ręce pióro pytała właśnie swego gościa o radę — kogo by tu jeszcze zaprosić na kolacje, gdyż do grupy sześciu osób brakowało jej stale jednej.

— Tak? — zachęcająco podjęła przerwana rozmowę.

— Gdy był pan tu rok temu?...

— Proszę mi powiedzieć, czy zna pani pannę Marple? — spytał sir Henry.

Pani Bantry zdziwiła się. Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć.

— Czy znam pannę Marple? A któż jej nie zna! To typowa stara panna, jakby żywcem wyjęta z Dickensa. Pocziwa staruszka, ale beznadziejnie staroświecka. Czy ma pan może na myśli, by ją właśnie zaprosić na dzisiejszy wieczór?

— Jest pani zaskoczona? — stwierdził raczej, niż zapytał sir Henry.

— Trochę, jeśli mam być szczerą. Pan również dziwiłby się na moim miejscu. Jestem pewna jednak, że nie proponuje mi pan tego bez powodu.

— Tak, a powód jest bardzo prosty. Gdy byłem tu zeszłego roku, zabawialiśmy się rozwiązywaniem różnych zagadkowych spraw kryminalnych, które nigdy nie zostały wyjaśnione przez policję. Było nas pięcioro, a zabawę tę zainicjował pisarz, Raymond West.

Każdy z nas opowiedział jakąś zagadkę kryminalną, której rozwiązanie znał od samego początku, a reszta towarzystwa starała się odgadnąć prawdziwy przebieg wydarzeń. Miało to być dla nas sprawdzianem naszych zdolności myślenia dedukcyjnego — kto z nas najbardziej zbliżył się do prawdy.

— No i co?

— Ano, jak w starej bajce o Kopciuszku. Nie braliśmy niemal pod uwagę panny Marple, choć staraliśmy się być dla niej uprzejmi. Zaakceptowaliśmy jej udział w naszej zabawie, gdyż nie chcieliśmy jej urazić. I oto okazało się, że ta „pocziwa staruszka”, jak pani mówi, pobiła nas wszystkich na głowę!

— Co takiego? — pani Bantry nie posiadała się wprost ze zdumienia.

— Ano właśnie! Trafiała w samo sedno, i to za każdym razem.

— Niesamowite! Przecież nasza droga panna Marple niemal nigdy nie opuszcza St. Mary Mead!

— Oh, to bez znaczenia. Ona twierdzi, że życie w małym miasteczku dostarcza jej niezliczonych wprost okazji do obserwowania ludzkiej natury. Niczym pod mikroskopem.

— Wydaje mi się, że coś w tym jest — przyznała pani Bantry. — W małych miasteczkach ludzie znają się na wylot. Ale nie sądzę, by w naszym otoczeniu zdarzały się prawdziwe ciekawe przestępstwa. Ale spróbujmy wypróbować zdolności panny Marple na Arthura historii o duchach... Byłabym naprawdę wdzięczna, gdyby udało się jej znaleźć rozwiązanie.

— Nigdy nie przypuszczałem, że Arthur wierzy w duchy — zdziwił się komisarz. —

Ależ nie, nie wierzy. I to właśnie go martwi. To wszystko zdarzyło się jego przyjacielowi, George'owi Pritchardowi — najzupełniej materialnej istocie. To naprawdę jest tragiczne dla biednego George'a. Albo ta niesamowita historia jest prawdziwa, albo...

— Albo?

Pani Bantry nie odpowiedziała. Po chwili rzekła pozornie bez związku.

— Widzi pan, lubię George'a. Jak zresztą wszyscy. Nie mogę wprost uwierzyć, że on...

Ale ludzie plotą niestworzone historie na jego temat.

Sir Henry pokiwał ze zrozumieniem głową. Wiedział bowiem najlepiej, jak podobne sprawy obrastają w ludzkie gadanie.

I tak oto tego wieczora pani Bantry obrzuciła spojrzeniem swych gości siedzących dokoła stołu w jadalni. Wstrząsały ją lekko dreszcze, gdyż jej jadalnia — jak większość jadalni w angielskich domach — była tylko opalana kominkiem. Wzrok jej nieodparcie przyciągała osoba panny Marple, która wyprostowana na krześle siedziała po prawej ręce jej męża. Nosiła czarne koronkowe mitenki, na ramiona miała narzuconą chustę z koronki, a na siwych włosach również coś w rodzaju szalika z tego samego materiału. Rozmawiała z ożywieniem z doktorem Lloydem na temat przytułków oraz niedociągnięć w pracy pielęgniarek obwodowych.

Pani Bantry zdumiała się ponownie. Przyszło jej na myśl, czy przypadkiem sir Henry nie zakpił z niej mówiąc o panie Marple — ale przecież nie miałby w tym żadnego interesu.

Wydało się jej niewiarygodne, żeby ta staruszka miała być naprawdę taka, jak przedstawił ją komisarz.

Jej spojrzenie powędrowało dalej i z czułym wyrazem spoczęło na panu Bantry, mężczyźnie o rumianej twarzy i szerokich ramionach, który „bawił” rozmową o koniach Jane Helier, piękną i znaną aktorkę. Jane, jeszcze piękniejsza — o ile to możliwe — w życiu prywatnym niż na scenie, otwierała szeroko swe przepastne niebieskie oczy i uprzejmie podtrzymywała rozmowę szepcząc od czasu do

czasu: „Doprawdy?”, „Oh, to wspaniałe”,

„Niespotykane” i tym podobne. Nie znała się na koniach zupełnie i niezbyt ją to wszystko obchodziło.

— Arthurze — wtrąciła się do ich rozmowy pani Bantry. — Zanudzisz naszą biedną Jane na śmierć! Zostaw konie w spokoju i opowiedz lepiej tę historię o duchach. No wiesz, o George’u Pritchardzie.

— Słucham, Dolly? Aha... ale nie wiem doprawdy...

— Sir Henry chciałby ją usłyszeć. Wspomniałam mu o tym dziś rano. To będzie ciekawe, gdyż potem każdy z nas wypowie się na ten temat.

— Świetnie! — wykrzyknęła aktorka. — Ubóstwiam opowieści o duchach!

— Otóż... — pułkownik zawahał się na moment. — Nie wierzę osobiście w zjawiska nadprzyrodzone. Ale to...

Sądzę, że nikt z was nie zna George’a Pritcharda. To naprawdę jeden z najlepszych ludzi, jakich znam. Jego żona, no cóż, nie żyje już, biedaczka. Powiem tylko tyle — za jej życia George nie zaznał zbyt wiele spokoju. Była nieznośna w swojej chorobie. Choć osobiście wierzę, że rzeczywiście coś jej dolegało, wszyscy naokoło twierdzili, że to tylko jej urojenia.

Cokolwiek jednak to było, ona wykorzystywała ten fakt do maksimum. Narzekała bez przerwy całymi dniami. Była kapryśna, afektowana i bardzo wymagająca. Żądała od George’a, by był na każde jej zawołanie, a cokolwiek by zrobił, zawsze było źle. Jestem całkowicie pewny, że większość mężczyzn na jego miejscu już dawno skróciłaby taką żonę o głowę. Nie uważasz, Dolly, że mam rację?

— Była naprawdę okropna — potwierdziła pani Bantry z przekonaniem. Każdy sędzia przysięgły uniewinniłby biednego George’a, gdyby ten nie wytrzymał któregoś dnia i wysłał

ją do Bozi!

— Nie jestem zorientowany, jak się to wszystko zaczęło — kontynuował pułkownik Bantry. — George mówił o tym w sposób niezbyt jasny. Wiem, że jego żona zawsze miała słabość do wszelkiego rodzaju jasnowidzów, wróżbitów i tym podobnych. George’owi to nie przeszkadzało, jeśli tylko ją to bawiło. Ale sam nie chciał brać w tym udziału i to właśnie było źródłem niesnasek między nimi.

Przez ich dom przewinęło się całe mnóstwo pielęgniarek, pani Pritchard bowiem nie zatrzymała żadnej z nich dłużej niż parę tygodni. Jedna młoda pielęgniarka bardzo zainteresowała się pasją swej podopiecznej, to znaczy wróżbiarstwem, a pani Pritchard była z tego powodu niezmiernie zadowolona. Ale niedługo to trwało. Nagle pielęgniarka straciła łaski u swej pani i musiała pospieszenie opuścić dom. Po niej ponownie została zatrudniona jej poprzedniczka — panna Copling, kobieta w starszym wieku, taktowna i z dużym doświadczeniem, jak należy się obchodzić z neurotycznymi pacjentami. Z tego, co mówił o niej George, wynikało, że była bardzo dobrą siłą i rzeczą kobietą, z którą można było bez trudu dojść do porozumienia. Znosiła dziwactwa swej pani

i jej nerwowe ataki ze spokojem godnym podziwu.

Żona George'a jadała zwykle lunch u siebie na górze. Była to pora dnia, kiedy George i panna Copling mogli spokojnie porozmawiać o planach na bieżące popołudnie.

Dokładnie mówiąc, panna Copling miała wychodne od drugiej do czwartej, ale czasami uzgadniała z George'em, że zostanie aż do podwieczorku, by ten mógł wyjść, gdy miał coś do załatwienia. Wtedy panna Copling miała jechać do Golder Green, do swej siostry i uprzedziła, że może się nieco spóźnić. George zrobił zawiedzioną minę, gdyż nie zdążyłby na partię golfa, ale panna Copling zapewniła go, że nie ma powodu do niepokoju.

— Nie będzie za nami tęskniła — powiedziała z figlarnym przymrużeniem oka. — Pani Pritchard ma zapewnione znacznie ciekawsze towarzystwo niż nasze.

— A któż ma przyjść do niej? — spytał George nieco zaskoczony.

— Chwileczkę — panna Copling zamrugnęła oczami mocniej niż zwykle. — Fachowo brzmi to „Zarida, która odczytuje przyszłość z ludzkiej psychiki”.

— O Boże! — jęknął George. — To jakaś nowa, prawda?

— Najzupełniej. To chyba moja poprzedniczka, siostra Carstairs ją przysłała. Pani Pritchard nie zna jeszcze tej wróżbiarki. Sama mnie prosiła, bym napisała do niej i umówiła je na dzisiejsze popołudnie.

— Dobra nasza — ucieszył się George. — Tak czy inaczej, mój golf nie przepadnie! —

wyszedł z domu przepełniony serdecznością dla Zaridy, która odczytywała przyszłość.

Gdy wrócił, zastał żonę w stanie ogromnego podniecenia. Leżała jak zwykle na swoim wózku inwalidzkim i raz po raz wachała sole trzeźwiące, których buteleczkę trzymała w ręce.

— George! — wykrzyknęła. — Pamiętasz, co ci mówiłam o naszym domu? Gdy tylko wprowadziliśmy się tutaj, czułam wyraźnie, że coś jest nie w porządku! Czy nie mówiłam?

— Przykro mi, ale nie pamiętam — George zaprzeczył, choć z trudem powstrzymywał się od stwierdzenia, że ona zawsze tak mówi.

— No pewnie! Ty nigdy nie zważasz na to, co mówię lub robię! Mężczyźni w ogóle są nieczuli — a ty bijesz wszystkie rekordy pod tym względem.

— Oh, Mary, kochanie! Daj spokój! Przecież wiesz, że to nieprawda.

— Dobrze, już dobrze! Ale słuchaj. Jak ci już wspomniałam, ta kobieta odczuła to natychmiast! Gdy tylko weszła do pokoju, wzdrygnęła się — chyba wiesz co mam na myśli

— i powiedziała: „Czuję tu zło! Zło i niebezpieczeństwo!”

Wtedy George popełnił błąd. Zaczął się śmiać.

— Widzę, że nie wyrzuciłaś dziś pieniędzy w błoto...

Pani Pritchard przymknęła oczy i mocno wciągnęła zapach soli trzeźwiących.

— Ależ ty mnie nienawidzisz! Nawet gdybym umierała, ty byś się śmiał i szydził ze mnie!

George zaprotestował, a ona ciągnęła dalej.

— Możesz się śmiać, ale najpierw poczekaj, aż skończę. Ten dom jest dla mnie niebezpieczny — tak powiedziała Zarida.

Wszystkie przyjazne uczucia dla wróżbiarki, którymi jeszcze niedawno darzył ją George, znikły jak kamfora. Znał swą żonę na tyle dobrze, by wiedzieć, że teraz nic nie będzie w stanie powstrzymać jej przed przeprowadzką do nowego domu, jeśli ten kaprys nią zawładnie.

— Co jeszcze mówiła? — badał sytuację George.

— Nie mogła mi powiedzieć za wiele, tak była tym przejęta. Ale dowiedziałam się czegoś. We flakoniku stał bukietek fiołków. Wskazała na niego i wykrzyknęła: „Niech pani to stąd zabierze! Żadnych niebieskich kwiatów — nigdy i nigdzie! Niebieskie kwiaty są zgubne dla pani — niech pani o tym pamięta!” No i sam widzisz — triumfowała pani Pritchard. —

Zawsze ci mówiłam, że nie cierpię niebieskiego koloru. Instynktownie jakoś boję się go.

George z doświadczenia wiedział, że nie należy sprzeciwiać się żonie, choć miał ochotę powiedzieć, że nigdy mu o tym nie wspominała. Zapytał natomiast o wygląd tajemniczej Zaridy. Pani Pritchard nie dała się długo prosić i z ożywieniem zaczęła opisywać wróżbiarkę.

— Ma czarne włosy zwinięte w tzw. ślimaki wokół uszu, półprzymknięte oczy, obwiedzione ciemną kredką. Brodę i usta przysłaniał jej czarny kwef, głos miała śpiewny z wybijającym się obcym akcentem, chyba hiszpańskim...

— W gruncie rzeczy nic nowego, zwykłe w takich razach akcesoria — George nie krył swego rozbawienia.

Jego żona natychmiast przymknęła oczy.

— Czuję się bardzo słabo — powiedziała. — Zadzwoń po pielęgniarkę! Twoje szyderstwa denerwują mnie i ty dobrze o tym wiesz.

W dwa dni później panna Copling przysłała do George'a z zasmuconą miną.

— Czy może pan pójść do żony, panie Pritchard? Otrzymała właśnie list, który bardzo ją martwi.

Gdy wszedł do pokoju żony, zastał ją z listem w ręce. Podała mu go.

— Przeczytaj! — powiedziała.

George wziął go z jej rąk. Papier był mocno perfumowany, a pismo duże i wyraźne.

„Zobaczyłam pani przyszłość. Ostrzegam, póki nie jest za późno. Strzeż się pełni księżyca. Niebieski pierwiosnek — to ostrzeżenie, niebieska róża — niebezpieczeństwo, niebieskie geranium — przyniesie śmierć!”

George omal nie wybuchnął śmiechem, ale w porę pochwycił ostrzegawcze spojrzenie panny Copling. Odezwał się więc niezdarnie:

— Ta kobieta próbuje cię nastraszyć, Mary. Nie ma przecież tych kwiatów niebieskiego koloni.

Niewiele wskórał. Pani Pritchard wybuchnęła płaczem mówiąc, że dni jej są policzone.

Panna Copling wyszła z George’em przed dom.

— To przecież stek bzdur — wybuchnął.

— Chyba tak... — niepewnie potwierdziła pielęgniarka.

Jakiś ton w jej głosie uderzył George’a. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Ależ panno Copling, nie wierzy pani chyba...

— Nie, nie, panie Pritchard. Nie wierze w tę całą bzdurę z odczytywaniem przyszłości.

Co innego mnie zastanawia — co też się za tym kryje. Wróżbiarze są zwykle zainteresowani, co mogą uzyskać; za swe przepowiednie. A ta kobieta wydaje się bezinteresowna. A jednak przeraża pańską żonę. Nie wiem, po co to robi. Poza tym jest coś jeszcze...

— Tak?

— Pani Pritchard mówi, że Zarida wydała się jej dziwnie znajoma.

— No i co?

— Cóż, po prostu mi się to nie podoba, panie Pritchard.

— Nie przypuszczałem, że jest pani przesądna.

— To nie to. Ja po prostu mam dobrego nosa i wyczuwam tu jakiś szwindel.

Jakieś cztery dni później zdarzył się pierwszy incydent. Aby lepiej to państwu wyjaśnić, muszę

najpierw opisać pokój pani Pritchard...

— Pozwól, że ja to zrobię — wtrąciła się pani Bantry. — Tak będzie chyba lepiej. Ściany pokoju żony George'a były pokryte tymi nowymi tapetami, w które można włożyć bukietki kwiatów. Całość tworzy tzw. ścianę zieleni. W rezultacie w pokoju jest tak zielono jak w ogrodzie. Ale efekt nie był w tym wypadku najlepszy. To znaczy, wsadzono kwiaty rozkwitnięte, i to wszystkie bez wyjątku. Tak więc ta ściana zieleni była w rozkwicie jak cały rok długi. A to przecież niemożliwe i wyglądało po prostu nienaturalnie...

— Hej, Dolly! Zatrzymaj się! — przerwał jej mąż. — Nie daj się ponieść swej pasji ogrodnika. Wszyscy wiemy doskonale, że możesz na ten temat mówić godzinami.

— Bo to jest bzdura — nadal protestowała pani Bantry. — Żeby zgromadzić liliowce, pełne żonkile, łubin, róże i stokrotki — razem!!

— Pewnie to robił jakiś dyletant — zauważył sir Henry. — Ale proszę wrócić do opowiadania.

— No więc wśród tej masy kwiatów były pierwiosnki, wiązeczki żółtych i różowych pierwiosnków i... oh, Arthur, mów ty dalej...

Pułkownik Bantry podjął opowieść.

— Pewnego ranka pani Pritchard zadzwoniła gwałtownie ze swego pokoju. Przybiegła pokojówka myśląc, że jej pani ma znowu atak. Ale nie. Była tylko ogromnie wzburzona i pokazywała palcem tapetę, gdzie pośród innych kwiatów widniał bez żadnych wątpliwości niebieski pierwiosnek!!

— Oh, ciarki mnie przechodzą! — Jane Helier nie mogła się powstrzymać od okrzyku.

— Zadawano sobie pytanie — kontynuował pułkownik Bantry — czy przypadkiem nie było tam zawsze niebieskiego pierwiosnka, tylko nikt go wcześniej nie zauważył. Takie było zdanie George'a i panny Copling. Ale pani Pritchard nie zgadzała się z tym absolutnie. Nigdy go przedtem nie widziała, dopóki nie było pełni księżyca. I ogromnie była tym wszystkim przejęta.

— Spotkałam George'a jeszcze tego samego dnia i opowiedział mi o tym — wtrąciła pani Bantry. — Poszłam do pani Pritchard i próbowałam obrócić całą sprawę w żart, ale nic z tego.

Wyszłam od Pritchardów naprawdę przejęta i jak dziś pamiętam, spotkałam na ulicy Jean Instow. Opowiedziałam jej tę historię, a ona zapytała: „Więc żona George'a naprawdę się tym martwi?” Potwierdziłam, gdyż sama widziałam, jak była przerażona przepowiednią. Była osobą niesamowicie przesadną.

Pamiętam, że Jean zaszokowała mnie swym stwierdzeniem. Powiedziała: „Cóż, może to i dobrze”, ale jej zimny rzeczowy głos przyprawił mnie niemal o dreszcze. Zdaję sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach tak właśnie podchodzi się do ludzi — bez uczucia i nie bawiąc się w sentymenty, ale mnie zawsze to razi i chyba nigdy do tego nie przywyknę. Jean uśmiechnęła się trochę dziwniej powiedziała: „Nie podoba ci się to, co mówię — a jednak tak jest. Czy życie pani Pritchard ma jakiś sens? Przecież nie ma poza tym, że jest autentycznym piekłem na ziemi dla George'a. I gdyby

umarła ze strachu, byłoby to prawdziwym wybawieniem dla pana Pritcharda”

Odpowiedziałam jej, że George jest i zawsze był bardzo dobry dla żony, na co Jean odrzekła: „To prawda i dlatego najwyższy już czas, by uwolniła go od siebie. To bardzo przystojny mężczyzna. Takie jest zdanie ostatniej pielęgniarki — tej ładnej — jak to ona się nazywała? Aha, Carstairs. To właśnie było powodem kłótni między nią a panią Pritchard”.

No cóż, niezbyt mi się podobało, co mówiła Jean. A potem zaczęłam i ja się zastanawiać...

Pani Bantry znacząco zawiesiła głos.

— Tak, droga pani — łagodnie wtrąciła panna Marple. — Człowiek się zawsze zastanawia. Czy panna Instow jest przystojna? I jak sędzę, gra w golfa?

— Owszem, i to nieźle. Zresztą gra nie tylko w golfa. I ma bardzo miły wygląd —

przystojna, jasnowłosa, o zdrowej cerze i spokojnych niebieskich oczach. Zawsze uważaliśmy, że ona i George świetnie do siebie pasują. Ale życie potoczyło się inaczej...

— Czy są zaprzyjaźnieni? — dociekała panna Marple.

— O, tak! Nawet bardzo.

— Dolly, czy pozwolisz mi dokończyć? — nie wytrzymał pułkownik Bantry, bo ciągle przerywano mu opowieść.

— Arthur znów chce wrócić do swych duchów... — z komiczną rezygnacją w głosie rzuciła pani domu.

— O reszcie zdarzeń wiem od samego George’a — podjął pan Bantry. — Nie ma wątpliwości, że pani Pritchard znikowała na punkcie przepowiedni pod koniec miesiąca.

Zaznaczała w kalendarzu, kiedy przypada pełnia księżyca, i na tę noc zawołała do swego pokoju George’a i pannę Copling, by bacznie obserwowali tapetę. Były tam róże różowe i czerwone, ale niebieskich nie było. Gdy George wyszedł z pokoju, pani Pritchard zamknęła drzwi na klucz...

— A rano na ścianie pojawiła się niebieska róża! — skonkludowała donośnie Miss Helier.

— Otóż to! — potwierdził pułkownik Bantry.

— W każdym razie blisko tego. Jedna z róż na tapecie nad łóżkiem pani Pritchard zrobiła się niebieska. Trzepnęło to George’a porządnie, ale ciągle nie chciał uznać tego za niezaprzeczone. Upierał się stale, że cała ta sprawa jest jakimś makabrycznym żartem.

Zignorował oczywiście fakt, że drzwi były zamknięte i że pani Pritchard odkryła zmianę koloru przed nimi. Nawet panna Copling nie zauważyła tego wcześniej.

Stracił też rozsądek i trzeźwe podejście. Jego żona chciała wyprowadzić się z tego domu, ale nie pozwolił na to. Po raz pierwszy w życiu gotów był uwierzyć w siły nadprzyrodzone, ale z uporem maniaka nie chciał się do tego przyznać. Zwykle ulegał żonie we wszystkim, ale tym razem był nieprzejednany. Zwykł mówić, że Mary robi z siebie wariatkę, bo to wszystko jest jednym wielkim nonsensem.

I tak przebiegł następny miesiąc. Pani Pritchard protestowała coraz słabiej. Sądzę, że była na tyle przesadna, by wierzyć, że taki los jest jej pisany i nic jej przed tym nie uchroni. Stale powtarzała: „Niebieski pierwiosnek — ostrzeżenie, niebieska róża — niebezpieczeństwo, niebieskie geranium — śmierć!” I leżała wpatrując się w bukietki różowego geranium, które były we wzorze tapety koło jej łóżka.

Cała ta historia działała wszystkim na nerwy. Udzieliło się to nawet pannie Copling.

Przyszła do George’a na dwa dni przed pełnią i błagała go niemal, by zabrał panią Pritchard z domu. George rozzłościł się nie na żarty.

— Nawet jeśli wszystkie kwiaty na tej cholernej tapecie staną się niebieskie, to i tak nie będą w stanie nikogo zabić! — wykrzykiwał.

— Nie ma pan racji. Kwiaty może nie zabijają, ale szok — tak!

— Bzdury... — George był nieprzejednany.

Był zawsze uparty jak muł. Niełatwo było mu coś wyperswadować. Wydaje mi się, że nie wierzył, jakoby zmiana koloru kwiatów dokonywała się sama z siebie. Uważał, że jego żona maczała w tym palce i że było to jedno z jej chorobliwych urojeń.

W końcu nadeszła ta fatalna w skutkach noc. Pani Pritchard jak zwykle zamknęła drzwi swego pokoju na klucz. Była bardzo spokojna, niemal w radosnym uniesieniu. Pielęgniarka martwiła się stanem jej zdrowia — chciała zaaplikować jakiś środek pobudzający, na przykład zastrzyk strychniny, ale pani Pritchard nie zgodziła się. Myślę, że w jakiś sposób czekała na tę noc. Przynajmniej tak twierdził George.

— Sądzę, że to zupełnie możliwe — rzekła pani Bantry. — Ta przepowiednia śmierci omamiła ją kompletnie.

— Następnego ranka dzwonek w jej sypialni milczał. Miała zwyczaj budzić się koło ósmej. Gdy o wpół do dziewiątej nie dawała znaku życia, siostra Copling zapukała głośno.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zawiadomiła George’a i uparła się, by wyważyć drzwi. Zrobił to w końcu dłutem.

Pannie Copling wystarczyło jedno spojrzenie na postać wyprostowaną na łóżku. Wysłała George’a, by ten zatelefonował po doktora, ale było już za późno na jakąkolwiek pomoc. Jak stwierdził lekarz, pani Pritchard nie żyła już od co najmniej ośmiu godzin. W ręce trzymała flakonik z solami

trzeźwymi, a na ścianie obok jej łóżka widniał jaskrawo błękitny kwiat geranium!!...

— Okropne! — wykrzyknęła panna Helier.

Sir Henry zmarszczył czoło z niezadowoleniem.

— Żadnych dodatkowych szczegółów? — zapytał.

Pułkownik Bantry przecząco pokiwał głową, ale jego żona rzuciła szybko.

— A gaz?

— Co z gazem? — dociekał komisarz.

— Otóż gdy przybył lekarz, zauważono, że czuć nieco zapach gazu. Szybko odkryto, skąd się ulatniał — w kominku był leciutko odkręcony kurek, ale to nie mogło absolutnie być przyczyną śmierci pani Pritchard.

— A czy pan Pritchard lub panna Copling nic nie poczuli, gdy weszli do pokoju zmarłej?

— Pielęgniarka przyznała, że czuła jakby zapach gazu. George nie zauważył niczego, ale przypisywał to szokowi, jakiemu uległ na widok zmarłej żony. I chyba tak było naprawdę.

Tak czy inaczej, nie było mowy, by gaz spowodował śmierć pani Pritchard. Niemal się go nie wyczuwało.

— I to już koniec historii?

— Nie, jeszcze nie. Nie obeszło się bez plotek. Służba na przykład podsłuchiwała różne rzeczy, między innymi stwierdziła pani Pritchard, że George nienawidzi jej i z pewnością będzie się cieszył z jej śmierci. A także i późniejsze „rewelacje”. Miała rzekomo powiedzieć pewnego dnia, gdy George odmówił kategorycznie jej żądania przeprowadzki: „Świetnie, gdy już nie będę żyła, mam nadzieję, że wszyscy będą ciebie winić za moją śmierć”. Pech chciał, że poprzedniego dnia George mieszał środki owadobójcze do traw, którymi miały być obsiane alejki w ogrodzie. Zaraz potem jedna z młodych służących widziała go, jak robił śniadanie dla pani Pritchard — jak zwykle szklanekę gorącego mleka.

Plotka rosła coraz bardziej. Lekarz wydał akt zgonu — szok, atak serca, zapaść. Te terminy medyczne niewiele wyjaśniały. Chociaż biedna zmarła dopiero od miesiąca leżała w grobie, wydano nakaz ekshumacji i sekcji zwłok.

— W wyniku której nic nie wykryto — podsumował ponuro sir Henry. — Przynajmniej raz dym był bez ognia.

— Cała ta sprawa jest rzeczywiście bardzo niejasna — dodała pani Bantry. — Pod adresem, który podała Zarida, nikt nigdy nie słyszał o takiej osobie!

— Pojawiła się jak duch, a potem zniknęła — dorzucił pułkownik.

— Jak duch... a to dobre!

— A co ciekawsze, ta mała Carstairs, która ją rzekomo poleciła, nigdy o niej nie słyszała.

Całe zebrane towarzystwo spojrzało po sobie.

— Cóż za tajemnicza historia — zauważył dr Lloyd.

— Można oczywiście zgadywać, ale żeby zgadnąć... — pokiwał głową.

— Czy pan Pritchard ożenił się z panną Instow? — zapytała panna Marple łagodnym głosem.

— Dlaczego pani o to pyta? — komisarz był wyraźnie zdziwiony.

Panna Marple spojrzała nań niebieskimi oczyma.

— Wydaje mi się to istotne. A więc, czy się pobrali?

— Cóż, jakby to powiedzieć... — pułkownik Bantry potrząsnął głową. — Wszyscy spodziewali się, że to nastąpi, ale upłynęło już 18 miesięcy od tamtej tragicznej nocy — i nic.

Chyba nawet nie widują się za często.

— To ważne, bardzo ważne — starsza pani nie skomentowała jednak tego szerzej.

— A więc i pani jest tego samego zdania, co ja — pani Bantry powiedziała z wolna. —

Sądzi pani...

— No, no. Dolly, nie wyciągaj pochopnych wniosków. To niesprawiedliwe. Nie można przecież oskarżać nikogo bez dowodów winy.

— Oh, nie bądź taki zasadniczy! Mężczyźni zawsze boją się wypowiedzieć zdecydowanie w jakiegokolwiek sprawie! Przecież to, co tu mówimy, nie wyjdzie poza mury tego pokoju. Ja zresztą mam własny pogląd na tę sprawę — może to Jean Instow przebrała się za Zaridę. Całkiem możliwe, że zrobiła po prostu żart. Ani przez chwilę nie myślałam, że zrobiła to w złych zamiarach. Ale jeśli pani Pritchard była na tyle niemądra, by umrzeć ze strachu — cóż można na to poradzić? To właśnie panna Marple miała na myśli — prawda?

— Niezupełnie, droga pani — sprostowała stara dama. — Bo na przykład gdybym to ja zamierzała kogoś zabić — co oczywiście jest niemożliwe w moim wypadku, byłoby to okropne. Bardzo nie lubię, gdy ginie jakiegokolwiek stworzenie, nawet osy, i zawsze mam nadzieję, że ogrodnicy tępią je tak humanitarnie, jak tylko możliwe. Ale o czym to ja mówiłam?...

— Gdyby zamierzała pani kogoś zabić... — podpowiedział sir Henry.

— A tak! Gdybym miała to zrobić, z pewnością nie zawierzyłabym strachowi czy przerażeniu. Wiem, że w książkach ludzie umierają od tego, ale wydaje mi się to niezbyt pewnym sposobem na uśmiercenie kogokolwiek. Poza tym większość ludzi chorych nerwowo jest w gruncie rzeczy dzielniejsza, niż się nam wydaje. Ja osobiście wybrałabym jakiś niezawodny i szybki sposób i na pewno działałabym zgodnie z planem — dokładnie i stanowczo.

— Panno Marple! Pani mnie przeraża — niby to ze strachu zawołał komisarz. — Mam nadzieję, że nigdy nie zrobi pani czegoś podobnego mnie. Pani bez wątpienia popełniłaby zbrodnię doskonałą!

Starsza pani spojrzała na niego z naganą w oczach.

— Wydaje mi się, że wyraziłam się dostatecznie jasno. Nigdy nie zabiłabym nikogo. Nie, ja po prostu postawiłam się na miejscu... pewnej osoby.

— Czy myśli pani o Pritchardzie? — wołał się upewnić pan Bantry. — Nie mogę wciąż uwierzyć, że on mógłby to zrobić. Nawet panna Copling nie jest tego pewna. Mniej więcej w miesiąc po śmierci pani Pritchard widziałem się z nią. Nie wiedziała, jak się to stało —

prawdę mówiąc niewiele można było z niej wydobyć — ale nie potrafiła ukryć swego przeświadczenia, że George jest w jakiś sposób odpowiedzialny za śmierć żony. Była o tym przekonana.

— No cóż, może była bliska prawdy — powiedział dr Lloyd. — Zwracam państwu uwagę na intuicję pielęgniarek w podobnych wypadkach. Mogą nie mówić, zwłaszcza jeśli nie ma dowodów winy, ale wyczuwają bezbłędnie.

Sir Henry pochylił się do przodu.

— Halo, panno Marple! Budzę panią ze snu. Czy zechce pani nam powiedzieć, nad czym pani się tak zastanawia? — zapytał prosząco.

Panna Marple oblała się rumieńcem.

— Przepraszam. Właśnie myślałam o naszej pielęgniarce obwodowej... To też bardzo niejasna sprawa.

— Trudniejsza niż nasza zagadka z niebieskim geranium?

— Tutaj wszystko zależy od pierwiosnków — rzekła starsza pani. — To znaczy, pani Bantry powiedziała nam, że były żółte i różowe. Jeśli różowy kwiat zmienił kolor na niebieski, wszystko jest w porządku.. Ale jeśli stało się to z żółtym...

— To był różowy pierwiosnek — upewniła ją pani Bantry, wlepiając w nią wzrok, podobnie zresztą jak i pozostali.

— To przesądza sprawę — zdecydowała panna Marple. — I sezon, kiedy pojawiają się osy, i wszystko inne. No i gaz, oczywiście.

— Przypuszczam, że kojarzy się to pani z jakąś tragedią w St. Mary Mead — rzucił sir Henry.

— Tym razem nie z tragedią. Nie ma to nawet nic wspólnego z przestępstwem, ale przypomniało mi o kłopotach, jakie mamy z naszą pielęgniarką obwodową. Mimo wszystko pielęgniarki są też ludźmi, a przecież wymaga się od nich uprzejmości i tych niewygodnych kołnierzyków, i wyrzeczenia się własnych rodzin — cóż, czy można się dziwić, że takie rzeczy się zdarzają?

Sir Henry nagle zrozumiał.

— Czy ma pani na myśli siostrę Carstairs?

— Oh, nie. Pannę Copling! Widzicie, ona mieszkała u nich już wcześniej i chyba związała się uczuciowo z panem Pritchardem, który jest jak twierdzicie — przystojnym mężczyzną. Śmiem przypuszczać, że ona biedulka... Cóż, nie nasza sprawa. Nie sądzę, by wiedziała o jego przyjaźni z panną Instow. A gdy się dowiedziała, zrobiła wszystko, by mu jak najwięcej zaszkodzić. Zdradził ją list...

— Jaki list?

— Ten, który napisała do wróżbiarki na prośbę pani Pritchard. W odpowiedzi na list pojawiła się Zarida. Ale później wyszło na jaw, że pod danym adresem nikt taki nie mieszka.

A to oznacza, że panna Copling maczała w tym palce. Udawała tylko, że pisze, a w rzeczywistości ona sama udawała wróżbiarkę.

— Nie przyszło mi do głowy, że ten list może być tak istotny — rzekł inspektor Clithering. — A jest chyba najważniejszy w całej sprawie.

— Ryzykowała dużo, bo pani Pritchard mogła ją poznać mimo przebrania. Ale gdyby ją rozpoznano, zawsze mogła wyjaśnić, że to tylko taki żart.

— Co miała pani na myśli mówiąc, że jeśli by pani była pewną osobą, to nie zawierzyłaby przerażeniu?

— Nie można być pewnym, że strach spowoduje śmierć — wyjaśniła panna Marple. —

Nie, sądzę, że te ostrzeżenia i niebieskie kwiaty były — jeśli mogę użyć terminu wojskowego

— po prostu kamuflażem.

Tu starsza pani zaśmiała się krótko, jakby podkreślając swą nieomylność.

— A jak naprawdę zginęła pani Pritchard?

— Wiem, że miewam dziwne pomysły — panna Marple wyjaśniała dalej tonem usprawiedliwienia. — Pomyślałam o osach. Biedactwa, tyle ich ginie, zwłaszcza w lecie, gdy jest piękna pogoda. Ale doskonale pamiętam, co przyszło mi do głowy, gdy zobaczyłam ogrodnika, który rozrabiał cyjanek

potasu z wodą w butelce. Pomyślałam wtedy, jak jest to podobne z wyglądu do soli trzeźwiących. A w naszym wypadku — co by było, gdyby ktoś użył tej trucizny zamiast soli? No cóż, biedna pani Pritchard miała zwyczaj wążania soli, prawda? Powiedziano nam przecież, że trzymała w ręce buteleczkę, gdy ją znaleziono martwą. Wtedy pan Pritchard pobiegł do telefonu, by wezwać lekarza, a panna Copling bez trudu mogła zamienić buteleczki, aby zabić zaś zapach migdałów, odkręciła leciutko gaz na wypadek, gdyby ktoś wszedł do pokoju wcześniej. Wiem, że cyjanek nie zostawia żadnych śladów, jeśli zostawi mu się trochę czasu, by zdążył wywietrzeć. Mogę się oczywiście mylić

— nie musiał to być koniecznie cyjanek — ale to chyba bez znaczenia w tym wypadku, prawda?

Panna Marple urwała na chwilę, nieco wyczerpana tak długą wypowiedzią.

— Ale co z tymi niebieskimi kwiatami? — spytała Jane Helier pochylając się w kierunku siwej pani.

— Pielęgniarki zawsze mają papierek lakmusowy, czyż nie? — podjęła panna Marple. —

Potrzebują go do badań. Niezbyt mi przyjemnie o tym mówić. Nie będę się więc rozwodzić.

Sama kiedyś pracowałam w tym zawodzie, choć niedługo. — Mówiąc to zaróżowiła się leciutko. — Kolor niebieski zmienia się na różowy pod wpływem kwasów, różowy zaś na niebieski pod wpływem zasad. Tak łatwo było potrzeć różowe kwiatki tapety lakmusem —

tuż obok łóżka, oczywiście. A gdy pani Pritchard wążała swoje sole, opary amoniaku unosiły się w powietrzu i pod ich wpływem kwiatek różowy zmieniał kolor na niebieski.

Świetnie pomyślane. Oczywiście, geranium nie było niebieskie, gdy panna Copling i pan Pritchard weszli do pokoju chorej i stwierdzili, że nie żyje. Nikt tego nie spostrzegł. A potem, gdy pielęgniarka została sama i zamieniła buteleczki, potrzywała zapewne sole trzeźwiące blisko tapety. Tak przypuszczam.

— Mówi pani o tym z takim przekonaniem, jakby tam pani była i widziała to na własne oczy — zauważył sir Henry.

— Najbardziej mnie martwi, że biedny pan Pritchard i panna Instow przestali się przyjaźnić. Chyba podejrzewali się wzajemnie o ten wstrętny czyn i trzymali się od siebie z daleka — a życie jest przecież takie krótkie... — panna Marple zdawała się niepocieszona.

— Proszę się nie martwić — uspokoił ją inspektor. — Muszę się przyznać, że mam dla państwa niespodziankę. Otóż pielęgniarka Copling została aresztowana, gdy usiłowała zamordować swego następnego pacjenta, w podeszłym już wieku, który zostawił jej legat w testamencie. Wykorzystała i w tej sprawie swój pomysł na — jak sądziła — zbrodnię doskonałą. Zamieniła sole trzeźwiące na cyjanek potasu. Jej stary chwyt. Tak więc panna Instow i pan Pritchard są oczyszczeni z jakichkolwiek podejrzeń.

— Czyż to nie wspaniałe? — panna Marple aż pisnęła z uciechy. — To znaczy, nie mam na myśli morderstwa — poprawiła się pospiesznie. — Zawsze się smucę, gdy pomyślę, ile jest zła na świecie, i jeśli ktoś choć raz ulegnie pokusie... Ale, ale, to mi właśnie przypomniało, że muszę

dokończyć rozmowę z doktorem Lloydem na temat pielęgniarki w naszym St. Mary Mead!...

VIII

Dama do towarzystwa

— Doktorze Lloyd, a pan nie zna jakiejś historii z dreszczykiem? — mówiąc to Jane Helier skierowała się w stronę lekarza i obdarowała go uśmiechem, który co wieczór czarował widownię w teatrze. Pannę Helier nazywano czasem najpiękniejszą kobietą w Anglii, a zazdrośni o jej sukcesy koledzy po fachu zwykli szeptać między sobą: „W gruncie rzeczy Jane jest mierną aktorką. Ona nie umie grać — rozumiecie, co mam na myśli.

Wszystko zawdzięcza t y m oczom”.

A teraz „te oczy” były utkwione w doktorze Lloydzie, starym kawalerze w podeszłym wieku, którego wygląd przypominał nieco niedźwiedzia i który od lat pięciu doglądał

pacjentów w St. Mary Mead. Zupełnie podświadomie obciągnął na sobie kamizelkę, która ostatnio jakoś dziwnie się skurczyła, i pospiesznie zaczął się głowić, co by tu można opowiedzieć, by nie zawieść tego ślicznego stworzenia.

— Coś mi się wydaje, że mam dzisiaj ochotę na nurzanie się w zbrodni i krwi — rzuciła Jane marząco.

— Wspaniale! — poparł ją pan domu, pułkownik Bantry, — Świetnie! Po czym roześmiał się rubasznym rechotem wojskowego. — Co Dolly?

Jego żona akurat obmyślała, czym obsadzić grządki na wiosnę, ale zareagowała szybko jak na wzorową panią domu przystało.

— Doskonały pomysł! — przyłączyła się entuzjastycznie do męża. — Właśnie o tym myślałam.

— Naprawdę, droga pani? — panna Marple spojrzała na nią i leciutko zamrugła oczami.

— Wie pani, panno Helier, my tutaj w St. Mary Mead nie mamy okazji poznać takich sensacji — a jeszcze mniej prawdziwych przestępstw kryminalnych — wolał się zaasekurować dr Lloyd.

— Zaskakuje mnie pan tym stwierdzeniem — tu były komisarz Scotland Yardu spojrzał

wymownie na pannę Marple. — Z tego, co mówiła nasza wspólna znajoma, wywnioskowałem, że St. Mary Mead jest prawdziwą wylęgarnią występku i zbrodni.

— Oh, sir Henry! — zaprotestowała starsza pani. a policzki jej oblał rumieniec. — Nigdy nie powiedziałam czegoś takiego. Twierdzę tylko, że natura ludzka jest wszędzie taka sama, na wsi czy gdziekolwiek indziej. Życie w małym miasteczku daje więcej okazji, by przyjrzeć się jej z bliska.

— Ale pan nie mieszkał tutaj całe życie — zwróciła się do lekarza Jane. — Wiele pan podróżował po świecie, był pan na pewno w różnych miejscach, gdzie dzieją się ciekawe rzeczy!

— Tak, z pewnością — dr Lloyd przeciągał sylaby, nadal desperacko starając się przypomnieć sobie

coś, co by zadowoliło pannę Helier. — Tak... oczywiście... Tak... Ach!

Mam!

Opadł głębiej w fotel z westchnieniem ulgi.

— To było tak dawno temu, że prawie o tym zapomniałem. Ale sprawa była dziwna, naprawdę dziwna. I równie dziwny był końcowy zbieg okoliczności, który pozwolił mi rozwiązać i zrozumieć tę zagadkę.

Panna Helier przysunęła krzesło bliżej lekarza, przeciągnęła kredką po ustach i zamarła w oczekiwaniu. Pozostali również odwrócili się z zainteresowaniem w stronę opowiadającego.

— Nie wiem, czy ktoś z państwa zna Wyspy Kanaryjskie — zaczął.

— Muszą być śliczne — wykrzyknęła Jane Helier. — Leżą gdzieś na morzach południowych, prawda? Czy nie na Morzu Śródziemnym?

— Byłem tam raz, gdy płynąłem do Afryki Południowej — rzekł pułkownik Bantry. —

Szczyt Teneryfy przy zachodzącym słońcu wywarł na mnie duże wrażenie.

— Wypadek, o którym chcę opowiedzieć, zdarzył się na Gran Canarii, nie na Teneryfie.

Było to naprawdę dawno temu. Poważnie się wówczas rozchorowałem i za namową kolegów wyjechałem z Anglii na wypoczynek. Podjąłem praktykę w Las Palmas, największym mieście na wyspie. Życie tam podobało mi się z wielu powodów. Klimat był łagodny, dużo słońca, wspaniałe morze, w którym mogłem się kąpać do woli — a jestem zapalonym pływakiem — i samo życie portowego miasta, które mnie fascynowało. Do Las Palmas zawijały statki z całego świata, a ja lubiłem przechadzać się po molo wczesnym rankiem i spacerować tak mnie pochłaniały, jak chyba tylko kobiety mogą być pochłonięte oglądaniem wystaw z kapelusami.

Jak już mówiłem, do Las Palmas zawijały statki z całego świata. Czasem stały w porcie kilka godzin, czasem po kilka dni. W głównym hotelu, Metropolu, można było spotkać ludzi wszystkich niemal ras i narodowości — niczym ptaki w przelocie. Nawet ludzie udający się na Teneryfę zwykli się zatrzymywać w Las Palmas choć na kilka dni.

I tu właśnie, w Metropolu, zaczęła się ta historia. Pewnego czwartku w styczniu odbywał

się bal. Siedziałem przy stoliku z przyjacielem i obserwowałem parkiet. Sporo było Anglików i innych obcokrajowców, ale większość tańczących było Hiszpanami. Gdy orkiestra zagrała tango, na parkiecie zostało z sześć par — głównie Hiszpanów. Tańczyli wspaniale, a my patrzyliśmy i podziwialiśmy. Ogólna, uwagę jednak przyciągała pewna Hiszpanka, wysoka i niezwykle pociągająca. W tańcu poruszała się z leniwym wdziękiem przypominając na wpół

oswojoną tygrysicę. Było jednak w niej coś groźnego. Podzieliłem się tym wrażeniem z moim przyjacielem, a on przyznał mi rację.

— Kobiety tego typu, życie zwykle nie zostawia w spokoju — powiedział.

— Uroda jest niekiedy niszcząca siłą — dorzuciłem.

— W tym wypadku nie chodzi wyłącznie o urodę. Jest jeszcze coś. Spójrz na nią uważniej. Różne rzeczy mogą się przytrafić tej kobiecie lub też z jej powodu. Jak już powiedziałem, życie nie przejdzie obojętnie koło niej. Otaczały ją będą dziwne i niepokojące zdarzenia. Wystarczy na nią rzucić okiem, by to wyczuć.

Urwał nagle, a potem dodał z uśmiechem na ustach:

— Dla porównania popatrz na te dwie kobiety, o tam! Z góry można przyjąć, że nic szczególnego nie przydarzy im się w życiu! Są po prostu stworzone do spokojnego, mało ciekawego istnienia.

Podążyłam za jego spojrzeniem. Kobiety, o których mówił, wysiadały właśnie ze statku, który przybił do portu tego wieczora.

Gdy przyglądałem im się z uwagą, pojąłem, co mój przyjaciel miał na myśli. Były Angielkami i z daleka wyczuwało się ich dobre maniery. Obydwie mogły mieć około czterdziestki. Jedna z nich była jasnowłosa i troszkę — ale tylko troszkę — zbyt pulchna. Jej towarzyszka była ciemnowłosa i w przeciwieństwie do tamtej troszkę za szczupła. Ubrane były w doskonale skrojone kostiumy z tweedu, o szarym nie rzucającym się w oczy kolorze.

Ich twarze nie nosiły nawet śladu makijażu. Roztaczały wokół siebie aurę spokojnej pewności siebie i dobrego wychowania, jak na typowe Angielki przystało. Nie wyróżniały się niczym, podobne do tysięcy swych rodaczek. Z pewnością chciały zwiedzić wszystko to, co polecał

przewodnik Baedekera pozostając ślepyimi na wszystko inne. Na pewno odwiedzały po drodze brytyjskie biblioteki i chodziły regularnie do kościoła; zupełnie prawdopodobne, że któraś z nich nanosiła na papier oglądane widoczki. Miał więc rację mój przyjaciel mówiąc, że nic ciekawego nie zdarzy się w ich życiu, choćby zwiedziły cały świat. Przeniosłem spojrzenie na tańczącą Hiszpankę — oddaną bez reszty rytmowi, z przymkniętymi oczami.

Uśmiechnąłem się sam do siebie.

— Biedne istoty — westchnęła Jane. — Zawsze myślę, jak głupio ludzie postępują hamując swoją żywiołowość. Ta kobieta na Bond Street — Valentine — jest cudowna.

Chodzi do niej Audrey Denman — widzieliście ją w jej ostatniej sztuce? Jako uczennica w pierwszym akcie jest naprawdę rewelacyjna. A przecież ma blisko sześćdziesiątkę, jak powiedziano mi niedawno, choć nikt nie dałby jej więcej jak pięćdziesiąt, gdy ma swój dobry dzień.

— Niech pan opowiada dalej — poprosiła pani Bantry. — Ubóstwiam historie o roztańczonych hiszpańskich tancerzach. Pozwalają mi zapomnieć, jaka jestem gruba i stara.

— Przykro mi — rzekł dr Lloyd tonem usprawiedliwienia. — Widzi pani, szczerze mówiąc moja historia nie dotyczy tej Hiszpanki.

— Nie?

— Niestety. Jak to się często zdarza, mój przyjaciel i ja myliliśmy się w tym wypadku.

Nic szczególnie ciekawego nie działo się koło pięknej Hiszpanki. Wyszła za mąż za urzędnika w portowym biurze i gdy opuszczałem Wyspy, miała już pięcioro dzieci i zaczynała okropnie tyć.

— Zupełnie tak samo, jak córka Israela Petersa — wtrąciła panna Marple. — Dostała się na scenę i grała w pantomimie główne role męskie, bo miała długie, smukłe nogi. Każdy twierdził, że się zmarnuje, podczas gdy ona poślubiła komiwojażera i ślicznie się ustatkowała.

— Znow analogiczna historia w St. Mary Mead — wymamrotał pod nosem sir Henry.

— Moja opowieść dotyczy tych dwóch angielskich dam — podjął lekarz.

— Coś im się przytrafiło? — wstrzymała oddech Jane Helier.

— Właśnie, i to zaraz następnego dnia po ich przyjeździe.

— Co takiego? — zachęcająco rzuciła pani Bantry.

— Gdy wychodziłem tego wieczoru z hotelu, zerknąłem do rejestru gości. O, tak z ciekawości. Łatwo odnalazłem nazwiska. Panna Mary Barton i panna Amy Durrant z Little Paddocks Bucks. Do głowy mi wówczas nie przyszło, jak prędko przyjdzie mi poznać właścicielki tych nazwisk. I to w jakich tragicznych okolicznościach.

Następnego dnia wybrałem się na piknik z kilkoma przyjaciółmi. Mieliśmy pojechać w głąb wyspy, zabrać ze sobą lunch i zjeść go w pobliżu Las Nieves — chyba tak nazywała się ta miejscowość, o ile mnie pamięć nie myli — i popływać w zacisznej zatoczce, jeśli będziemy mieli na to ochotę. Trzymaliśmy się ściśle tego planu, ale że wyjechaliśmy z małym opóźnieniem, zatrzymaliśmy się więc po drodze, by zjeść lunch, po czym jechać dalej do Las Nieves.

Gdy zbliżyliśmy się do plaży, uderzyło nas jakieś szczególne poruszenie. Cała ludność pobliskiej wioski rybackiej zgromadziła się na brzegu morza. Gdy tylko spostrzegli samochód, ruszyli w naszym kierunku krzycząc coś w ogromnym wzburzeniu. Nasza znajomość hiszpańskiego ograniczała się do kilku podstawowych zwrotów, tak więc upłynęło trochę czasu, zanim pojęliśmy, o co im chodzi. Okazało się, że dwie turystki z Anglii przyszły tu popływać. Jedna z nich wypłynęła zbyt daleko w morze i nagle zaczęła wzywać pomocy.

Jej towarzyszka podpłynęła do niej i próbowała ją holować, ale po jakimś czasie opadła z sił.

Byłaby się utopiła, gdyby nie pomoc miejscowego rybaka, który wciągnął obydwie do swej łodzi i przewiózł na plażę. Niestety, ta pierwsza najprawdopodobniej już nie żyje. Gdy tylko zrozumiałem, o co chodzi, roztrąciłem spory już tłumek ludzi wokół nas i pędem pobiegłem w tamtym kierunku. Z pewną trudnością rozpoznałem te kobiety. Ta pulchna, w czarnym kostiumie kąpielowym i zielonym czepku spojrzała na mnie z niepokojem. Klęczała obok ciała leżącego na piasku i rozpaczliwie usiłowała robić coś, co w jej mniemaniu miało być sztucznym oddychaniem. Gdy powiedziałem, że

jestem lekarzem, westchnęła z ulgą.

Rozkazałem jej, by biegła do wioski po jakiś ciepły koc i suche rzeczy do przebrania. Poszła z nią jedna z moich znajomych. Ja tymczasem próbowałem przywrócić do życia tę utopioną —

niestety na próżno. Była martwa, więc po dłuższej chwili bezowocnych wysiłków przerwałem sztuczne oddychanie.

Poszedłem do wioski, gdzie w małym rybackim domku odnalazłem znajomych i tę drugą Angielkę, dla której kąpiel w morzu nie skończyła się na szczęście tragicznie. Miała teraz na sobie własne ubranie, natychmiast więc rozpoznałem w niej kobietę, która w towarzystwie drugiej przybyła do Las Palmas poprzedniego wieczora. Wiadomość o śmierci swej towarzyszki przyjęła spokojnie. Zdawało się, że tragizm tego rodzaju śmierci wywarł na niej większe wrażenie niż sam fakt śmierci znanej jej osoby.

— Biedna Amy — powiedziała. — Biedna, biedna Amy. Tak bardzo się cieszyła tą kąpielą, gdy tu jechałyśmy. I była przecież dobrą pływaczką. Zupełnie nie rozumiem, jak się to mogło stać. Co to było, doktorze, jak pan sądzi?

— Prawdopodobnie kurcz. Czy może pani powiedzieć dokładnie, co się wydarzyło?

— Pływałyśmy obie przez jakiś czas, z dwadzieścia minut. Potem ja wyszłam z wody, a Amy powiedziała, że jeszcze trochę popływa. Nagle usłyszałam, że coś woła, i zrozumiałam, że wzywa pomocy. Podpłynęłam do niej tak szybko, jak tylko mogłam. Szła już pod wodę, a gdy znalazłam się blisko niej, uczepliła się mnie kurczowo tak, że obydwie zaczęłyśmy tonąć.

I byłybyśmy utopiły się razem, gdyby nie pomoc tego rybaka, który podpłynął do nas łodzią i wyciągnął z wody.

— Tak to właśnie bywa, gdy ratuje się tonącego — rzekłem. — Pomoc w takich wypadkach wymaga dużo siły i umiejętności.

— To wszystko jest takie straszne — skarżyła się panna Barton. — Przyjechałyśmy zaledwie wczoraj i tak bardzo cieszyłyśmy się z pięknego słońca i tej wycieczki. A teraz... To okropne nieszczęście!

Zaproponowałem jej, by podała mi jakieś bliższe dane o denatce, gdyż tego na pewno zażąda miejscowa policja. Panna Barton zrozumiała, że chcę jej pomóc, i powiedziała mi wszystko, co wiedziała o zmarłej.

Otóż była ona jej panią do towarzystwa, którą zatrudniła jakieś pięć miesięcy wcześniej.

Nie było żadnych konfliktów między nimi, ale Amy Durrant niewiele mówiła o sobie. Panna Barton wiedziała tylko, że tamta była sierotą i wychowywał ją wujek, a po dojściu do pełnoletności sama zarabiała na swoje utrzymanie.

— I tak to było — ciągnął opowiadanie dr Lloyd.

Urwał na chwilę, po czym powtórzył zdecydowanie.

— Tak to właśnie było.

— Nie rozumiem — zaprotestowała Jane Helier. — To już wszystko? To naprawdę przykre, ten wypadek, ale... no cóż, nie widzę w tej historii nic zagadkowego.

— Sądzę, że to jeszcze nie koniec — zauważył sir Henry.

— Tak, to jeszcze nie koniec — potwierdził dr Lloyd. — Otóż zastanowiło mnie jedno.

Wybadałem rybaków, którzy byli naocznymi świadkami wydarzeń — chciałem wiedzieć, co widzieli. I oto jedna kobieta powiedziała coś, co dało mi do myślenia. Wówczas nie przywiązywałem do tego większej wagi, ale później jej słowa wróciły do mnie z całą ostrością. Otóż twierdziła, że panna Durrant wcale nie wzywała pomocy. Jej towarzyszka popłynęła do niej i według tej kobiety celowo próbowała ją utopić przytrzymując głowę pod wodą. Brzmiało to fantastycznie — odległość była dość znaczna, a z brzegu mogło to wyglądać zupełnie inaczej. Panna Barton mogła próbować tamtą pozbawić przytomności, by uwolnić się od jej rozpaczliwego uchwytu, który przeszkadzał w utrzymywaniu się na powierzchni.

Jak już wspomniałem, nie zwróciłem uwagi na słowa rybaczek. Ale później przypomniałem je sobie. Na razie mieliśmy sporo kłopotu z ustaleniem bliższych danych o denatce, Amy Durrant. Wydawało się, że nie miała nikogo bliskiego na świecie. Panna Barton przeglądnięła razem ze mną jej rzeczy. Znaleźliśmy jeden adres i napisaliśmy tam, ale okazało się, że był to adres kobiety, u której Amy Durrant wynajmowała pokój. Gospodyni nic o niej bliższego nie wiedziała, widziała ją tylko raz, gdy wynajmowała pokój i płaciła za niego.

Pamiętała tylko, że panna Durrant wspomniała jej, iż chce mieć miejsce, do którego zawsze może wrócić. W pokoju zostało kilka jej mebli, trochę amatorskich obrazów i kufer wypełniony po brzegi kuponami materiałów z wyprzedaży, ale żadnych rzeczy osobistego użytku. Wspomniała gospodyni jeszcze, że jest sierotą, rodzice zmarli w Indiach, gdy była małym dzieckiem, i że wychowywał ją wuj, który był pastorem. Nie powiedziała jednak, czy był to krewny ze strony matki, czy ojca — nazwisko więc nie mogło też tu nic pomóc.

Nie było w tym wszystkim nic zagadkowego — po prostu kłapa, jeśli chodzi o nasze wysiłki ustalenia jej tożsamości. Cóż, takich kobiet, małomównych i samotnych, jest sporo na świecie. W jej rzeczach w Las Palmas znaleźliśmy kilka starych i wyblakłych fotografii, które przycięto, by mogły się zmieścić w ramach, ale nie było na nich nazwisk fotografa. Był

również poślizgnięty ze starości dagerotyp, który przedstawiał jej matkę, lub też — co bardziej prawdopodobne — babkę.

Wśród papierów znaleźliśmy dwie referencje z poprzednich miejsc pracy. Jednego nie udało się odnaleźć, choć panna Barton widziała polecenie przy przyjmowaniu Amy Durrant do pracy. Zapamiętała nazwisko poprzedniego pracodawcy. Była to pani, która przebywała obecnie za granicą, w Australii. Napisaliśmy do niej. Po długim czasie nadeszła odpowiedź, nie wniosła jednak nic

nowego. Pani ta pisała, że rzeczywiście Amy Durrant pracowała u niej i wywiązywała się ze swych obowiązków należycie, ale niestety nie wiedziała nic bliższego o jej życiu prywatnym ani o jej krewnych.

Jak już powiedziałem, nie było w tym nic dziwnego. A jednak sprawa nie dawała mi spokoju, i to z dwóch powodów: nikt nie był w stanie nic powiedzieć o Amy Durrant i ta dziwna relacja rybaczki. Było coś jeszcze. Otóż, gdy po raz pierwszy, wtedy na plaży, pochyliłem się nad ciałem nie dającym znaku życia, a panna Barton odchodziła w kierunku wioski, odwróciła się na moment. Spojrzała w naszym kierunku, a na twarzy jej odbił się wyraz jawnego zaniepokojenia. I ten właśnie obraz utkwił mi na dobre w pamięci. Wówczas nie widziałem w tym nic dziwnego — rozumiałem to jako szczerą niepokój o stan jej towarzyszki. Później jednak zdałem sobie sprawę, że nie były one właściwie aż tak zżyte ze sobą. Nie było między nimi prawdziwie przyjacielskiego przywiązania, a po śmierci rozpacz. Panna Barton lubiła Amy Durrant i śmierć jej przyjęła jako wydarzenie, które ją zaszokowało — i to wszystko.

Ale dlaczego spojrzała z tak wyraźnym niepokojem? To pytanie stale do mnie wracało.

Jej spojrzenie odczytałem na pewno właściwie. I niemal mimo woli nasuwała mi się odpowiedź: a gdyby przyjąć, że relacja rybaczki była prawdziwa i że Mary Barton z zimną krwią popełniła zbrodnię przytrzymując głowę ofiary pod wodą? Niby to pod pretekstem, że ją ratowała? Została wyciągnięta przez rybaka. Potem była na plaży sama z ofiarą, z dala od ludzi. A potem zjawiałem się ja — ostatnia rzecz, jaką mogła przewidzieć. Lekarz! I to Anglik!

Zdawała sobie sprawę, że właściwie wykonywane sztuczne oddychanie może przywrócić życie Amy Durrant. Zdarzało się już nieraz, że zdołano odratować osoby, które przebywały pod wodą dłużej niż jej towarzyszka. Ale musiała grać dalej rolę zmartwionej — musiała odejść od swej ofiary, udając się do wioski. Odwraca się jednak i po raz, ostatni rzuca w naszą stronę spojrzenie pełne niepokojem. Czy Amy odzyska przytomność i powie, co naprawdę działo się tam, w wodzie?!

— Oh! — wykrzyknęła Jane Helier. — Teraz przechodzą mnie ciarki!

— Patrząc pod tym kątem wszystko nagle stało się bardziej złowieszcze — ciągnął dalej dr Lloyd. — Zdawało się nawet potęgować przedziwną zagadkowość osoby Amy Durrant.

Kim ona właściwie była? Dlaczego tak mało znaczka osoba miała zostać zamordowana przez swą chlebobawczynię? Co za sekret kryje się pod niewinną z pozoru kąpielą w morzu?

Została zatrudniona przez Mary Barton zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Wyjechały razem za granicę i zaraz następnego dnia rano — zginęła. Obydwie były przecież miłymi, dobrze ułożonymi angielskimi damami! Moja nowa teoria zdawała się zbyt fantastyczna, by mogła być prawdziwa. Chyba jednak poniosła mnie wyobraźnia!

— Nic pan nie zrobił? — nie wytrzymała aktorka.

— Droga pani, a cóż mogłem zrobić? Nie było żadnych dowodów. Większość naocznych świadków poparła pannę Barton w wyjaśnieniu zdarzeń na morzu. Moja teoria była oparta tylko na jednym —

na spojrzeniu wyrażającym niepokój. A może źle je odczytałem? Jediną rzeczą, którą mogłem zrobić, było dopilnowanie, by nie zaprzestano badać przeszłości Amy Durrant, co mogłoby pomóc w zrozumieniu podłoża tego „wypadku”. Gdy byłem w Anglii, osobiście odwiedziłem tę panią, u której panna Durrant wynajęła pokój. Dowiedziałem się tylko tego, co już wcześniej powiedziałem.

— Ale czuł pan, że coś jest nie w porządku — wtrąciła panna Marple.

Dr Lloyd skinął głową potakująco.

— Wiele razy ganiłem się za to. Jakież miałem prawo podejrzewać miłą, uprzejmą osobę o tak niegodny czyn? Robiłem, co mogłem, by nie dać jej odczuć mojego uprzedzenia do jej osoby. Pomogłem jej przy przesłuchaniu przez miejscową policję — robiłem, co było w mej mocy, by pomóc jej tak, jak pomagałbym każdemu krajanowi w podobnych kłopotach. A jednak jestem przekonany, że ona wyczuwała moje podejrzenie, które rzutowało na mój stosunek do niej, pełen rezerwy i niechęci.

— Jak długo jeszcze pozostała na wyspie? — zapytała panna Marple.

— Około dwóch tygodni. Panna Durrant została pochowana i w jakieś dziesięć dni później Mary Barton wykupiła bilet na statek odchodzący do Anglii. Te wypadki tak nią wstrząsnęły, że nie może zostać tam dłużej, mimo że taki był jej zamiar. Tak to wyjaśniła.

— Czy rzeczywiście była tym tak przejęta? — dociekała starsza pani.

Dr Lloyd zawahał się.

— Cóż, nie sądzę, by odbiło się to w jakikolwiek sposób na jej wyglądzie — rzucił ostrożnie.

— Czy nie przybrała lekko na wadze? — nie ustępowała panna Marple.

— A wie pani, to dziwne, że pani o tym mówi. Gdy teraz sięgam myślą wstecz, wydaje mi się, że ma pani rację. Tak... zdaje mi się, że przytyła troszkę.

— Straszne — wzdrygnęła się Jane Helier. — Zupełnie jak wampir żywiący się krwią swej ofiary.

— Być może krzywdzę ją tym stwierdzeniem — ciągnął dalej dr Lloyd. — Przed odjazdem powiedziała coś, co spowodowało, że nieco inaczej zacząłem patrzeć na tę sprawę.

Sądzę, że są pewne uczucia, które dochodzą do głosu bardzo wolno i które umożliwiają zrozumienie popełnionego czynu. To było tego wieczora, gdy miała odpłynąć z wyspy.

Poprosiła mnie, bym wpadł do niej — jeszcze raz dziękowała mi serdecznie za wszystko, co dla niej zrobiłem. Wyjaśniłem jej, że to samo zrobiłbym dla każdego, kto znalazłby się w podobnej sytuacji i tak dalej. Nastąpiła chwila ciszy, po czym nagle zadała mi pytanie.

— Czy uważa pan, że człowiek może wziąć wymierzenie sprawiedliwości w swoje ręce?

Odpowiedziałem, że to trochę kłopotliwe pytanie, ale według mnie prawo jest prawem i należy go przestrzegać.

— Nawet jeśli prawo jest w danym wypadku bezsilne? — rzuciła.

— Niezbyt rozumiem.

— Trudno mi to wyjaśnić. Ale może się zdarzyć, że ktoś popełni coś, co ogólnie jest uznane za karygodne, za zbrodnię nawet — ale kieruje się dobrymi motywami, które są znane tylko jemu samemu.

Odpowiedziałem jej sucho, że w ten sposób rozumują zwykle przestępcy w momencie, gdy łamią prawo, i tak właśnie próbują tłumaczyć swoje postępowanie. Panna Barton wycofała się z dyskusji i jakby lekko wzdrygnęła.

— A jednak to straszne — wyszeptała. — Straszne!

A potem zmieniła temat i spytała mnie, czy nie mógłbym przepisać jej czegoś na sen. Nie sypiała dobrze od... — zawiesiła głos jakby z wahaniem — od tego okropnego wypadku.

— Jest pani pewna, że to szok spowodował bezsenność? A może coś panią gnębi? Jakieś myśli?

— Myśli? O czym miałabym myśleć? — rzuciła ostro, a ton jej zdradzał podejrzliwość.

— Często zmartwienie jest wrogiem snu — odpowiedziałem lekkim tonem.

Rozważała to przez chwilę.

— Chodzi panu o rozmyślanie o przyszłości, czy o przeszłości, której nie można już odmienić?

— Jedno i drugie.

— Nie ma sensu zamartwiać się przeszłością. Nie można cofnąć... Oh, to na nic! Nie trzeba myśleć. Nie wolno!

Przepisałem jej łagodny środek nasenny i pożegnałem się. Gdy odchodziłem, zastanawiałem się nad jej ostatnimi słowami. „Nie można cofnąć...” Czego? A może kogo?

Ta nasza ostatnia rozmowa była w jakiś sposób przygotowaniem do tego, co miało wkrótce już nadejść. Nie oczekiwałem tego, rzecz jasna, ale gdy dowiedziałem się, co się zdarzyło — nie byłem zdziwiony. Widzicie, Mary Barton cały czas robiła wrażenie nie słabego grzesznika, który zbłądził na drodze cnoty, ale zdecydowanej, silnej psychicznie kobiety, która ma niezłomne zasady, według nich postępuje i nie załamie się tak długo, jak długo będzie w nic wierzyć. Zaciekało mnie więc, że ostatnie jej stwierdzenia podczas pożegnalnej rozmowy zdawały się zdradzać chwiejność przekonań. Teraz wiem, że były początkiem wyrzutów sumienia, tego bezlitosnego sędzię duszy.

Zdarzyło się to w Kornwalii, w małym nadmorskim kurorcie, pustawym o tej porze roku.

Był koniec marca, o ile dobrze pamiętam. Dowiedziałem się z gazet, że jakaś panna Barton wynajęła pokój w małym hoteliku. Zachowywała się bardzo dziwnie i niezrównowadzenie, jak stwierdzali wszyscy, którzy mieli z nią do czynienia. Nocami przechadzała się po pokoju mówiąc do siebie i przeszkadzając spać innym. Pewnego dnia odwiedziła wikarego tamtejszej plebanii mówiąc, że chciałaby wyznać coś, co ma dla niej ogromne znaczenie. „Popelniłam zbrodnię”... — po czym nagle urwała, wstała od konfesjonału i oddaliła się pospiesznie mówiąc, że przyjdzie może innego dnia. Odniósł wrażenie, że jest osobą chorą na umyśle, i nie potraktował jej wyznania poważnie.

Następnego dnia odkryto jej nieobecność. W pokoju znaleziono list, który zostawiła dla koronera. Brzmiał następująco:

„Usiłowałam rozmawiać wczoraj z wikarym, wyznać wszystko — nie mogłam. To ona mi nie pozwala. Mogę dać zadośćuczynienie tylko jedną drogą — życie za życie, a moje życie musi się skończyć tak, jak jej. Mnie również musi pochłoniąć morze. Wydawało mi się, że miałam prawo tak postąpić, ale widzę teraz, że to wszystko na nic. Jeśli mam zyskać przebaczenie Amy, muszę iść za nią. Proszę nie winić nikogo za moją śmierć — Mary Barton”.

Jej rzeczy znaleziono na wyludnionej plaży. Tam rozebrała się i wypłynęła w morze. Prąd wody w tym rejonie był niebezpieczny i znosił w dół wybrzeża. Ciało zatem nie odnaleziono, a śmierć przez utonięcie została po jakimś czasie zatwierdzona. Była bogatą kobietą, jej majątek obliczono na 100 tysięcy funtów. Nie zostawiła testamentu, wszystko więc odziedziczyła najbliższej z nią spokrewniona rodzina, kuzyni z Australii. W gazetach ukazały się artykuły sugerujące związek między tą śmiercią a tragedią Amy Durrant na Wyspach Kanaryjskich, której utonięcie spowodowało psychiczne załamanie Mary Barton. Śledztwo zakończono werdyktem: „samobójstwo na skutek chwilowej niepoczytalności”. I tak oto spada kurtyna na tragedię Amy Durrant i Mary Barton — zakończył opowiadanie dr Lloyd.

Zapadła cisza. Przerwała ją Jane Helier wybuchając z oburzeniem:

— Ależ nie może pan przerwać tej historii w najciekawszym momencie. Proszę mówić dalej!

— Przykro mi, panno Helier, ale to nie powieść w odcinkach. To po prostu życie, a życie samo dyktuje, gdzie należy się zatrzymać.

— Ale ja tak nie chcę — protestowała Jane. — Chcę znać prawdę do końca.

— Tu właśnie musimy zrobić użytek z naszego umysłu — wyjaśnił jej sir Henry. —

Dlaczego Mary Barton zabiła swą towarzyszkę? To pytanie postawił nam dr Lloyd swym opowiadaniem i my mamy znaleźć na nie odpowiedź.

— Oh, mogła ją zabić z wielu powodów — powiedziała panna Helier. — Na przykład...

No, sama nie wiem. Mogła jej działać na nerwy albo z zazdrości, choć dr Lloyd nie wspominał o żadnych mężczyznach. Ale na morzu, cóż, sami wiecie, co się mówi o podróżach, zwłaszcza statkiem.

Panna Helier umilkła, jakby wyczerpana tym potokiem słów, a reszta zebranych ostatecznie doszła do wniosku, że to, co znajdowało się na ślicznej główce aktorki, było niewspółmiernie bogatsze od tego, co kryje jej wnętrze.

— Najchętniej podałabym wszystkie rozwiązania jakie przychodzą mi na myśl, ale wiem, że muszę wybrać tylko jedno — zabrała głos pani Bantry. — Uważam, że ojciec panny Barton zdobył fortunę rujnując tym samym ojca Amy Durrant, więc Amy postanowiła zemścić się. Oh, nie! To zupełnie na opak! Co za kołomyjka! Po co bogata dama miałaby zabijać swą towarzyszkę, biedną i niepozorną? Już mam! Panna Barton miała młodszego brata, który popełnił samobójstwo z miłości do Amy Durrant. Panna Barton czekała na odpowiedni moment. Amy zjawiała się w końcu w jej życiu. Została przyjęta do pracy przez pannę Barton jako jej dama do towarzystwa i wyjechała z nią na Wyspy, i tam panna Barton dokonała swej zemsty. Co wy na to?

— Wspaniale — podchwycił sir Henry. — Szkopuł w tym jednak, że nic nie wiadomo o istnieniu brata panny Barton.

— Możemy to przecież wywnioskować — broniła swych racji pani Bantry. — Gdyby nie miała brata, nie miałaby motywu zbrodni. A więc musiała go mieć. Zgadza się pan z tym, Watsonie?

— Wszystko ładnie pięknie, Dolly — wtrącił się pułkownik. — Ale to tylko twój domysł.

— No pewnie. Ale wszystko, co możemy zrobić w tej sytuacji — to snuć domysły. Nie mamy przecież żadnych jasnych przesłanek. Spróbuj ty zgadnąć, mój kochany. No proszę, słuchamy.

— Daję słowo, nie wiem, co powiedzieć. Myślę, że jest coś w tym, co powiedziała panna Helier. Może chodziło o jakiegoś mężczyznę... Dajmy na to, że jakiś wysoko postawiony duchowny zjawił się w ich życiu. Obie haftowały dla niego obrus na ołtarz czy coś podobnego, a on podziękował panie Durrant jako pierwszej. Mogło przecież się to odbyć w ten sposób. Zauważ tylko, że na końcu udała się właśnie do pastora. Takie kobiety często tracą głowę dla przystojnego duszpasterza. Stale się o tym słyszy.

— Sądzę, że moje rozwiązanie będzie trochę bardziej szczegółowe, choć i ja muszę przyznać, że nie mogę niczego twierdzić z całą pewnością — zabrał głos sir Henry. —

Wydaje mi się, że panna Barton zawsze była osobą psychicznie niezrównoważoną. Takich wypadków zdarza się więcej, niż mogliby państwo przypuszczać. Jej mania przybierała na sile, aż w końcu i ona zaczęła wierzyć, że jej posłannictwem jest uwolnić świat od pewnych kobiet — *femmes fatale*, jak się o nich mówi potocznie. Nic nie wiemy o przeszłości Amy Durrant, ale możliwe, że miała tzw. czarne karty w swym życiu. Panna Barton dowiaduje się o tym i decyduje się zabić. Później jej idea „posłannictwa” zaczyna się chwiać, a ją samą ogarniają wyrzuty sumienia. Jej samobójstwo jest dowodem na załamanie psychiczne. Cóż, widzę, że zgadza się pani ze mną, panno Marple.

— Obawiam się, że niezupełnie, sir Henry — odparła starsza pani uśmiechając się przeprasząco. — Wydaje mi się, że właśnie jej samobójstwo wskazuje na nią jako na bardzo sprytną i przemyślną

osobę.

Jane Helier wykrzyknęła raz jeszcze przerywając pannie Marple.

— Oh! Jakaż jestem głupia! Czy mogę jeszcze raz typować? Oczywiście to musiało być właśnie tak. Szantaż!! Dama do towarzystwa szantażowała pannę Barton. Nie wiem tylko, dlaczego panna Marple twierdzi, że była bardzo sprytna popełniając samobójstwo. Nie, nic z tego jednak nie rozumiem.

— Ah! — rzucił sir Henry. — Widzi pani, panna Marple przypomniała sobie zapewne o podobnej sprawie, która kiedyś wydarzyła się w St. Mary Mead.

— Jak zawsze naśmiewa się pan ze mnie, sir Henry — z wyrzutem odparła starsza pani.

— Muszę jednak przyznać, że istotnie ta sprawa przypomina mi nieco panią Trout. Pobierała ona starczą rentę w trzech różnych urzędach opieki społecznej za trzy staruszki, które już nie żyły.

— Wygląda mi to na bardzo skomplikowane i pomysłowe przestępstwo — rzekł

komisarz. — Nadal jednak nie widzę, jakie miałyby to rzucać światło na wydarzenia z opowiadania doktora Lloyda.

— No tak, pan nie może widzieć żadnego związku w tych dwóch sprawach — wyjaśniła panna Marple. — Ale fakt jest faktem, że dla niektórych biednych rodzin taka renta jest dużą pomocą.. Wracając jednak do naszej sprawy — to duża pokusa dla jednej starszej kobiety, że jest podobna do drugiej. I to właśnie miałam na myśli.

— Co takiego??? — Sir Henry przestał już cokolwiek rozumieć.

— Zawsze mam trudności z jasnym wysławianiem się. Chce powiedzieć, że w chwili, gdy dr Lloyd opisywał po raz pierwszy te kobiety, nie wiedział, która jest która, i nie sądzę, by ktokolwiek w hotelu mógł je rozróżnić po nazwisku. Byłoby to łatwe, oczywiście, po upływie jakiegoś czasu. Ale zaraz następnego dnia jedna z nich utonęła. Jeśli więc pozostała przy życiu podała się za zmarłą, nie sądzę, by ktokolwiek mógł spostrzec oszustwo.

— Pani uważa... Oh, rozumiem! — sir Henry nagle pojął tok rozumowania panny Marple.

— To jedyny sposób na rozwikłanie tej sprawy. Droga pani Bantry wpadła na to pierwsza, choć nieświadomie. „Dlaczego bogata Mary Barton miałaby zabijać biedną damę do towarzystwa?” Bardziej prawdopodobne, gdyby było odwrotnie. I wydaje mi się, że tak właśnie było.

— Sądzi pani? — rzucił komisarz. Jak zwykle zaskakuje mnie pani.

— Jeśli tak było — ciągnęła dalej starsza pani — to morderczyni musiała nosić rzeczy Mary Barton, a te były na nią trochę przyciasne, więc wygląd jej wskazywał na to, że lekko przytyła. Dlatego właśnie zapytałam o to doktora Lloyda. Mężczyzna musiał tak to odebrać.

Spostrzegł, że panna Barton przybrała nieco na wadze, a nie, że rzeczy były za małe.

— No dobrze, nawet jeśli to Amy Durrant zabiła Mary Barton, co przez to zyskiwała? —

zapytała pani Bantry. — Nie mogła przecież podtrzymywać tej mistyfikacji do końca życia?!

— Wystarczyło jej nie zdradzić się przez następny miesiąc — wyjaśniała dalej panna Marple. — Myślę, że przez ten czas starannie kryła się przed wszystkimi, którzy mogli ją rozpoznać. Pewnie dużo podróżowała. To właśnie miałam na myśli, gdy mówiłam o zdarzeniu z mojej wsi. Często się wydaje, że jedna kobieta w podeszłym wieku jest podobna do drugiej. Nie sądzę, by ich fotografie w paszporcie mogły zdradzić morderczynię — sami wiecie, jak zwykle są niewyraźne i słabo oddają podobieństwo. A potem, w marcu, pojechała do tego zacisza w Kornwalii i zaczęła zwracać na siebie uwagę dziwnym zachowaniem.

Nic więc dziwnego, że po znalezieniu jej rzeczy na plaży i przeczytaniu listu, ludzie nie pomyśleli o jednym oczywistym fakcie, choć rzucał się wprost w oczy.

— O czym? — dociekał komisarz.

— Nie odnaleziono ciała — z mocą stwierdziła panna Marple. — Ten właśnie fakt umknął uwadze wszystkich, ale trudno się dziwić — zrobiła przecież niemal wszystko, by zatrzeć za sobą ślady. Te jej gierki z rzekomą chęcią spowiedzi i wyrzutami sumienia... Ale ciała nie znaleziono, a to był prawdziwy klucz do całej sprawy.

— Więc pani uważa... myśli pani, że ona nie miała żadnych wyrzutów sumienia? — Pani Bantry nie mogła wprost w to uwierzyć. — Że nie utopiła się, by za to odpokutować?

— Na pewno nie! To nie ona! Zupełnie jak pani Trout. Świetnie wodziła wszystkich za nos, ale trafiła kosa na kamień, gdy ja zainteresowałam się tą sprawą. Dlatego od razu przejrzałam tę niby nerwowo załamana pannę Barton. Utopić się?! Uciekła do Australii, jeśli w ogóle znam się na tego typu ludziach.

— Na pewno się pani zna! — podtrzymał jej hipotezę dr Lloyd. — Ma pani zupełną rację. Jeszcze teraz doznaję coś na kształt szoku, jak wtedy, w Melbourne. Można mnie było przewrócić małym palcem.

— Czy mówi pan teraz o zbiegu okoliczności, który zakończył całą tę sprawę?

Wspomniał pan o tym na początku opowiadania.

Dr Lloyd potwierdził skinieniem głowy.

— Tak i był to prawdziwy pech dla panny Barton, czy też Durrant. Zaokrętowałam się jako lekarz pokładowy na jakiś czas. Gdy przybiliśmy do Melbourne i zszedłem na ląd, jako pierwszą osobę ujrzałem kobietę, która — jak sądziłem — utopiła się w Kornwalii.

Spostrzegła natychmiast, że ją rozpoznałem, i postąpiła niemal brawurowo — wtajemniczyła mnie we wszystko. Była istotnie przedziwną osobą, prawie zupełnie pozbawioną zasad etycznych.

Pochodziła z licznej rodziny, żyjącej na pograniczu łądy. Była najstarsza z dziewięciorga rodzeństwa. Kiedyś w bardzo trudnej sytuacji zwróciła się z prośbą o pomoc finansową do swej kuzynki w Anglii, zamożnej panny Barton. Ta jednak przysłała tylko brutalną w formie odpowiedź odmowną, jako że była skłócona z ich ojcem. Troje z jej najmłodszego rodzeństwa było bardzo poważnie chore i wymagało kosztownego leczenia.

Amy Barton właśnie wtedy zaczęła układać plan morderstwa. Wyruszyła do Anglii, w czasie podróży otrzymała pracę jako pielęgniarka dla dzieci. Na miejscu została zatrudniona przez Mary Barton, a nazwisko zmieniła na Amy Durrant. Równocześnie zaś wynajęła pokój, umieściła tam trochę swoich rzeczy i mebli, by stworzyć pozory osoby biednej, bez najbliższej rodziny czy krewnych. Okazja do utopienia chlebobawczyni nasunęła się niespodziewanie łatwo i szybko. Czekwała na podobną szansę, by zrealizować swój plan. A potem zmyliła wszystkich pozorując własną śmierć i wróciła do Australii, gdzie po jakimś czasie jej rodzina odziedziczyła spadek po bogatej, tragicznie zmarłej kuzynce.

— Cóż za przebiegła i śmiała zbrodnia — orzekł sir Henry. — Niemal zbrodnia doskonała! Jeśliby to panna Barton zginęła na Wyspach Kanaryjskich, podejrzenie mogłoby się skierować na Amy Durrant, a wtedy ich pokrewieństwo wyszłoby na jaw. Gdy zmieniła nazwisko i podała siebie samą za pozostałą przy życiu Mary Barton, a później upozorowała samobójstwo, nikomu nie przyszło do głowy, że jedna osoba spowodowała obie śmierci.

Tak... to prawie zbrodnia doskonała!

— A co się z nią stało? — spytała pani Bantry. — Czy zajął pan jakieś stanowisko w tej sprawie, doktorze?

— Znalazłem się w wyjątkowo trudnej sytuacji, proszę pani. W rozumieniu prawa nie miałem w ręku żadnych dowodów winy. Poza tym moje lekarskie oko dostrzegło pewne oznaki choroby w wyglądzie tej kobiety, choć na pierwszy rzut oka mogło się zdawać, że jest krzepka i zdrowa. Wiedziałem jednak, że niezbyt długo będzie chodzić po tym świecie. Na jej zaproszenie poszedłem z nią do domu, gdzie poznałem resztę rodziny. Byli to bardzo mili ludzie, szczerze kochający swą najstarszą córkę — zdawali się nie mieć najmniejszego pojęcia o jej zbrodni. Po cóż więc było sprowadzać na ten dom nieszczęście i rozpacz, zwłaszcza że nie miałem przecież niezbitych dowodów przestępstwa. To, co mi wyznała, słyszałem tylko ja sam. Świadców naszej rozmowy nie było. Zostawiłem więc wszystko losowi. Panna Amy Barton zmarła sześć miesięcy później. A ja często się zastanawiałem, czy do końca pozostała spokojna i niezachwiana w słuszności swego czynu.

— Na pewno nie! — podkreśliła z mocą pani Bantry.

— Mam nadzieję — rzekła panna Marple. — Choć pani Trout nie okazała skruchy.

Jane Helier wstrząsnęła się leciutko.

— No cóż, to było bardzo, bardzo zajmujące. Nie zanadto wprawdzie rozumiem, kto kogo utopił. I jaką rolę odegrała w tym wszystkim pani Trout?

— Nie odegrała żadnej, kochanie — zdobyła się na cierpliwość jedynie panna Marple. —

To po prostu jedna kobieta, niezbyt przyjemna nawiasem mówiąc, z mojej wsi.

— Oh, taki — wykrzyknęła Jane. — Ale na wsi nigdy nic ciekawego się nie dzieje, prawda? Jestem pewna, że gdyby mi przyszło mieszkać na wsi, zgłupiałabym zupełnie —

dodała wzdychając.

IX

Czterech podejrzanych

Rozmowa przy stole toczyła się na temat zbrodni, które nigdy nie zostały wykryte przez policję, a zbrodniarze nie ponieśli zasłużonej kary. Każdy po kolei wyrażał swoje zdanie: pułkownik Bantry, jego o obfitych kształtach żona, aktorka Jane Helier, doktor Lloyd, a nawet panna Marple. Jedna tylko osoba milczała przysłuchując się pozostałym, choć był to człowiek najbardziej z nich wszystkich upoważniony do zajęcia stanowiska w tej sprawie. Sir Henry Clithering, były komisarz Scotland Yardu, siedział cicho, od czasu do czasu podkręcając wąsa i jakby z rozbawieniem uśmiechając się leciutko do własnych myśli.

— Sir Henry — nie wytrzymała w końcu pani Bantry. — Jeśli dalej będzie pan tak milczał, zacznę chyba krzyczeć. Niechże mi pan wreszcie powie, czy naprawdę jest aż tak wiele nie wykrytych zbrodni?

— Ma pani na myśli nagłówki w gazetach, pani Bantry. Coś w rodzaju „Scotland Yard znów bezsilny” — a pod spodem cała lista spraw, które już na zawsze pozostaną tajemnicą.

— I które w rzeczywistości stanowią znikomy procent w ogólnej liczbie przestępstw —

dodał dr Lloyd.

— Ma pan rację. Całe setki rozwiązanych zagadek kryminalnych i ukaranych przestępców pozostają nieznanym faktem dla społeczeństwa. Ale nie o tym była mowa, prawda? Często ludzie myślą dwa terminy, którymi określa się przestępstwa, bowiem

„zbrodnia nie wykryta” a „zbrodnia nie rozwiązana” to dwie zupełnie różne rzeczy. Do kategorii pierwszej zaliczamy te sprawy, które nigdy nie wyszły na jaw, Scotland Yard nic o nich nie wie. Nie wie w ogóle nikt, że takie zbrodnie zostały popełnione.

— Ale nie jest ich chyba dużo? — spytała pani Bantry.

— Tak pani sądzi?

— Sir Henry! Czy ma pan na myśli, że jest?!

— Wydaje mi się, że musi ich być całkiem sporo — powiedziała w zamyśleniu panna Marple. Stwierdzenie to z niezmaconym spokojem padło z ust starszej pani o ujmującej, staroświeckiej powierzchowności.

— Ależ droga panno Marple — zaoponował pułkownik Bantry.

— Jest oczywiście dużo głupich ludzi, którzy szybko popełniają błędy i łatwo dają się złapać. Ale dużo jest tych inteligentnych i aż strach pomyśleć, czego mogliby dokonać, gdyby nie mieli głębokich zasad moralnych.

— Ano właśnie — dorzucił sir Henry. — Jest dużo ludzi inteligentnych. Jakże często jakaś zbrodnia

wychodzi na jaw z tej prostej przyczyny, że przestępca popełnił błąd i źle zatarł po sobie ślady. Zawsze wtedy można zadać pytanie: czy zostałyby to wykryte, gdyby nie spartaczono roboty?

— Ależ to bardzo poważny problem, Clithering — zaniepokoił się pan Bantry. —

Naprawdę bardzo poważny.

— Czy tak?

— Cóż ty mówisz! Oczywiście, że tak!

— Twierdzisz, że to poważna sprawa, gdy prawo nie może ukarać za zbrodnię. Ale czy naprawdę przestępca uniknie kary? Istnieją przecież siły wyższe nad prawo. Powiedzenie, że

„nic w naturze nie ginie” można uznać na frazes. A jednak uważam, że jest w tym głęboka prawda.

— Może, może — ciągnął pułkownik. — Ale to nie zmienia faktu, że... że... — Urwał

zgubiwszy wątek.

Sir Henry uśmiechnął się do niego.

— Dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na sto jest tego samego co ty zdania. A przecież nie osoba winowajcy liczy się najbardziej. Najważniejsze to ochronić niewinnego. A tej prostej prawdy nikt nie może sobie uświadomić.

— Nie rozumiem — powiedziała Jane Helier.

— A ja tak — wtrąciła panna Marple. — Gdy pani Trent spostrzegła brak półkoronówki w portmonecie, podejrzenie skierowała na panią Arthur, która przychodziła do nich sprzątać.

Trentowie byli pewni, że to ona wzięła pieniądze. Wiedzieli jednak o jej ciężkiej sytuacji rodzinnej — pan Arthur był nałogowym pijakiem, miała kilkoro dzieci — tak więc z dobroci serca nie oskarżyli jej o kradzież, tym bardziej że suma była niewielka. Ale ich stosunek do tej kobiety uległ widocznej zmianie, nie zostawiali już domu jej opiece pod swą nieobecność itp. Pani Arthur wyczuwała ich podejrzliwość i bardzo to przeżywała, bo inni ludzie także zaczęli na nią krzywo patrzeć. A potem okazało się, że to ich opiekunka do dziecka, którą pani Trent przyłapała na gorącym uczynku widząc wszystko w lustrze, gdy ta ponowiła próbę.

Po prostu przypadek, choć ja zwykłam nazywać to Opatrznością. Ten przykład wyjaśnia chyba, co sir Henry miał na myśli mówiąc o ochronie niewinnie oskarżonych. Większość ludzi interesowałaby jedynie znalezienie winnego, a okazała się nim najmniej podejrzana osoba — zupełnie jak w powieściach kryminalnych! Pomówiono zaś o ten czym panią Arthur, która nic złego nie zrobiła. O to panu chodziło, prawda, sir Henry? — W samej rzeczy, panno Marple, trafiła pani w samo sedno. Pani Arthur z pani przykładu miała w tym wypadku szczęście. Jej niewinność została bezspornie stwierdzona. Ale zdarza się, że niektórzy ludzie niesprawiedliwie podejrzani o przestępstwo muszą żyć z tym piętnem przez długie lata, a niekiedy nawet do śmierci.

— Czy mówi pan to na podstawie jakiegoś konkretnego przypadku? — dociekała pani Bantry.

— Szczerze mówiąc, tak. Myślę o bardzo dziwnej sprawie. Wierzę, że popełniono tam morderstwo, ale nie mam szans na to, by je udowodnić.

— Trucizna pewnie! — podchwyciła Jane Helier.

— Coś, co nie zostawia śladów.

Dr Lloyd poruszył się gwałtownie, a komisarz pokręcił głową.

— Nie, droga pani. Nie była to strzała Indian z Południowej Ameryki zatruta tajemniczą i śmiertelną substancją. Chciałbym, żeby to mogło być coś takiego. Mamy do czynienia z czymś o wiele bardziej prozaicznym. Prozaicznym do tego stopnia, że straciłem już nadzieję na rozwiązanie tej zagadki. W tym wypadku starszy pan spadł ze schodów i skręcił sobie kark

— cóż, jeden z wielu tego typu przypadków, które zdarzają się niemal codziennie.

— Ale co naprawdę się stało?

— Któż to wie? — sir Henry wzruszył ramionami.

— Ktoś go pchnął z tyłu? A może cienka linka rozciągnięta w poprzek schodów, którą spiesznie po „wypadku” usunięto? Bóg jeden raczy wiedzieć.

— Osobiście jednak pan sądzi, że to nie był... hm, wypadek. Dlaczego? — zapytał doktor wyczuwając wątpliwości komisarza.

— To długa historia, ale... cóż, jesteśmy prawie pewni. Jak już powiedziałem, nie ma szans, by dowieść komukolwiek z podejrzanych popełnienie tego morderstwa, poszlaki są zbyt słabe. Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy, o którym wspomniałem na początku.

Widzicie, mamy czterech podejrzanych. Jeden jest winny, ale trzech pozostałych żyje w cieniu strasznego posądzenia o zbrodnię, a są niewinni. I tak być musi, dopóki prawda nie zostanie odkryta.

— Myślę, że mógłby pan opowiedzieć nam tę historię od samego początku —

zapropozowała pani Bantry.

— Można ją nieco skrócić, a w każdym razie sam początek — nie dał się długo prosić komisarz. — Wydarzenia te dotyczą wzorującej się na mafii tajnej niemieckiej organizacji Czarna Ręka, której działalność oparta była na terrorze i szantażu. Wszystko zaczęło się wkrótce po wojnie, wybuchło zupełnie niespodziewanie i ogromnie się rozprzestrzeniło.

Niezliczona ilość ludzi padła ofiarą poczynań terrorystów. Władzę nie były w stanie położyć temu kresu, gdyż organizacja była nadzwyczaj spójna, a jej tajemnice pilnie strzeżone. Nie było żadnej możliwości, by podstawić tam swojego człowieka, który wszedłby w ich szeregi i mógł je

rozpracować.

W Anglii istnienie Czarnej Ręki było omalże nie znane, ale w Niemczech samo wspomnienie o niej paraliżowało wszystkich. W końcu ją rozpracowano, a przyczynił się do tego jeden człowiek, dr Rosen, który pełnił w swoim czasie odpowiedzialną funkcję w aparacie kontrwywiadu. Udało mu się przeniknąć w szeregi organizacji, poznać dokładnie jej powiązania i działalność, po czym przekazał uzyskane wiadomości odpowiednim władzom.

Jemu to zawdzięczamy zniszczenie i rozgromienie Czarnej Ręki. W konsekwencji był

spalony na terenie Niemiec, w każdym razie na jakiś czas. Przyjechał więc do Anglii, a Scotland Yard otrzymał listy polecające od policji niemieckiej. Miałem okazję rozmawiać z nim osobiście. Zdawał się nie mieć najmniejszych wątpliwości, co przyniesie mu przyszłość.

Jego stwierdzenia były beznamietne, choć zdradzały i pewien niepokój, i całkowitą rezygnację.

— Dostaną mnie w końcu w swoje ręce, sir Henry — mówił. — Niech pan w to nie wątpi. — Był roslým, przystojnym mężczyzną, głos miał głęboki i tylko pewna gardłowość zdradzała jego pochodzenie. — To jest nie do uniknięcia i nawet nie martwi mnie zbytnio —

jestem przygotowany. Wiedziałem, co mnie czeka, gdy decydowałem się na to zadanie.

Zrobiłem, co do mnie należało. Po tym ciosie organizacja nie powstanie już na nowo. Ale na wolności znajduje się dostateczna liczba jej członków, by dokonać jedynej zemsty, na jaką ich jeszcze stać — zabić mnie. To tylko kwestia czasu. Jednego się tylko obawiam, że nie dadzą mi czekać i żyć w ciągłym zagrożeniu zbyt długo. Widzi pan, zbieram materiały, z zamiarem opublikowania, dotyczące pracy całego mego życia. I chciałbym, jeśli to możliwe, dokończyć je przed śmiercią.

Mówił o tym wszystkim tak po prostu, bez jakiegokolwiek emfazy, ale z jego zachowania biła wprost siła charakteru, którą można było tylko podziwiać. Obiecałem mu, że otoczmy go opieką i przedsięwzięte będą wszelkie środki ostrożności, ale machnął tylko ręką.

— Któregoś dnia, wcześniej czy później, i tak mnie dopadną — powiedział. — A kiedy to nadejdzie, proszę nie czynić sobie żadnych wyrzutów. Jestem pewny, że zrobi pan wszystko, co w pańskiej mocy, by temu zapobiec.

Potem zaczął mówić o swych planach, bardzo prostych zresztą. Chciał wynająć jakiś domek na wsi, gdzie mógłby żyć spokojnie i kończyć pisać wspomnienia. Wybór padł na wioskę w Somerset, King's Gnaton, która oddalona była o kilkanaście kilometrów od stacji kolejowej i pozostała omal nie skażona „dobrodziejstwami” wielkomiejskiego życia.

Zdecydował się na kupno małego domku, w którym przeprowadził trochę zmian, by żyć wygodnie, i osiadł tam zadowolony. Razem z nim zamieszkały cztery osoby: jego siostrzenica Greta, sekretarz, stara Niemka Gertruda, która służyła mu wiernie od prawie czterdziestu lat, i ogrodnik, mieszkaniec tamtejszej wioski.

— Czterech podejrzanych — wtrącił dr Lloyd.

— Otóż to. Czterech podejrzanych. Niewiele pozostaje już do powiedzenia. Życie w King's Gnaton biegło spokojnie przez pięć miesięcy, po czym nastąpiło uderzenie. Dr Rosen spadł ze schodów pewnego ranka i znaleziono go martwego w pół godziny potem. W

przypuszczalnym czasie „wypadku” Gertruda była w kuchni za zamkniętymi drzwiami i nic nie słyszała — przynajmniej ona tak twierdzi. Fraulein Greta sadziła w ogrodzie cebulki kwiatów — i znów to ona tak twierdzi. Ogrodnik Dobbs był w szopie, gdzie coś naprawiał —

jak zeznał, sekretarz zaś był na spacerze i nie ma na to żadnych świadków. Nikt nie ma alibi i nikt nie może potwierdzić zeznań drugiego. Nie mógł tego zrobić nikt z zewnątrz, bo obca osoba w miejscowości tak małej jak King's Gnaton zostałaby natychmiast spostrzeżona.

Drzwi frontowe i z tyłu domu były zamknięte, ale każdy z domowników miał swój klucz.

Sami więc widzicie, że podejrzane mogą być tylko cztery osoby z najbliższego otoczenia Rosena. Greta, jego najbliższa krewna. Gertruda, oddana mu sercem i duszą przez z górą czterdzieści lat. Dobbs, który nigdy nosa nawet nie wystawił poza King's Gnaton. I w końcu Charles Templeton, sekretarz...

— Właśnie, co z nim? — zapytał pułkownik Bantry. — Wydaje mi się mocno podejrzany typkiem. Co wiedzieliście o nim?

— To, co o nim wiedziałem, wykluczało go niemal zupełnie — na jakiś czas — ponuro skonstatował sir Henry. — Widzicie, Charles Templeton był moim człowiekiem!

— Oh! — pan Bantry aż cofnął się z wrażenia.

— Tak. Chciałem mieć kogoś na miejscu przy Rosenie, a przy tym nie wzbudzać policjantem sensacji w wiosce. Rosen faktycznie potrzebował sekretarza, wyznaczyłem więc Templetona. Był dobrze ułożonym młodym człowiekiem, znał niemiecki w mowie i piśmie i spełniał wszystkie wymagane warunki.

— Ale wobec tego kogo mógł pan podejrzewać z tej czwórki? — spytała pani Bantry w zupełnym zdumieniu. — To chyba niemożliwe, by ktokolwiek z nich...

— Tak by się mogło wydawać. Ale można spojrzeć na to pod innym kątem. Panna Greta była jego siostrzenicą i do tego bardzo ładną dziewczyną. Ale ostatnia wojna pokazała nam, że brat może stanąć przeciw bratu, ojciec przeciw synowi, a piękne i dobre młode dziewczyny dokonywały rzeczy, które przechodzą ludzkie wyobrażenie. To samo może tyczyć Gertrudy, nie wiadomo, co mogło ją kierować, gdyby to miała być ona. Być może jakaś poważna kłótnia ze swym panem wzniesła jej nienawiść, tym bardziej że spotkało ją rozczarowanie po tylu latach wiernej służby. Takie stare służące mogą być bardzo niebezpieczne. A Dobbs?

Czy można go pominąć w podejrzeniach tylko dlatego, że nie znał wcześniej Rosena?

Pieniędźmi można wiele zyskać. Niedobitki organizacji mogły przecież nawiązać z nim kontakt i zapłacić za zabicie Rosena.

Jedno wydaje się pewne w całej tej sprawie: jakaś wiadomość czy też rozkaz musiały nadejść z zewnątrz. W przeciwnym wypadku jak wytłumaczyć, że uderzono dopiero po pięciu miesiącach? Ludzie Czarnej Ręki nie zaprzestali na pewno myśleć o zemście. Być może czas ten był im potrzebny na bezsporne ustalenie zdrady Rosena. Ale gdy już to stwierdzili, musieli jakoś zawiadomić swego człowieka u boku doktora, przesłać polecenie, które brzmiało „zabić!”

— Jakież to okropne! — wstrząsnęła się Jane Helier.

— Pytanie tylko, jaką drogą nadszedł rozkaz? To właśnie starałem się wykryć, bo to jedyna nadzieja na rozwiązanie tej tragedii. Jeden z czterech podejrzanych musiał go otrzymać. Potem przystąpił bezzwłocznie do akcji, tego jestem pewny, bo tak właśnie działała Czarna Ręka. Zacząłem zatem badać, kto tego ranka odwiedził dom doktora Rosena.

Sprawdziłem wszystko, choć niektórym może się to wydać zbyt drobiazgowo. Oto lista tych osób, żadnej z nich nie wykluczyłem z podejrzeń.

— Wyjął z kieszeni kopertę, a z niej arkusz papieru.

1. Rzeźnik, który dostarczył tego dnia karczek barani. Sprawdzono jego alibi, wykluczone, by mógł zabić,
2. Sprzedawca ze sklepu spożywczego, przyniósł paczkę płatków kukurydzianych, dwa funty cukru, funt masła i funt kawy. Także sprawdzony, bez śladu wina,
3. Listonosz, przyniósł dwa katalogi dla panny Rosen, trzy listy dla dra Rosena (w tym jeden zagraniczny), list miejscowy dla Gertrudy i dwa listy dla pana Templetona, w tym jeden z Niemiec.

Sir Henry urwał na chwilę, a potem wyjął omówioną korespondencję z dużej koperty.

— Sami państwo obejrzyjcie. Listy dostarczyli mi ludzie, którzy pracowali ze mną nad tą sprawą. Niektóre zostały wyciągnięte z kosza na śmieci, gdzie wrzucono je po przeczytaniu.

Zostały dokładnie zbadane przez ekspertów, mowy więc nie ma o atramencie sympatycznym czy czymś podobnym.

Wszyscy zebrani zgromadzili się wokół stołu, na którym rozłożone były przesyłki pocztowe z tamtego tragicznego dnia. Wyglądały zupełnie niewinnie, ich treść nie zdradzała niczego podejrzanego.

Dla Greta Rosen przesłano katalog ogrodniczy oraz propozycje znanej londyńskiej firmy futrzarskiej. Dr Rosen otrzymał pocztą dwa rachunki za nasiona i jeden list z Londynu. Treść jego brzmiała następująco:

„Kochany doktorze Rosen!

Dr Helmut Spalh przesyła serdeczne pozdrowienia. Któregoś dnia spotkałam Edgara Jacksona.

Zarówno on, jak Amos Perry powrócili już z Tsingtau. Daję słowo Honoru, nie mogę powiedzieć, bym zazdrościła im tej eskapady. Czekam na wiadomości. Pamiętaj, co pisałam wcześniej: strzeż się pewnej osoby. Wiesz, kogo mam na myśli, choć nie zgadzasz się ze mną. Georgine”.

— Poczta pana Templetona zawierała list z rachunkiem do jego krawca i list od przyjaciela z Niemiec — ciągnął dalej komisarz. — Nie wiadomo, jaka była jego treść, bowiem Templeton podarł go po przeczytaniu. Zachował się natomiast list do Gertrudy.

„Droga pani Schwartz!

Mam nadzieję, że będzie Pani mogła wziąć udział w naszym spotkaniu w piątek po południu. Wikary obiecał przyjść, wszyscy są mile widziani. Pani przepis na szynkę jest świetny, bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że list ten zastanie panią w dobrym zdrowiu i że będziemy miały okazję porozmawiać w piątek. Pozostaję z szacunkiem — Emma Greene”.

Czytając to dr Lloyd uśmiechnął się pod wąsem, podobnie jak pani Bantry.

— Myślę, że przynajmniej ten list jest poza wszelkim podejrzeniem — stwierdził autorytatywnie.

— I ja tak sędzę — potwierdził komisarz. — Niemniej jednak i on został skrupulatnie sprawdzony. Rzeczywiście został wysłany przez panią Greene, członkinię Kółka Parafialnego. Nigdy dość ostrożności.

— To właśnie zawsze powtarza panna Marple — zauważył z uśmiechem dr Lloyd. —

Halo, panno Marple! Niechże wróci pani do nas! Gdzie błądziła pani myślami?

Starsza pani powiedziała szybko.

— Jakże jestem nierozsądna... Cały czas zastanawiałam się, dlaczego słowo „honor” z listu dra Rosena zostało napisane dużą literą?

Pani Bantry pospiesznie pochwyciła list.

— Rzeczywiście — potwierdziła, a potem wykrzyknęła nagle. — Oh!!!

— Właśnie, kochana pani. Tak myślałam, że pewnie to pani zauważy — dorzuciła panna Marple.

— Tak czy inaczej list ten jest na pewno ostrzeżeniem dla Rosena — zdecydował

pułkownik Bantry. — To od razu rzuca się w oczy. Zupełnie jawnym ostrzeżeniem — przed kim jednak?

— Jest coś dziwnego, co tyczy tego listu — kontynuował komisarz. — Otóż pan Templeton zeznał, że dr Rosen przeczytał go przy śniadaniu, po czym podał mu go mówiąc, że nie ma pojęcia, kto mógł go

przysłać.

— Podpisany był przez jakąś Georgine — stwierdziła Jane Helier.

— Niekoniecznie. Mógł to być Georgey, choć wygląda to jednak na Georgine. Ale charakter pisma wskazywałby raczej na mężczyznę.

— A wiecie, to ciekawe — rzucił pułkownik. — Dr Rosen dał ten list wszystkim do przeczytania i udał, że nie wie, o kogo chodzi. Może chciał, by ktoś zdradził się wyrazem twarzy? Ale kto — kobieta czy mężczyzna?

— A może kucharka? — zasugerowała pani Bantry. — Mogła podawać w tym czasie do stołu. Nie wiem tylko... to dziwne...

Pochyliła się znów nad listem. Panna Marple przysunęła się do niej. Palcem wskazywała coś na papierze. Szeptały między sobą.

— Dlaczego sekretarz podał list? — spytała Jane Helier zniecierpliwiona. — Tak wygląda...

No, nie wiem, ale to dziwne. I skąd u niego list z Niemiec? Przecież on jest poza podejrzeniem, jak pan powiedział...

— Ależ sir Henry nic takiego nie mówił — zaprotestowała panna Marple, szybko przerywając tajną naradę z panią Bantry. — Powiedział przecież już na samym początku —

czterech podejrzanych. Nie wykluczył więc wcale pana Templetona. Czy nie tak, sir Henry?

— Oczywiście, panno Marple. Jednej rzeczy nauczyły mnie doświadczenia mej pracy.

Nigdy nie twierdzić, że ktoś jest poza podejrzeniem. Najpierw podałem fakty dotyczące trzech osób wmieszanych w tę sprawę, co przemawia przeciw nim i dlatego, choć nie wyglądają raczej na winnych. Został jeszcze Charles Templeton, o którym bynajmniej nie zapomniałem przy prowadzeniu śledztwa. Wiem bowiem, że w każdej armii, rządzie czy policji jest możliwa zdrada i choćbyśmy nie chcieli, musimy o tym pamiętać. Tak więc i Templeton został dokładnie sprawdzony.

Mnie również przyszło na myśl to pytanie, które przed chwilą zadała panna Helier. Skąd u niego list z Niemiec? A może on sam spreparował go, przyklejając po prostu niemiecki znaczek? W rozmowie w cztery oczy zapytałem go o ten list, nie zdradzając podejrzeń. Jego wyjaśnienie było proste i oczywiste. Siostra jego matki wyszła za mąż za Niemca, a list przysłała kuzynka. I tak oto dowiedziałem się, o czym nie wiedziałem wcześniej, że Templeton miał rodzinę w Niemczech. To zadecydowało, że nie mogłem go wyeliminować z kręgu podejrzanych, mimo że bardzo lubiłem go jako człowieka i ufałem jako pracownikowi.

Fakty i poszlaki jednak najbardziej jego obciążały z całej czwórki.

W całej tej sprawie chodzi więc o to, że nie mam pewności. Po prostu nie wiem. I bardzo prawdopodobne, że nigdy nie będę wiedział. Nie to zaś jest najważniejsze, by złapać i ukarać

winnego, ale by uwolnić od strasznego podejrzenia o zbrodnię tych, którzy są niewinni.

Zwłaszcza że chodzi tu o człowieka o nieposzlakowanej do tej pory opinii, a sprawa ta może zaważyć na jego dalszej karierze w policji, choćby tylko przez sam cień podejrzenia, którego nie można jednak zlekceważyć.

Panna Marple odkaszlnęła cicho, a potem powiedziała łagodnie:

— Jeśli pana dobrze zrozumiałam, sir Henry, niepokoi się pan głównie o Templetona.

— W pewnym sensie, tak. Powinienem być może dbać o dobro wszystkich w jednakowym stopniu, ale nikt z nich nie jest tak narażony tym podejrzeniem, jak Templeton.

On może stracić najwięcej. Weźmy pod uwagę Dobbsa. Nikt z wioski nie wie, że Rosena zamordowano, więc ludzie nie zwrócą się przeciw niemu. Gertrudę dotknęłoby to bardziej, straciłaby względy panny Rosen, ale nie sądzę, by była to dla niej sprawa życia lub śmierci.

Co do Greta Rosen... cóż, tu leży sedno sprawy. Greta jest bardzo ładną panną, a Charles Templeton przystojnym młodym człowiekiem. Przez pięć miesięcy przebywali w swoim towarzystwie, z dala od innych młodych ludzi, stało się więc to, co było do przewidzenia.

Zakochali się w sobie, choć nie zdążyli sobie tego powiedzieć. A potem nastąpiła tragedia.

Jakieś trzy miesiące temu przyszła do mnie Greta. Dom sprzedała i nosiła się z zamiarem wyjazdu do Niemiec, gdyż uregulowała wszystkie sprawy po śmierci wuja. Odwiedziła mnie zupełnie prywatnie, bo byłem już na emeryturze. Kluczyła trochę wokół tematu, ale w końcu wyznała, co leżało jej na sercu. Chciała wiedzieć, co naprawdę sądzę na temat śmierci jej wuja. Myśl o liście z Niemiec, który podał Charles, nie dawała jej spokoju. Pewnie zrobił to bezwiednie, na pewno, ale... Wierzy mu, że tak było, a jednak tak chciałaby znać sprawcę tego nieszczęścia. Gdyby to wiedziała... gdyby mogła wiedzieć...

— Widzicie? Znow to samo, chęć uwierzenia w czyjąś niewinność za wszelką cenę, a pod spodem nurtujący niepokój spowodowany podejrzeniem. Rozmawiałem z nią zupełnie szczerze i ją prosiłem o to samo. Spytałem, czy ich uczucie jest poważne.

— Tak sądzę — powiedziała. — Na pewno tak. Byliśmy tacy szczęśliwi. Dzień mijał za dniem, a my czuliśmy, że się kochamy. Nie musieliśmy się spieszyć z wyznaniem, mieliśmy przed sobą całe życie. Któregoś dnia powiedziała mi, że mnie kocha, a ja jemu. Boże! Ale teraz... Sam pan rozumie, wszystko się zmieniło. To leży jak cień między nami, nawet gdy się spotykamy, słowa więzną nam w gardle. Ani on nie wie, co mówić, ani ja. I każde sobie powtarza: „gdybym tylko miał pewność!” Dlatego przyszłam do pana, bo chcę usłyszeć:

„Możesz być pewna, ktokolwiek przyczynił się do śmierci twego wuja, nie był to Charles Templeton!” Niech pan to powie! Niech pan powie, błagam!

— Do wszystkich diabłów, a ja nie mogłem jej tego powiedzieć! — wykrzyknął ze wzburzeniem sir Henry, uderzając dłonią o blat stołu. — Z czasem będą oddalać się od siebie coraz bardziej, ze

straszny podejrzeniem, co jak przepaść legło między nimi.

Sir Henry odchylił się na krzesło. Twarz miał zmęczoną, poszarzałą. W zwątpieniu pokiwał głową.

— Nic nie mogę na to poradzić, chyba że... — Tu wyprostował się i z nikłym uśmiechem nadziei spojrział w kierunku panny Marple. — Chyba, że pani zechce mi pomóc. Mam wrażenie, że ten list o Kółku Parafialnym może się pani z czymś skojarzyć, co wyjaśni całą tę zagadkę. Czy może pani zrobić coś, co przywróciłoby szczęście dwojgu młodym ludziom?

Było coś przejmującego w tej prośbie. Komisarz wyraził tym samym uznanie dla przenikliwości i detektywistycznych zdolności tej nieśmiałej, niepozornej starszej pani.

Patrzył na nią z nadzieją w oczach.

Panna Marple odkaszlnęła i wygładziła koronki.

— Trochę mi to przypomina Annie Poultny. Treść listu jest oczywiście zupełnie jasna dla pani Bantry i dla mnie. Nie mam tu na myśli listu od pani Greene do Gertrudy, ale ten drugi.

Pan nie mógł tego zauważyć, bo mieszka pan na stałe w Londynie i nie ma pan do czynienia w ogrodnictwem.

— Słucham? — zdziwił się sir Henry. — Czego nie mogłem zauważyć?

Pani Bantry wyciągnęła rękę po katalog ogrodniczy. Otworzyła go i zaczęła czytać donośnym głosem:

— Dr Helmut Spath. Bez. Wspaniały kwiat o wyjątkowo długiej i mocnej łodydze.

Bardzo dekoracyjny. Uderzająco piękny.

Edgar Jackson. Pięknie uformowany kwiat z rodziny chryzantem, w kolorze soczystej czerwieni.

Amos Perry. Kwiaty o kolorze jaskrawoczerwonym, bardzo dekoracyjne.

Tsingtau. Krzew ogrodowy o kwiatach jaskrawopomarańczowych, ścięte gałęzie długo utrzymują świeżość.

— Honor...

— Pisane z dużej litery, przypominam pani — szeptem podpowiedziała panna Marple.

— Honor. Przepiękny kwiat o białych lub różowych płatkach.

Pani Bantry z impetem zamknęła katalog i powiedziała z naciskiem.

— Zwany inaczej georginią!

— Proszę zwrócić uwagę, początkowe duże litery tworzą słowo „DEATH”* — wyjaśniła panna

Marple.

— Ależ ten list przyszedł do samego Rosena — zaproponował komisarz.

— Sprytnie pomyślane — rzekła starsza pani. — To, jak i samo ostrzeżenie w nim zawarte. Cóż pan Rosen mógł zrobić, gdy otworzył list, w którym były nie znane mu nazwiska ani nadawca? Z pewnością podał go do przeczytania swemu sekretarzowi.

— Więc jednak...

— Ależ nie! — gwałtownie zaprzeczyła panna Marple. — To nie on! Fakt, że nie zniszczył tego listu, przemawia właśnie na jego korzyść, podobnie jak to, że zniszczył list, który otrzymał z Niemiec, kierując tym samym podejrzenie na siebie. Wobec tych faktów jego niewinność — jeśli mogę się tak wyrazić — aż bije w oczy.

— Kto wobec tego...

— Jest taka osoba. Pewne, że to ona, jak to, że słońce nigdy nie zajdzie na wschodzie.

Wtedy przy śniadaniu, gdy dr Rosen otworzył ten niezrozumiały dla niego list, wzięła go do przeczytania nie wzbudzając żadnych podejrzeń. A pamiętacie, że otrzymała pocztą katalog ogrodniczy...

— Greta Rosen — wymówił z wolna komisarz.

— A więc jej wizyta u mnie...

— Mężczyzn tak łatwo można oszukać — współczująco powiedziała panna Marple. —

Mówią, że to my, stare kobiety, jesteśmy przebiegłe i podejrzliwe. I mają rację, bo lepiej znamy własną płęć. Nie wątpię, że Greta mówiła prawdę o przepaści, która ich dzieli.

Templeton instynktownie podejrzewał ją o tę zbrodnię i nie potrafił tego ukryć ani opanować odrazy. Sądzę, że przysłała do pana ze złości na niego. Sama czuła się bezpieczna, ale postanowiła zemścić się na nim skierowując pana uwagę na jego osobę. Bo przecież dopiero po jej wizycie zaczął pan podejrzewać Templetona na dobre.

— Ależ jestem pewny, że nie powiedziała nic przeciw niemu... — zaczął komisarz, ale panna Marple przerwała mu.

— Jest pan mężczyzną, a Greta młodą, ładną dziewczyną. Do tego jeszcze jej rozpacz brzmiała tak naturalnie...

— Popęłniła zbrodnię i uszła jakiegokolwiek kary. To okropne! — wyrzucał sobie

* *Death* — śmierć (ang).

komisarz.

— Oh, nie, sir Henry! Na pewno nie! — przekonywała go starsza pani. — Niech pan w to nie wierzy, tak jak ja nie wierzę. Proszę sobie przypomnieć, co pan niedawno powiedział. Los sam odbiera swoje długi. Przede wszystkim pamiętajmy, w jakim środowisku obracała się w Niemczech — wśród szantażystów i zbrodniarzy. W takim światku nie żyje się długo, na pewno i ona marnie skończyła. Poza tym, jak pan sam stwierdził, najważniejsi są ci niewinnie podejrzani. Pan Templeton, jak śmiem sądzić, ożeni się pewnie ze swą kuzynką z Niemiec.

To zaś, że podarł list od niej, wyglądało może podejrzanie, ale z innego powodu to zrobił, niż można było sądzić. Niewykluczone, że bał się, by nie przeczytała go inna dziewczyna... Bo wydaje mi się, że zapomniał na jakiś czas o swej kuzynce. Był jeszcze Dobbs, choć ma pan rację, że cała sprawa niewiele go obchodziła. Ale ta biedna stara służąca, Gertruda...

Przypomina mi bardzo Annie Poultny. Służyła wiernie pannie Lamb, a gdy ta zmarła, podejrzewano ją o machlojki z testamentem swej pani, choć nie było żadnych dowodów.

Oddała tej rodzinie pięćdziesiąt lat życia i to podejrzenie załamało ją zupełnie. Zmarła wkrótce, a niedługo potem okazało się, że testament odnaleziono w tajemnej skrytce w puszcze po herbacie, którą panna Lamb sama zrobiła, by zabezpieczyć go w ten sposób. Ale dla Annie Poultny prawda wyszła na jaw za późno.

Dlatego najbardziej martwi mnie Gertruda. Gdy jest się starym, łatwo można ulec zgorzknieniu. Żał mi jej o wiele bardziej niż pana Templetona, który jest młody i pewnie prędko zapomni o krzywdzącym podejrzeniu u boku młodej, przystojnej panny. Proszę, sir Henry, niech pan do niej napisze i zapewni, że jest wolna od jakichkolwiek podejrzeń.

Musiała bardzo przeżyć śmierć swego pana, a teraz pewnie zamartwia się, że jest podejrzana o zabicie go... To straszne! Nie mogę o tym spokojnie myśleć!

— Napiszę, przyrzekam pani — rzekł z powagą sir Henry. Potem spojrzął na pannę Marple z zadziwieniem. — Wie pani, zastanawiam się, czy kiedykolwiek uda mi się odgadnąć tok pani rozumowania. Rozwiązuje pani wszystkie sprawy w sposób, który mnie zawsze zaskakuje.

— Obawiam się, że niewiele potrafię — odparła panna Marple skromnie. — Prawie nie ruszam się z St. Mary Mead.

— A jednak wyjaśniła pani zbrodnię na skalę międzynarodową niemal — stwierdził sir Henry. — Bo przecież to pani rozwiązała zagadkę śmierci Rosena, nie da się zaprzeczyć.

Panna Marple zarumieniła się z lekka, po czym dodała wyjaśniająco.

— Wydaje mi się, że jak na tamte czasy otrzymałam nie najgorsze wykształcenie. Obie z siostrą miałyśmy niemiecką guwernantkę. Była bardzo sentymentalna. To ona nauczyła nas języka kwiatów, a sztuka ta, choć tak wdzięczna, jest dziś zupełnie zapomniana. Na przykład żółty tulipan oznacza nieodwzajemnioną miłość, a chiński aster zazdrość pożerającą serce.

Ten list do Rosena podpisany był Georgine, a o ile dobrze pamiętam, jest to dalia po niemiecku. I to właśnie naprowadziło mnie na właściwy trop. Chciałabym przypomnieć sobie, co dalia oznacza w języku kwiatów, ale cóż, uciekło mi to z pamięci. Zawodzi mnie ona coraz częściej, niestety...

— W każdym razie nie znaczy „śmierć”.

— Na pewno nie. To straszne, co spotkało doktora Rosena. Na świecie dzieje się tyle okropności...

— Taak... — potwierdziła wzdychając pani Bantry.

— Całe szczęście, że istnieją choć kwiaty i przyjaciele.

— Zwróćcie państwo uwagę, że wymienieni zostaliśmy jako ostatni — zażartował dr Lloyd.

— A mnie ktoś co wieczór przysyła szkarłatne orchidee do teatru... — z rozmarzeniem w głosie powie działa Jane Helier.

— To oznacza: „dopraszam się o pani względy” — szybko wyjaśniła panna Marple.

Sir Henry zaczął dziwnie kaszleć i ukrył twarz odwracając głowę.

— Już wiem! — wykrzyknęła z nagłą panna Marple.

— Dalie tłumaczyłyśmy — zdrada i oszustwo.

— Zdumiewające! Po prostu zdumiewające — orzekł sir Henry, po czym głęboko westchnął.

Tragedia w Boże Narodzenie

— Składam protest — powiedział sir Henry i powiódł wzrokiem po zebranych mrugając z lekka oczami.

Pułkownik Bantry siedział wygodnie rozparty w fotelu przy kominku, z wyciągniętymi nogami i z zasepioną miną oficera, który dostrzegł niedbalstwo w kroku defiladowym swych żołnierzy. Pani Bantry ukradkiem przeglądała katalog sadzonek, który nadszedł

popołudniową pocztą, dr Lloyd z niekłamaną admiracją wpatrywał się w Jane Helier, a urocza aktorka pochłonięta była oglądaniem swych paznokci pociągniętych różowym lakierem.

Jedynie starsza pani, panna Marple, wyprostowana jak struna na krześle, spojrzała z uwagą na komisarza swymi bladoniebieskimi oczami i odpowiedziała na jego żartobliwe oświadczenie.

— Protest?

— Tak i to najzupełniej słuszny. Protestuję w imieniu przedstawicieli mojej płci.

Wysłuchaliśmy dziś wieczorem trzech historii i zostały one opowiedziane przez mężczyzn!

Oskarżam więc panie, że nie wywiązują się ze wspólnego zadania, bo żadna z nich dotychczas nie wzięła czynnego udziału...

— Oh, jak może pan tak mówić — przerwała z oburzeniem w głosie pani Bantry. —

Przecież słuchałyśmy z największą uwagą i za każdym razem wypowiadałyśmy swoje zdanie.

A poza tym jesteśmy kobietami, więc oddałyśmy pierwszeństwo płci męskiej i z własnej woli usunęłyśmy się na drugi plan.

— Świetny wybieg, ale tym razem na nic się nie zda — odparował sir Henry. — Przecież w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* kobieta właśnie bawi wszystkich swym opowiadaniem!

Zaczynaj więc, Szeherezado.

— To znaczy ja? — zdumiała się pani Bantry. — Ależ ja nie znam żadnych zagadek ani tajemniczych spraw kryminalnych.

— Nie upieraj się bynajmniej przy sprawie kryminalnej! — nie dawał się zbić z tropu komisarz. — Jestem jednak pewien, że każda z pań ma w zanadrzu jakąś małą tajemnicę.

Panno Marple, śmiało! Życie w St. Mary Mead z pewnością dostarczy jakiejś zagadki —

może niewinnie posądzona służąca lub tajemnicze wydarzenia na zebraniach towarzystwa opieki nad

matkami...

Starsza pani potrząsnęła z powątpiewaniem głową.

— Nie sędzę, by takie sprawy mogły pana zainteresować, sir Henry. Pewnie, że zdarzają się często zagadkowe wypadki, jak z paczkowanymi krewetkami na przykład, które zniknęły w niepojęty sposób, ale zostało to prędko wyjaśnione. Tajemnicze ich zniknięcie okazało się tak pospolite, że na pewno nie zainteresowałoby nikogo w takim stopniu, jak poprzednie historie, choć i ten wypadek rzucił pewne światło na ludzką naturę.

— Oh, nauczyłem się od pani, jak bardzo należy ją kochać... — z ponurą kpina rzucił komisarz.

— A może pani coś opowie, panno Helier — zwrócił się pułkownik Bantry do młodej aktorki. — Z pewnością miała pani sporo interesujących doświadczeń.

— Na pewno — z przekonaniem dodał dr Lloyd.

— Ja?? — zdziwiła się Jane. — To znaczy... ja miałabym opowiedzieć o czymś, co mi się przydarzyło?

— Lub komuś z pani przyjaciół — poddał komisarz.

— Oh! Wątpię, czy kiedykolwiek coś takiego mi się przytrafiło, to znaczy coś zagadkowego — powiedziała Jane z wahaniem. — Kwiaty, liściki owszem, ale to po prostu od mężczyzn, prawda? Nie wiem... — zawiesiła głos jakby coś sobie przypominając i zamyśliła się głęboko.

— Cóż widzę, że jednak usłyszemy o tych krewetkach — zdecydował sir Henry. —

Proszę zaczynać, panno Marple.

— Żartuje pan jak zwykle, sir Henry. Krewetki to przecież zupełny drobiazg, ale przypomniła mi się inna historia, a właściwie coś o wiele poważniejszego, bo można to nazwać tragedią. W pewnym sensie byłam w to zamieszana i za to, co zrobiłam, nie gnębiły mnie nigdy wyrzuty sumienia. W ogóle żadne. Ale to nie wydarzyło się w St. Mary Mead.

— Cóż za rozczarowanie — zażartował sir Henry. — Zniosę to jakoś jednak. Od razu wiedziałem, że nie na próżno mogę na panią liczyć.

Usadowił się wygodniej, by nic nie przeszkadzało mu w słuchaniu. Panna Marple zarumieniła się lekko.

— Mam nadzieję, że uda mi się to wszystko składnie opowiedzieć — zaczęła niespokojnie. — Boję się, że z czasem robię się coraz bardziej nudna. Człowiek zbacza z tematu nie zdając sobie nawet z tego sprawy. A poza tym tak trudno zebrać wszystkie fakty i podać je w uporządkowany sposób. Musicie mi państwo wybaczyć, jeśli coś poplączę w opowiadaniu. To wydarzyło się bardzo dawno

temu.

Jak już wspomniałam, historia ta nie jest związana z St. Mary Mead. Konkretnie miejscem tych zdarzeń był zakład wodoleczniczy...

— To znaczy morskie uzdrowisko? — zdziwiła się Jane szeroko otwierając oczy.

— Nie możesz go znać, kochanie — wyjaśniając powiedziała pani Bantry, a jej mąż wtrącił z nietajoną pasją:

— Wstrętne miejsce! Po prostu obrzydliwe! Kazał ci wstawać wcześniej rano i pić tę okropną wodę! I te stada starych bab siedzących dosłownie wszędzie. A ta ich złośliwa paplanina! Boże, gdy tylko wspomnę...

— Ależ Arthurze — próbowała uspokoić wzburzonego męża pani Bantry. — Przecież pobyt tam tak dobrze ci zrobił.

— Te staruchy nie zostawiły na nikim suchej nitki — grzmiał dalej pułkownik.

— Niestety ma pan zupełną rację — poparła go panna Marple. — Ja sama...

— Droga panno Marple! Ani przez chwilę nie miałem na myśli... — wykrzyknął

zmieszany i poruszony swym nietaktem pułkownik.

Starsza pani powstrzymała go ruchem ręki, a policzki jej oblał silny rumieniec.

— To szczerą prawdą, pułkowniku Bantry. Powinnam była powiedzieć o tym na samym początku. Niech zbiorę myśli. Tak, plotkowały rzeczywiście co niemiara. Ludzie, zwłaszcza młodzi, bardzo się tym gorszą. Na przykład mój siostrzeniec, który pisze książki — i to chyba niezłe książki — zawsze twierdzi, że to po prostu niemoralne, gdy mówi się źle o ludziach nie znając ich dobrze. Ale ja uważam, że młodzi biorą rzeczy bardzo powierzchownie. Nie zwracają należytej uwagi na fakty. A tymczasem powiedzenie „w każdej plotce jest coś z prawdy” ma swoje uzasadnienie. Gdyby zastanowili się nad tym czasem, doszliby wkrótce do wniosku, że sprawdza się to w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto. Dlatego właśnie plotki tak bardzo irytują ludzi.

— Oho, intuicja a zbrodnia — mruknął pod nosem komisarz.

— Wcale nie! Do wszystkiego dochodzi się poprzez doświadczenie i obserwacje życia.

Słyszałam swego czasu, że egiptolodzy kierując się wycuciem potrafią na oko rozpoznać, czy rzadki owad jest autentycznym okazem sprzed wieków, czy tylko imitacją zrobioną współcześnie w Birmingham. Nie zawsze potrafią to naukowo udowodnić, po prostu wiedzą, bo całe życie zajmowali się tym. Podaje ten przykład, by wyjaśnić, co mam na myśli, choć pewnie znowu mówię niezbyt jasno. Te „nieznośne plotkary”, jak nazywa je mój siostrzeniec, mają mnóstwo wolnego czasu i nie przepuszczą żadnej sprawie, która dotyczy innych ludzi.

Ale sądzę, że śmiało można je nazwać również znawczyniami tematu. Dzisiejsza młodzież rozmawia zupełnie swobodnie na tematy, które były tabu w czasach mej młodości, a przecież ich znajomość życia jest ogromnie ograniczona. Są bardzo łatwowierni, w gruncie rzeczy wierzą wszystkim i we wszystko, co im się powie. A gdy chce się ich przestrzec, nawet w najogłędniejszy sposób, od razu obruszają się i nazywają cię wiktoriańskim przeżytkiem, który wylewa z siebie słowa niczym nieszczęlny kran wodę.

— Wszystko dobrze, ale co można chcieć od kranu? — zdawał się nie rozumieć sir Henry.

— Ano właśnie! — odparła z mocą panna Marple. — Toż to najbardziej pożyteczne urządzenie w domu, choć rzeczywiście mało efektowne. Jak każdy człowiek i ja mam swoje przecucia, choć często są wyśmiewane przez ludzi, którzy ranią mnie nieprzemyślanymi uwagami. Wiem, że mężczyźni nie bardzo interesują się domowymi sprawami, ale muszę tu wspomnieć o mojej służącej Ethel. To miła dziewczyna i wzbudzająca na pierwszy rzut oka zaufanie, a jednak gdy tylko ją zobaczyłam, coś mnie tknęło, bo przypominała mi bardzo Annie Webb i służącą pani Bruitt. Wiedziałam, że gdy nawinie się okazja, prędko zapomni o zasadzie „moje-twoje”. Miesiąc temu zwolniłam ją i dałam jej godziwe referencje, ale prywatnie ostrzegłam panią Edwards, że niezbyt można jej ufać. Raymond, mój siostrzeniec, rozgniewał się na mnie okropnie i powiedział, że nigdy dotąd nie spotkał się z podobną niegodziwością. I cóż państwo powiecie? Przyjęła ją na służbę pani Ashton, której nie znałam osobiście i nie ostrzegłam przed tą małą. A ona zniknęła pewnej nocy wraz z biżuterią pani Ashton i ślad po niej zaginął!

Panna Marple urwała na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, po czym ciągnęła dalej.

— Możecie państwo uznać, że ta historia niewiele ma wspólnego z wypadkami w uzdrowisku Keston Spa, ale tylko na pozór. Wyjaśnia bowiem, dlaczego nie miałam żadnych wątpliwości, że Sanders chce zabić swoją żonę, gdy tylko ujrzałam ich razem.

— Co takiego? — nie dowierzał swym uszom sir Henry.

— Ano tak, byłam tego absolutnie pewna — rzekła panna Marple zwracając się w stronę komisarza. — Pan Sanders był postawnym, przystojnym mężczyzną, a jego twarz, zawsze uśmiechnięta, zjednywała mu przyjaciół niemal natychmiast. Nikt nie był bardziej czuły i troskliwy dla żony niż on. Ale ja wiedziałam! Chciał ją zabić.

— Ależ droga panno Marple.

— Wiem, wiem. To samo powiedziałby mój siostrzeniec: „nie masz przecież żadnego powodu tak sądzić”. Ja pamiętam jednak doskonale przypadek Waltera Honesa, który szedł z żoną na spacer, a ona wpadła do rzeki i utopiła się. Kto podjął ubezpieczenie na życie po jej śmierci? Mąż! To nie jedyny wypadek tego typu, jaki znam, a winowajcy chodzą nadal bezkarnie po ziemi. A to, co wydarzyło się w Szwajcarii? Ostrzegałam tę kobietę, by nie jechała tam z mężem, a w każdym razie żeby unikała górskich wycieczek. Rozgniewała się na mnie, a potem wyśmiała, że taka starucha jak ja może mówić podobne bzdury o jej Harrym...

No i zdarzył się śmiertelny wypadek, a „jej” Harry zażywa szczęścia z inną kobietą. Ale cóż więcej

mogłam zrobić? Wiedziałam, że tak będzie, choć nie miałam na to dowodu.

— Oh! Panno Marple! Nie sądzi pani chyba... — wyjąkała pani Bantry.

— Droga pani, takie rzeczy są naprawdę na porządku dziennym. I to mężczyźni częściej ulegają pokusie, by załatwić swoje sprawy za pomocą tzw. wypadków. Są silniejsi od nas fizycznie, jest więc im łatwiej. Tak samo było z Sandersami. Pierwszy raz próbował ją zabić w autobusie. Był przepełniony, musiałam więc wejść na piętro. Jechaliśmy tam wszyscy troje, aż nagle Sanders stracił równowagę i zatoczył się wprost na żonę, która spadła po stromych, żelaznych schodach. Na szczęście zdołał ją pochwycić konduktor, młody silny mężczyzna, gdyż z całą pewnością byłaby się zabiła.

— To chyba naprawdę był nieszczęśliwy wypadek.

— Ha, na pewno tak to miało wyglądać. Tylko że sam Sanders mówił mi pewnego razu, że służył w marynarce, a marynarz przyzwyczajony do silnego niekiedy kołysania statku nie traci nagle równowagi w autobusie. Zwłaszcza, gdy taka stara kobieta jak ja zdołała utrzymać się na nogach. Tego mi nikt nie wmówi!

— W każdym razie możemy przyjąć, że wtedy uzyskała pani pewność co do jego niecznych zamiarów — zdecydował komisarz.

Starsza pani skinęła potakująco głową.

— Moje słuszne podejrzenia potwierdził następny „wypadek”, tym razem podczas przechodzenia przez ulicę. Niech mi pan jednak powie, sir Henry, co mogłam zrobić? Na moich oczach usiłowano zamordować nieświadomą niebezpieczeństwa istotę, która na domiar złego zdawała się bardzo kochać swego męża, potencjalnego zabójcę!

— Kochana pani, to wprost nie do wiary — przyznał komisarz.

— Pan także, jak wielu ludzi w dzisiejszych czasach, boi się spojrzeć faktom prosto w oczy. Woli pan myśleć, że takie rzeczy są nie do pojęcia. Ale rzeczywistości nie można zmienić i nic na to się nie poradzi. Czułam się jak pochwycona w sidła. Nie mogłam pójść na policję, bo i z czym? Z przecuciami? Nie było też sensu ostrzegać tej kobiety, bo była wprost ślepo zapatrzona w swego męża. Jedyne wyjściem było dowiedzieć się o nich możliwie jak najwięcej. Wieczory przy kominku i robocie na drutach stwarzały ku temu świetne okazje.

Pani Sanders (miała na imię Gladys) wyszła za mąż chyba niedawno, bo bardzo chętnie opowiadała o sobie i mężu. Miał jakieś posiadłości i utrzymywali się z odsetek. Wiodło im się całkiem nieźle, choć ostatnio borykali się z trudnościami finansowymi. Żaliła się również, że nie ma dostępu do pieniędzy z kapitału męża. Wyglądało na to, że ktoś mądrze wszystko to sobie ułożył! Poza tym zaraz po ślubie ubezpieczyli się wzajemnie na życie. Wzruszające! Te trudności z pieniędzmi były tymczasowe, wierzyła, że jej mąż wyjdzie w końcu z kłopotów.

Tymczasem nie mogli sobie pozwolić na zbędne wydatki, dlatego wynajęli pokój na najwyższym

piętrze, gdzie mieszkała służba. Nie było tam zbyt wygodnie, łatwo można było spowodować pożar, dobrze choć, że tuż za oknem biegły schody przeciwpożarowe.

Delikatnie zapytałam, czy mają balkon w pokoju. To stwarzało dla niej niebezpieczeństwo.

Sami wiecie — wystarczy jedno pchnięcie...

Balkon był, a ja wymogłam na niej obietnicę, że nigdy na niego nie wyjdzie.

Powiedziałam, że miałam proroczy sen, wywarło to na niej odpowiednie wrażenie. Czasem wiele można zdziałać posługując się przesadami. Była miłą kobietą o bladej cerze i niesfornych włosach, upiętych w węzeł na karku, a jej wypowiedzi zdradzały, że była bardzo łatwowierna. W swej naiwności powtórzyła naszą rozmowę mężowi, a ja przechwyciłam raz czy dwa jego spojrzenie, jakim mnie obrzucił. On nie był naiwny, widziałam to po wyrazie jego oczu, a poza tym wiedział, że byłam świadkiem tego „wypadku” w autobusie.

Martwiłam się tym bardzo, ogromnie się martwiłam, bo zupełnie nie wiedziałam, jak powstrzymać go od zbrodniczych zamiarów ani jak zapobiec dalszym tego typu

„wypadkom”. Mogłam ustrzec tę kobietę przed śmiercią w uzdrowisku, jeśli dałabym mu do zrozumienia, że go podejrzewam. Ale wskórałabym tylko tyle, że odłożyłby swój plan zbrodni na później. Nie, coraz bardziej nabierałam przekonania, że jedynym wyjściem to śmiałe schwytnie go na gorącym uczynku, gdy będzie szykował się do morderstwa. Gdyby udało mi się stworzyć dogodną dla jego planów sytuację i przyłapać go, wtedy wpadłby w zastawioną pułapkę, a ona musiałaby spojrzeć prawdzie w oczy, mimo że na pewno przeżyłaby ogromny wstrząs.

— Dech mi wprost zapiera — wyrzucił z siebie dr Lloyd. — Cóż mogła pani wymyślić?

— Coś by się znalazło — odparła niewzruszenie panna Marple. — Ale on mnie przechytrzył. Uderzył niemal natychmiast. Wiedział, że go podejrzewam, więc nie czekał, aż zyskam na czasie. Wiedział też, że nie może już liczyć na „wypadek”. Sprawił więc, że było to morderstwo.

Wśród zebranych w saloniku pani Bantry rozległ się szmer grozy. Panna Marple pokiwała głową, a jej usta zacisnęły się surowo.

— Obawiam się, że powiedziałam o tym zbyt raptownie. Postaram się podać więcej szczegółów. Myśl, że to się jednak stało, wciąż mnie gnębi. Ciągłe wydaje mi się, że można było jakoś temu zapobiec. Ale Opatrzność wie lepiej, co robi. Musiałam się więc poddać, choć naprawdę zrobiłam wszystko, co w mej mocy.

Niedługo przed śmiercią pani Sanders wszyscy z nas czuli, że nieszczęście wisi w powietrzu. To było nienamagalne, a jednak ciążyło jak ołów. Zapowiedź tragedii. Zaczęło się od George’a, chłopca hotelowego. Pracował tam od czterech lat i znał wszystkich stałych gości. Dostał zapalenia oskrzeli, potem wywiązało się zapalenie płuc i po czterech dniach już nie żył. Straszne! To był cios dla wszystkich. I to na cztery dni przed Bożym Narodzeniem.

Potem pokojówka, bardzo miła dziewczyna, skaleczyła się w palec. Przyszło zakażenie i zmarła w

dwadzieścia cztery godziny później.

Pamiętam, że siedziałam w bawialni razem z panną Trollope i panią Carpenter, którą jak złą wróżkę bawiło przepowiadanie okropności. Wiecie, jak to jest.

— Zapamiętajcie moje słowa. — rzekła. — To jeszcze nie koniec. Znacie to powiedzenie

„do trzech razy sztuka”. Wiele razy mi się to sprawdziło. Umrze ktoś jeszcze, jestem tego pewna. I to już niedługo. „Do trzech razy sztuka”.

Gdy tak mówiła kiwając głową i pobrzękując drutami, spojrzałam w kierunku drzwi. Stał

tam Sanders i patrzył na panią Carpenter. Nie panował nad twarzą, a ja przechwyciłam wyraz jego oczu. Aż do ostatniego dnia życia będę wierzyć, że złowróżbne słowa, jakie padły w tym pokoju, nasunęły mu pomysł zbrodni. Widziałam prawie, że jego umysł zaczął gorączkowo pracować. Po chwili wszedł do pokoju i przyłączył się do nas obdarzając swym czarującym uśmiechem.

— Czy kupić coś dla pań w Keston? — zapytał. — Wybieram się tam właśnie.

Postał przy nas przez chwilę bawiąc rozmową i śmiejąc się beztrosko, po czym wyszedł.

Jak już mówiłam, myśl o pani Sanders nie dawała mi spokoju, zapytałam więc wprost:

— Gdzie jest pani Sanders? Czy widział ją ktoś z państwa?

Pani Trollope odparła, że wybrała się do znajomych na brydża, więc uspokoiłam się nieco. Około pół godziny później poszłam na górę do swego pokoju. Po drodze spotkałam na schodach dra Colesa i poradziłam się go w sprawie reumatyzmu, który trochę mi dokuczał.

Weszliśmy do mojego pokoju i doktor w zaufaniu powiedział mi o śmierci pokojówki.

Dyrektor hotelu trzymał to w tajemnicy przed gośćmi, prosił więc i mnie o dyskrecję.

Oczywiście nie powiedziałam mu, że jest to już tajemnicą publiczną i że rozmawiałyśmy na ten właśnie temat przez ostatnią godzinę. Takie wydarzenia rozchodzą się natychmiast i on powinien o tym wiedzieć, ale doktor Coles był bardzo prostodusznym człowiekiem wierzącym we wszystko bez zastrzeżeń. Dlatego to, co powiedział na końcu, po prostu mnie zelektryzowało. Oznajmił bowiem, że musi zajrzeć do pani Sanders, gdyż jej mąż prosił go o to przed wyjściem. Wydawało mu się, że coś jej dolega, może niestrawność. A przecież tego samego dnia Gladys Sanders powiedziała mi, że z jednym przynajmniej nie ma kłopotu — ma po prostu wspaniałe trawienie!

Nie dziwcie się, że moje podejrzenia wróciły znowu z całą mocą. Szykował coś — ale co? Doktor Coles wyszedł ode mnie tak nagle, że nie zdążyłam się zdecydować, czy powiedzieć mu o tym, czy nie. Zresztą gdybym nawet podzieliła się moimi spostrzeżeniami, czy uwierzyłyby?

Wyszłam z pokoju i prawie natychmiast spotkałam Sandersa. Schodził na dół. Ubrany był

do wyjścia i ponownie zapytał mnie, czy nie potrzebuję czegoś z miasta. Staralam się z całych sił, by zachować się uprzejmie w stosunku do tego człowieka! Weszłam do saloniku i zamówiłam herbatę. Było pół do szóstej, jak zauważyłam.

Muszę teraz zebrać myśli, by powiedzieć dokładnie, co było potem. Za piętnaście siódma siedziałam jeszcze na dole, gdy wszedł Sanders w towarzystwie dwóch mężczyzn. Wszyscy zdawali się pod dobrą datą. Zostawił ich i podszedł do mnie i panny Trollope. Wyjaśnił, że chciałby się nas poradzić w pewnej sprawie. Kupił właśnie wieczorową torebkę dla żony i chciał uzyskać od nas potwierdzenie, że to odpowiedni prezent na Gwiazdkę.

— Widzicie panie, jestem niezbyt obeznany, jeśli idzie o kobiece drobiazgi. Wiele lat spędziłem na morzu, cóż więc mogę o tym wiedzieć? Będę bardzo paniom wdzięczny, jeśli zechcecie rzucić okiem na tę torebkę, czy będzie dobra.

Przystaliśmy na to z ochotą i poszliśmy za nim na górę do ich pokoju, gdyż nie chciał

znosić jej na dół w obawie, że lada moment może wrócić jego żona. Do końca życia nie zapomnę chwili, gdy Sanders otworzył drzwi i wprowadził nas do sypialni. Zapalił światło i naszym oczom ukazał się przerażający widok. Pani Sanders leżała twarzą zwróconą do podłogi — martwa!

Podbiegłam pierwsza. Uklękałam przy niej i wzięłam za rękę, by zbadać puls. Było za późno na jakikolwiek ratunek, ręka była zimna jak lód i zupełnie sztywna. Tuż przy głowie spostrzegłam woreczek napęczniony piaskiem, narzędzie zbrodni.

Panna Trollope zaczęła niemądrze zawodzić i jęczeć trzymając się oburącz za głowę.

Sanders krzyknął — „Moja żona” — i rzucił się w jej kierunku, ale powstrzymałam go zasłaniając sobą ciało. Byłam pewna, że to jego sprawka, nie chciałam więc dopuścić, by podchodził blisko. Może chciał schować lub wziąć jakiś drobiazg, który mógłby naprowadzić na jego ślad.

— Nie wolno nic ruszać — powiedziałam. — Panie Sanders, niech się pan postara uspokoić, a pani może zejdzie na dół i sprowadzi kierownika — skierowałam się do pani Trollope.

Zostałam w pokoju klęcząc przy ciele pani Sanders. Ani mi w głowie było zostawić Sandersa samego. Muszę jednak przyznać, że jeśli udawał rozpacz po śmierci żony, robił to po prostu wspaniale. Stał jak rażony gromem, jakby ogłuszony niedowierzaniem i przerażeniem.

Kierownik przybiegł natychmiast. Przeglądnięty pokój, po czym poprosił nas o wyjście i zamknął pokój zabierając klucz ze sobą. Zszedł na dół i wezwał policję. Zdawało się, że upłynęły wieki, zanim przyjechała ekipa dochodzeniowa. Trwało to tak długo, gdyż ktoś uszkodził linię telefoniczną, jak dowiedzieliśmy się potem. Kierownik nie mogąc się dodzwonić wysłał posłańca na posterunek, a z zakładu jest kawałek drogi do miasta przez wrzosowiska. Tymczasem pani Carpenter dała się nieźle we znaki, była ogromnie zadowolona, że jej proroctwo „do trzech razy sztuka” sprawdziło się tak szybko. Sanders wyszedł przed dom, gdzie chodził trzymając się za głowę, jęcząc i okazując swą rozpacz na wszelkie możliwe sposoby.

Wreszcie przyjechała policja. Poszli na górę wraz z kierownikiem i Sandersem. Później przysłano po mnie. Gdy weszłam do pokoju, inspektor siedział przy stole i coś pisał.

Wyglądał na inteligentnego człowieka i spodobał mi się do razu.

— Panna Jane Marple? — zapytał.

— Tak.

— Dowiedziałem się, że była pani obecna w chwili, gdy odnaleziono ciało zmarłej.

Opowiedziałam mu dokładnie wszystko, czego byłam świadkiem. Odniosłam wrażenie, jakby inspektor odetchnął z ulgą, że znalazł się wreszcie ktoś, kto na zadane pytania odpowiadał zwięźle i rzeczowo. Wyobrażałam sobie, co musiał przejść przy zeznaniach Sandersa i gadatliwej panny Trollope, która pewnie nie mogąc zebrać myśli w logiczną całość zalała go potokiem słów. Moja matka zawsze mi powtarzała, że szanująca się kobieta nie powinna okazywać emocji publicznie — od tego jest dom.

— Stare dobre czasy — mruknął pod nosem sir Henry.

— Gdy skończyłam, inspektor podziękował mi i polecił spojrzeć jeszcze raz na ciało, by sprawdzić, czy leży w tej samej pozycji jak w chwili, gdy weszliśmy do pokoju pierwszy raz.

Chciał się upewnić, czy nikt go nie ruszał. Wyjaśniłam, że powstrzymałam od tego Sandersa.

Inspektor skinął głową z aprobatą.

— Zdaje się, że bardzo przeżył śmierć żony — zauważył.

— Tak, chyba tak — odparłam.

Inspektor spojrział na mnie badawczo, choć starałam się jak mogłam, by wypadło to zupełnie naturalnie, bez żadnego nacisku na „chyba”.

— Możemy więc przyjąć, że zastaliśmy sytuację dokładnie tak, jak pani po wejściu tutaj za pierwszym razem? — raczej stwierdził, niż zapytał.

— Tak, z wyjątkiem kapelusza.

— Co pani ma na myśli? — spytał gwałtownie.

Wyjaśniłam mu, że poprzednio kapelusz leżał na głowie nieszczęsnej pani Sanders, podczas gdy teraz spoczywał obok ciała. Sądziłam, że podczas oględzin któryś z policjantów odłożył go na bok, ale inspektor zaprzeczył. Nic do tej pory nie zostało ruszone, ani nawet dotknięte. Stał obok mnie i spoglądał na nieruchomą postać marszcząc w zamyśleniu czoło.

Gladys Sanders ubrana była w płaszcz koloru czerwonego wina z szarym futrzanym kołnierzem.

Czerwony pilśniowy kapelusz, rzecz raczej niedroga, leżał tuż przy głowie na podłodze.

Inspektor przyglądał się przez chwilę, a jego zmarszczone czoło zdradzało, że myśli nad czymś intensywnie.

— Przypomina pani sobie, czy nie zauważyła kolczyków w uszach ofiary? A może nosiła je za życia od czasu do czasu? — zapytał w końcu.

Całe szczęście, że mam zwyczaj obserwować wszystko dokładnie. Pamiętałam doskonale, że dostrzegłam błysk drobnych pereł pod rondem kapelusza, choć nie przyglądałam się temu specjalnie w tamtej tragicznej chwili. Byłam jednak na tyle pewna, że na pytanie inspektora odpowiedziałam twierdząco.

— To przesądza sprawę. Kasetka z biżuterią, aczkolwiek niezbyt wartościową jak mi się wydaje, zniknęła. Ściągnięto również pierścionki z palców ofiary. Zabójca zapomniał o kolczykach, wrócił po nie zapewne, choć morderstwo zostało już odkryte. Stalowe nerwy ma ten osobnik! A może... — Urwał rozglądając się wokół. — Może był tu przez cały czas.

Rozwiałam to przypuszczenie mówiąc, że sama zaglądnęłam pod łóżko, a wezwany kierownik sprawdził również, czy nie ma nikogo w szafie. Poza tym nie było tu żadnej możliwej kryjówki. Wprawdzie półka na kapelusze była zamknięta na klucz, ale jest taka mała, że nie pomieściłaby człowieka.

Inspektor kiwał w skupieniu głową w trakcie moich wyjaśnień.

— Biorę pani słowa za pewnik — stwierdził. — Wobec tego musiało być tak, jak powiedziałem. Wrócił tu po morderstwie. Cóż za brawura!

— Ale kierownik zamknął drzwi na klucz i wziął go ze sobą!

— To nic. Dostał się tutaj schodami przeciwpożarowymi i przez balkon. Został

spłoszony, gdy państwo weszliście do pokoju. Uciekł przez balkon, a gdy wszyscy opuściliście pokój, wszedł z powrotem, by dokończyć „robotę”.

— Pan jest pewny, że zabił ją złodziej?

— Na to wygląda, prawda? — odparł inspektor, ale jakaś nutka w jego głosie zdradziła, że ta wersja niezbyt go przekonuje. Czułam, że nie dowierza Sandersowi w roli zrozpaczonego wdowca, i to mnie pocieszało.

Muszę się przyznać, że w sprawie Sandersa miałam *idée fixe*, jak mawiają nasi sąsiedzi po drugiej stronie Kanału. Wiedziałam, że próbował wysłać żonę na drugi świat i mojej opinii o nim, nic nie mogło zmienić. To był po prostu łajdak! Chociaż jego „rozpacź” była tak świetnie odgrywana, nie dałam się zwieść pozorom. Po rozmowie z inspektorem ogarnęły mnie jednak wątpliwości. Ani rusz nie mogłam sobie wyobrazić, by Sanders ryzykował tak wiele wracając po kolczyki. Nie widziałam w tym żadnego sensu, a przecież to był

inteligentny, logicznie myślący człowiek. Dlatego właśnie był tak niebezpieczny.

Panna Marple przerwała na moment i powiodła wzrokiem po zebranych.

— Pewnie widzicie już, do czego zmierzam. Tak często zdarza się to, co najmniej prawdopodobne. Byłam pewna i to mnie zaślepiło. Zaskoczyło mnie zupełnie, zostało bowiem ustalone bez żadnej wątpliwości, że Sanders miał niepodważalne alibi na czas zbrodni...

Pani Bantry nie zdołała powstrzymać się od okrzyku rozczarowania. Panna Marple zwróciła się w jej kierunku.

— Wiem, droga pani, że nie tego pani oczekiwała, gdy zaczynałam opowiadać. Ja także nie, proszę mi wierzyć. Ale fakty są faktami i musi się je respektować, nawet jeśli trzeba zaczynać wszystko od początku. W głębi serca czułam, że zabójcą jest Sanders, i nic nie było w stanie zachwiać mojego przeczucia.

Myślę, że zechcecie państwo teraz usłyszeć, jak przedstawiały się owe fakty. Jak już wiecie, pani Sanders spędziła popołudnie ze znajomymi grając w brydża. Wyszła od Mortimerów około kwadrans po szóstej. Droga do zakładu mogła jej zająć z piętnaście minut lub nieco mniej, gdyby szła powoli. Wobec tego musiała wrócić mniej więcej o wpół do siódmej. Nikt jej nie zauważył, weszła więc pewnie bocznym wejściem i poszła wprost na górę. Tam przebrała się, gdyż jej futerko i spódnica, w której była na brydżu, wisiały w szafie.

Szykowała się prawdopodobnie znów do wyjścia, gdy padł cios. Bardzo możliwe, że w ogóle nie zauważyła napastnika. Zmarła natychmiast, woreczek napełniony piaskiem jest śmiertelną bronią, jeśli uderzy się z dużą siłą. Wygląda na to, że morderca czekał już w pokoju ukryty w jednej z szaf.

A teraz co tyczy się Sandersa. Wyszedł około wpół do szóstej lub trochę później. Zrobił

zakupy w sklepach i około szóstej zaszedł do hotelu Grand Spa, gdzie spotkał dwóch kolegów. Z nimi właśnie wrócił do uzdrowiska. Grali w bilard i wypili po kilka drinków. Od szóstej byli stale razem i towarzyszyli Sandersowi do zakładu, gdzie rozstali się na moment, gdy Sanders podszedł do panny Trollope i mnie, by zamienić parę słów. To było, jak już mówiłam, około kwadrans przed siódmą. W tym czasie jego żona już nie żyła.

Osobiście rozmawiałam z tymi kolegami Sandersa. Niezbyt mi przypadli do gustu, zachowywali się dość grubiańsko, ale jednej rzeczy byłam absolutnie pewna — mówili niewątpliwie prawdę, że Sanders przez cały czas przebywał razem z nimi.

Tymczasem odkryto jeszcze jeden fakt. Otóż w trakcie brydża pani Sanders otrzymała telefon od mężczyzny, który przedstawił się jako Littleworth. Wszyscy twierdzili, że po rozmowie z nim była wyraźnie podekscytowana i ucieszona, dwa razy nawet popełniła poważne błędy w grze. Uwagę miała rozproszoną i w końcu wyszła od Mortimerów wcześniej, niż się spodziewano.

Zapytano Sandersa o takiego znajomego żony, ten jednak przysięgał, że nigdy nie słyszał

o kimś takim. Ona również zdziwiła się podobno słysząc to nazwisko, a jednak wróciła do gry

uśmiechnięta i podniecona. Wydaje się więc, że ktokolwiek to był, nie podał z początku swego prawdziwego nazwiska, a to już budziło podejrzenia.

W sprawie więc wzięły górę dwie teorie: pierwsza z włamywaczem na tle rabunkowym (choć wydawało się to mało prawdopodobne) i druga o rzekomym spotkaniu pani Sanders z tajemniczym Littleworthem. Czy wszedł potajemnie do jej pokoju schodami przeciwpożarowymi? Może pokłócili się i ten zaatakował ją z nienacka?

Panna Marple przerwała na chwilę.

— I jakie jest końcowe rozwiązanie? — niecierpliwił się sir Henry.

— Ciekawa jestem, czy ktoś z państwa zgadnie — poddała rzecz do dyskusji starsza pani.

— Ja nawet nie próbuję — rzekła pani Bantry.

— Szkoda, że Sanders miał alibi nie do podważenia. W każdym razie musiało takie być, skoro nie pani mu nie udowodniła.

Aktorka pokiwała głową potrząsając wspaniałymi lokami.

— A dlaczego ta półka na kapelusze w szafie była zamknięta? — zapytała.

— Brawo, kochanie! — wykrzyknęła panna Marple.

— Mnie to też zastanawiało. Wyjaśnienie jednak było bardzo proste. Ta biedaczka schowała tam parę haftowanych pantofli i chusteczki do nosa, które miały być prezentem od niej dla męża na Gwiazdkę. Nie chciała, by przedwcześnie zobaczył upominki, które sama haftowała. Zamknęła więc tę część szafy na klucz. Znalaziono go potem w jej torebce.

— Och! — aktorka najwyraźniej rozczarowała się. — Więc nie było w tym nic ciekawego.

— Ależ przeciwnie! — sprostowała panna Marple. — Ten zamknięty schowek na kapelusze był jedynym znaczącym faktem — faktem, który pokrzyżował plany mordercy.

Wszyscy zebrani wlepili wprost oczy w starszą panią.

— Ja sama nie mogłam tego dostrzec przez dwa dni — podjęła znowu panna Marple. —

Głowiłam się i głowiłam — aż nagle przejrzałam. Wszystko stało się jasne. Poszłam wtedy do inspektora z prośbą, by zgodził się przymierzyć jedną rzecz. Zrobił to.

— Cóż takiego miał przymierzyć?!

— Poprosiłam go, by — spróbował włożyć na głowę pani Sanders kapelusz, który leżał przy jej zwłokach.

Oczywiście, nie udało mu się tego zrobić. Kapelusz nie pasował, gdyż to nie był jej kapelusz!

Pani Bantry była zupełnie zdezorientowana.

— Ale przecież przedtem widzieliście go na jej głowie?...

— Nie, nie na jej...

Panna Marple odczekała chwilę pozwalając tym samym zrozumieć wszystkim sens tego, co powiedziała. Potem ciągnęła.

— Przyjeliśmy w ciemno, że to zginęła biedna Gladys; a przecież nikt nie widział jej twarzy. Jak pamiętacie, leżała twarzą do podłogi, a kapelusz zasłaniał ją dodatkowo.

— Ale jednak ją zabito...

— Tak, tylko trochę później. W momencie, gdy telefonowaliśmy po policję, Gladys Sanders była cała i zdrowa.

— Myśli pani, że ktoś inny udawał nieboszczkę? Przecież pani dotknęła ciała wtedy w pokoju...

— Była martwa, z całą pewnością — raz jeszcze potwierdziła panna Marple.

— Do licha ciężkiego — zachnął się pułkownik — nie można chyba zdobyć nieboszczyka, kiedy się zechce? Poza tym, co by potem zrobił ten Sanders z... no, z tymi pierwszymi zwłokami?

— Zaniósł, skąd je zabrał — wyjaśniła panna Marple.

— To był okrutny plan zbrodni i świetnie przeprowadzony. Wpadł na to, gdy słuchał

naszej rozmowy z paniami Carpenter i Trollope o śmierci pokojówki Mary. Jej zwłoki —

dłaczego nie użyć ich do własnych celów? Pamiętacie, że sypialnia Sandersów znajdowała się wśród pokoiów dla służby, pokój Mary zaś oddzielały zaledwie dwa pomieszczenia. Z

zakładu pogrzebowego spodziewano się kogoś raczej o późnej godzinie — i na to liczył

morderca. Przeciągnął ciało Mary balkonem, włożył na nie suknię żony i jej obszerny, czerwony płaszcz. A gdy sięgnął po kapelusz, spostrzegł, że ta część szafy jest zamknięta!

Mógł zrobić tylko jedno — przynieść jakiś kapelusz z pokoju pokojówki. Liczył na to, że nikt nie zauważy takiego szczegółu. Woreczek z piaskiem położył obok ciała. Potem wyszedł, by przygotować dla siebie niepodważalne alibi.

Zadzwonił do żony, podając się za Littlewortha. Nie wiem, co jej powiedział, ale ona była taka łatwowierna... Wymógł jednak na niej, by opuściła towarzystwo i wyszła wcześniej.

Miała nie wracać do domu, ale spotkać się z nim około siódmej w pobliżu schodów przeciwpożarowych. Prawdopodobnie skusił ją obietnicą jakiejś miłej niespodzianki.

On zaś wraca z kolegami i aranżuje wszystko w tym celu, by panna Trollope wraz ze mną udała się do ich pokoju i odkryła zbrodnię. Udawał nawet, że chce odwrócić ciało — i to ja go powstrzymałam! Potem przyjeżdża policja, a on udając wielką rozpacz wychodzi chwiejnym krokiem na zewnątrz, by dojść do siebie po przeżytych szoku.

Nikt nie pyta go o alibi po śmierci żony. Tymczasem on spotyka się z nią, prowadzi schodami przeciwpożarowymi na górę, do ich pokoju. Być może wcześniej uprzedza, że zastanie tam ciało zmarłej pokojówki. Ona pochyla się, a on wyjmuje woreczek z piaskiem i uderza... Och, Boże! Nawet teraz, gdy o tym pomyślę, robi mi się niedobrze. Potem szybko zdejmuje z zabitej ubranie i wieszka do szafy, a ją ubiera w rzeczy, które miała na sobie ta biedaczka Mary.

Ale kapelusz nie pasuje. Mary miała krótkie włosy, natomiast Gladys Sanders bardzo bujne, upięte w węzeł na karku. Sanders musi położyć kapelusz obok ciała.

Ma nadzieję, że takiego drobiazgu nikt nie zauważy. Po zabiciu żony przenosi ciało pokojówki z powrotem do jej pokoju, układając wszystko tak, jak było.

— To wprost niewiarygodne — dziwił się dr Lloyd. — Takie ryzyko! Przecież policja mogła przyjechać wcześniej, niż przewidywał.

— Proszę pamiętać, że linia telefoniczna była uszkodzona — przypomniała panna Marple. — Z pewnością to też była jego robota. Tak więc nie spodziewał się policji zbyt wcześnie. Policjanci po przybyciu rozmawiali najpierw z kierownikiem hotelu, zanim wezwali pierwszych świadków. I tu był największy błąd — zaprzepaszczono tym samym szansę, że ktoś z nas mógłby zwrócić uwagę na różnicę między ciepłotą ciała martwego od dwóch godzin a tego, które było martwe od zaledwie pół godziny. Ale Sanders liczył na to, że ani ja, ani panna Tarollope nie zwrócimy na to uwagi, gdyż nie będziemy się na tym znały.

Dr Lloyd pokiwał głową.

— Czas morderstwa miał być stwierdzony przez naocznych świadków na około za piętnaście siódma, jak sądzę — powiedział. — W rzeczywistości zbrodnię popełniono o siódmej lub parę minut po siódmej. Lekarz mógł zbadać zwłoki najwcześniej o pół do ósmej.

Różnica piętnastu minut jest tak mała, że lekarz nie byłby w stanie jej stwierdzić.

— Ale mnie powinno to uderzyć — rzuciła panna Marple. — Wtedy w pokoju badałam tętno i ujęłam tę biedaczkę za rękę. Była zimna jak lód. Potem zaś inspektor mówił o zmarłej, jakby zginęła tuż przed naszym wejściem do pokoju Sandersów. I ja nie skojarzyłam tych faktów!

— Myślę, że pani i tak dużo dostrzegła, panno Marple — pocieszył ją sir Henry. — Ta sprawa musiała się zdarzyć, zanim jeszcze zacząłem pracować w policji. Nie znam jej nawet ze słyszenia. Co się stało dalej?

— Sandersa powieszono — ostro rzuciła panna Marple. — Nigdy nie żałowałam, że przyczyniłam się do wymierzenia mu sprawiedliwej kary. I tracę wprost cierpliwość, gdy dzisiaj ludzie mają humanitarne skrupuły co do najwyższego wymiaru kary!

Zacięta twarz starszej pani rozpogodziła się, gdy ciągnęła dalej.

— Często robię sobie gorzkie wymówki, że nie zdołałam uratować życia tej biedaczki.

Ale któż słuchałby podejrzeń staruszki, której coś wpadło do głowy? A zresztą, kto to wie...

Może i lepiej, że umarła, gdy była szczęśliwa, niż gdyby miała żyć dalej rozgoryczona i odarta ze złudzeń na świecie, który zniemacka stał się tak okrutny. Kochała tego łajdaka i ufała mu, i nigdy nie ujrzała jego prawdziwego oblicza.

— Cóż, wobec tego tak było chyba rzeczywiście lepiej — poparła ją Jane Helier. — Z

pewnością lepiej. Sama chciałam... — aktorka urwała nagle nie kończąc zdania.

Panna Marple spojrzała na tę sławną, piękną, uwielbianą Jane Helier i pokiwała leciutko głową.

— Rozumiem, kochanie — rzekła łagodnym głosem. — Rozumiem...

XI

Ziele śmierci

— No, kolej na panią, pani B. — zachęcająco rzucił sir Henry.

Pani Bantry, gospodyni domu, spojrzała na niego z naganą w oczach.

— Już panu mówiłam, żeby mnie tak nie nazywać! To brzmi niepoważnie.

— Wobec tego Szeherezado — nie ustępował komisarz.

— Tym bardziej Sze... Sze... A cóż to za imię! Ja nie umiem opowiadać. Zapytajcie Arthura, jeśli mi nie wierzycie.

— Zupełnie dobrze radzisz sobie z faktami, tylko nie potrafisz całości ubrać w słowa —

starał się pocieszyć żonę pułkownik Bantry.

— Ano właśnie! — pani Bantry z rozmachem położyła katalog z sadzonkami przed sobą na stole. — Słucham was wszystkich i naprawdę nie wiem, jak to robicie. Te wszystkie „on zauważył”, „ona stwierdziła”, „zastanawiałaś się”, „spostregli”... Ja tak nie potrafię i już! A poza tym nie znam żadnej historii, która nadawałaby się do opowiedzenia.

— Nie do wiary — powiedział doktor Lloyd potrząsając głową z żartobliwym niedowierzaniem.

Panna Marple próbowała namówić ją swym łagodnym głosem.

— Ależ na pewno, droga pani...

Ale pani Bantry uparcie stała przy swoim.

— Nie wiecie nawet, jak nieciekawe jest moje życie. Przecież ciągle użeranie się ze służbą, kłopoty ze zgodzeniem dziewczyny do mycia naczyń, zakupy w mieście, wizyta u dentysty, jazda do Ascot — choć Arthur tego nie cierpi, i wreszcie ogród...

— O właśnie. Ogród! Wszyscy dobrze wiedzą, że to pani oczko w głowie — wtrącił

doktor Lloyd.

— A może by obrać ogród za punkt wyjścia? No proszę, pani B. — znajdzie się może jakaś zatruta cebulka czy zabójcze żonkile albo ziele śmierci!...

— A wie pan, to dziwne — przerwała komisarzowi pani Bantry. — Przypomniał mi pan coś. Arthur, czy pamiętasz te sprawę w Clodderham Court? No wiesz, chodzi mi o starego sir Ambrose’a Bercy’ego. Nie zapomniałeś chyba, jaki to był dystygowany i miły człowiek?

— Aaa... tak. Oczywiście, że pamiętam. Taaak... To była dziwna sprawa. Opowiedz o tym, Dolly.

— Lepiej ty opowiedz, mój drogi.

— Bzdura, zaczynaj śmiało. Te taczki musisz pchać sama. Ja już mam to za sobą.

Pani Bantry wzięła głęboki oddech, złączyła dłonie, a na jej twarzy odbił się wyraz psychicznej udręki. Nagle zaczęła wyrzucać z siebie pospiesznie słowa.

— No więc, niewiele jest tu do powiedzenia. Gdy komisarz powiedział „ziele śmierci”, coś mi się przypomniało. Choć ja zawsze nazywałam to „szałwią i cebulą”.

— Szałwią i cebulą? — zdziwił się doktor Lloyd.

— Bo widzicie, to było tak — ciągnęła dalej desperacko pani Bantry. — Pojechaliśmy z Arthurem odwiedzić Bercy’ego w Clodderham Court i jednego dnia, przez pomyłkę — stale myślę, jak głupio — trujące liście naparstnicy zebrano razem z szałwią. Na kolację były kaczkę nadziane tym właśnie, wszyscy pochorowaliśmy się, a wychowanka sir Ambrose’a, biedaczka, zmarła.

— Boże drogi! — sieknęła panna Marple. — Co za tragedia.

— No i co potem? — niecierpliwił się sir Henry.

— Nie ma żadnego „potem” — odparowała pani Bantry. — To już wszystko.

Zebranych wprost zamurowało. Zostali wprawdzie ostrzeżeni wcześniej, że pani domu będzie mówić krótko, nikt jednak nie spodziewał się aż takiej zwięzłości.

— Ależ, droga pani — z wyrzutem zaproponował sir Henry. — To nie może być wszystko.

Z tego, co pani powiedziała, wynika, że zdarzył się tragiczny wypadek, a to w żadnym razie nie jest nic zagadkowego.

— No, mogłabym jeszcze trochę powiedzieć, ale boję się, że jeśli coś dodam, to na pewno zorientujecie się, o co w tym wszystkim chodzi.

Pani Bantry obrzuciła towarzystwo zaczepnym spojrzeniem i rzekła prosto z mostu.

— Mówiłam przecież, że nie umiem faktów przystrajać w słowa ani opowiadać tak, by miało to ręce i nogi.

— Aha! — podchwycił sir Henry. Poprawił się na krześle i wsadził okulary głębiej na nos. — Wiesz, Szeherzado, to bardzo odświeży dzisiejszy wieczór. Wyzwałaś naszą dociekliwość na pojedynek. I wcale nie jestem pewny, czy nie zrobiłaś tego celowo, by pobudzić naszą ciekawość. Myślę, że kilka szybkich kółek gry w „Dwadzieścia pytań” bardzo się przyda. Panno Marple, może zaczniemy od pani?

— Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o kucharce — rzekła starsza pani.

— To musiała być albo bardzo głupia kobieta, albo bardzo marna kucharka. — Raczej to pierwsze. Później wylewała potoki łez i stale powtarzała, że liście przyniesiono jej jako szalwią, więc skąd mogła przewidzieć.

— Ani ten, kto za nią pomyślał — cicho powiedziała panna Marple. — Pewnie była kobietą w podeszłym wieku i dobrze gotowała?

— Świetnie! — potwierdziła pani Bantry.

— Pani kolej, panno Helier — zarządził komisarz.

— Och! To znaczy... mam zadać pytanie? — Jane namyślała się chwilę, wreszcie bezradnie wyznała.

— Naprawdę... nie wiem, o co zapytać.

Pięknie niebieskie oczy aktorki spojrzały prosząco w stronę komisarza.

— A może o *dramatis personae*, panno Helier? — poddał z uśmiechem sir Henry.

Jane jednak nadal była w kropce.

— Osoby, wszystkie po kolei — wyjaśniająco dodał sir Henry.

Pani Bantry zaczęła szybko wyliczać na palcach.

— Sir Ambrose, Sylvia Keene, to ta dziewczyna, która umarła, następnie Maud Wye, jej przyjaciółka, jedna z tych dziewcząt, które mimo brzydoty zwracają na siebie uwagę, choć zupełnie nie wiem, jak to robią. Był jeszcze pan Curie, który zaszedł do sir Ambrose'a porozmawiać o książkach, takich dziwnych starociach pisanych po łacinie na zmurszałym pergaminie. Potem Jerry Lorimer, ich najbliższy sąsiad, bo jego majątek Fairlies przylegał do posiadłości sir Ambrose'a. I wreszcie pani Carpenter, taka „kiciusia” w średnim wieku; jedna z tych panius, co zawsze potrafią się gdzieś wygodnie ulokować. Sądzę, że była kimś w rodzaju damy do towarzystwa dla Sylvii.

— Wydaje mi się, że teraz moja kolej po pannie Helier — rzekł komisarz. — Chcę dobrze wykorzystać moją szansę. Mam ochotę poprosić panią Bantry o krótką charakterystykę wszystkich osób, o których przed chwilą mówiła.

— Och! — pani Bantry aż sapnęła.

— Może na początek sir Ambrose — szybko zaproponował komisarz. Jaki to był człowiek?

— Och! To był bardzo dystyngowany starszy pan, ale nie za stary, nie miał chyba więcej niż sześćdziesiąt lat. Był słabego zdrowia, dokuczało mu serce i nie mógł wchodzić po schodach. Kazał

zainstalować windę wewnątrz domu i to właśnie robiło wrażenie, jakby był

zniedołężniały. Miał wspaniałe maniery, dworskie — to najlepsze określenie. Bujne siwe włosy i wyjątkowo miły głos.

— Świetnie! — skonkludował sir Henry. — Mamy już obraz sir Ambrose'a. A teraz Sylvia... jakie było jej nazwisko?

— Sylvia Keene. Była bardzo ładna. Miała jasne włosy i cerę bez skazy. Nie grzeszyła, co prawda, rozumem. W gruncie rzeczy była głupiutka.

— Och, Dolly, dajże spokój — gorąco zaprotestował pułkownik.

— Arthur, oczywiście, był innego zdania — z przekąsem rzuciła pani Bantry. — Ale nie zmienia to faktu, że była naprawdę głupia. Nigdy nie powiedziała niczego, co warte było słuchania.

— Była jedną z najbardziej uroczych istot, jakie w życiu spotkałem — wtrącił żarliwie pułkownik Bantry. — A gdy grała w tenisa, była po prostu czarująca, czarująca! I zawsze trzymały się jej figle. Taki mały, uroczy psotnik. Mógłbym się założyć, że tak samo myśleli o niej wszyscy chłopcy.

— Głęboko się mylisz — zaproponowała pani Bantry. — Młodość nie jest żadną atrakcją dla dzisiejszych chłopców. Tylko takie stare pierniki jak ty, Arthurze, mogą godzinami rozprawiać o młodych dziewczętach!

— Dzisiaj nie za dobrze jest być młodym — przemówiła Jane Helier. — Musi się mieć SA.

— A to co takiego? — zdziwiła się panna Marple.

— Sex appeal — wyjaśniła młoda aktorka.

— Ach, tak! W czasach mej młodości mówiło się o figurze dziewczyny, że „ma to i owo tu i tam”.

— Sylwię znamy już nieźle — wrócił do tematu sir Henry. — Tę damę do towarzystwa określiła pani jako „kiciusień”, prawda?

— To wcale nie znaczy, że miałam na myśli kota. Była po prostu dużą, pulchną i przymilną kobietę. Zawsze słodka i uprzejma. Taka właśnie była Adelaide Carpenter.

— W jakim mniej więcej wieku?

— Chyba około czterdziestki. Mieszkała tam od kilku lat, od jedenastego roku życia.

Była ogromnie taktowna, jak wszystkie takie jak ona wdowy, które zostają w nieszczęśliwych okolicznościach same: bez grosza przy duszy, za to z rojem arystokratycznych krewnych.

Niezbyt ją lubiłam, ale ja w ogóle nie lubię ludzi, którzy mają bielutkie, smukłe dłonie. Tak samo jak tzw. kiciusi.

— A pan Curie?

— Och! Zupełnie nieciekawym starszy pan. Takich jak on jest tak wielu, że nie sposób ich odróżnić. Ożywał się tylko wtedy, gdy mówił o swoich starych papierzyskach. Nie wydaje mi się, żeby sir Ambrose znał go dobrze.

— A ten sąsiad, Jerry?

— Przemiały chłopiec. Sylvia była z nim zaręczona. Tym bardziej jeszcze jej śmierć była tragiczna.

— Zastanawiam się... — zaczęła panna Marple i nagle urwała.

— Tak? — zwróciła się do niej pani Bantry, ale starsza pani odparła:

— Już nic, moja droga.

Sir Henry spojrzał w kierunku panny Marple z ciekawością. Po czym dodał w zamyśleniu.

— Więc ci młodzi byli zaręczeni. Jak długo?

— Mniej więcej od roku — pospieszyła z wyjaśnieniem pani Bantry. Sir Ambrose sprzeciwiał się ich małżeństwu z powodu zbyt młodego wieku Sylvii. Ale po roku zaręczyn

zgodził się na ślub, miał się on wkrótce odbyć.

— Czy Sylvia miała jakiś majątek? — badał dalej komisarz.

— Prawie nic. Jakieś sto, dwieście funtów rocznie.

— Nie tu leży pies pogrzebany, Clithering — roześmiał się pułkownik Bantry.

— Teraz kolej na doktora — wycofał się sir Henry. — Ja pasuję.

— Powoduje mną przede wszystkim zawodowa ciekawość — rzekł doktor Lloyd. —

Chciałbym wiedzieć, jakie było orzeczenie lekarskie, o ile pani wie lub pamięta.

— Tak, z grubsza wiem. To było zatrucie, które spowodował digitalis. Czy dobrze wymawiam?

Doktor Lloyd przytaknął.

— Naparstnica, czyli digitalis, działa przede wszystkim na serce. Odpowiednio spreparowana jest cennym lekiem stosowanym przy schorzeniach serca. To dziwne, nigdy nie przypuszczałem, że spożycie liści naparstnicy może być tak fatalne w skutkach. W ogóle jest sporo przesady w twierdzeniu, że trujące liście lub jagody powodują śmierć. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że do śmiertelnego zatrucia trzeba by użyć aktywnego związku lub alkaloidu w czystej postaci, a to wymaga fachowej wiedzy i wielu prób laboratoryjnych.

— Pani MacArthur przesłała pewnego dnia jakieś specjalne cebulki dla pani Toomie —

powiedziała panna Marple. — A kucharka pani Toomie wzięła je za zwykłą cebulę i cała rodzina poważnie się rozchorowała.

— Ale nikt nie umarł, prawda? — spytał doktor Lloyd.

— Nie, nie umarł — potwierdziła panna Marple.

— Znałam dziewczynę, która zmarła na skutek zatrucia ptomainą — dodała Jane Helier.

— No więc musimy wyjaśnić tę zbrodnię — skonstatował sir Henry.

— Zbrodnię?? — aktorka była ogromnie zaskoczona. — Sądziłam, że to nieszczęśliwy wypadek.

— Myślę, że gdyby tu chodziło wyłącznie o wypadek, pani Bantry nie opowiadałaby nam tego wszystkiego. Nie, sędzę, że z pozoru miało to wyglądać na nieszczęśliwy wypadek, ale pod spodem kryje się coś znacznie gorszego. Przypominam sobie zdarzenie, gdy goście zebrani na przyjęciu gawędzili sobie po kolacji. Ściany w pokoju były wprost pokryte różną starodawną bronią. Jeden z gości wziął do ręki pistolet i dla żartu skierował go w stronę jednego z zebranych udając, że strzela. Tymczasem pistolet był nabity i wypalił, a ofiara „żartu” została zabita na miejscu. Policja miała za zadanie zbadać, kto nabił po kryjomu broń, a po drugie kto tak pokierował rozmową, że sprawa przybrała tragiczny obrót.

Mężczyzna bowiem, który strzelał, był tylko kozłem ofiarnym, absolutnie nie winien tego, co się stało.

Wydaje mi się, że tak samo jest i w naszym wypadku. Liście naparstnicy zostały celowo zmieszane w liśćmi szałwi przez kogoś, kto działał z ukrycia i spokojnie czekał na wynik operacji. Jako że nie podejrzewamy o to kucharki — bo wykluczamy ją, prawda? —

pozostaje więc zapytać, kto zebrał trujące liście i dostarczył je go kuchni?

— Na to mogę łatwo odpowiedzieć, a w każdym razie na drugą część pytania — rzekła pani Bantry. — Zniosła je do kuchni sama Sylvia. To należało do jej codziennych zajęć.

Zawsze zbierała jarzyny, sałatę, zioła czy pęczki młodej marchewki, bo ogrodnicy nigdy nie potrafią tego należycie zrobić. Nie znoszą wprost wyrywać młodych pędów, czekają, aż te wyrosną na okazałe rośliny. Sylvia razem z panią Carpenter zajmowały się dostawą zieleniny do kuchni. W kącie ogrodu rosła szałwia na przemian z naparstnicą, która wyrosła tam dziko, więc pomyłka rzeczywiście mogła wchodzić w rachubę.

— Ale czy Sylvia zbierała jarzyny w tym właśnie dniu?

— Tego nikt nie wiedział na pewno, ale tak ogólnie myślano.

— Przypuszczenia często zawodzą — zawyrokował sir Henry.

— Z całą pewnością mogę powiedzieć jedno. Na pewno nie zbierała ich pani Carpenter, bo tego ranka spacerowała ze mną po tarasie. Wyszliśmy razem po śniadaniu, bo było bardzo ciepło. Zupełnie jak wczesną wiosną. Sylvia poszła do ogrodu sama, ale później widziałam, jak szła pod rękę z Maud Wye.

— Pewnie bardzo się przyjaźniły — zauważyła panna Marple.

— Tak — potwierdziła pani Bantry, a potem zawahała się, jakby chciała coś dodać. Ale nic nie powiedziała.

— Czy długo przebywała w ich domu Maud Wye? — zapytała starsza pani.

— Około dwóch tygodni — ton głosu pani Bantry zdradzał lekki niepokój.

— Nie lubiła pan Maud Wye? — dociekał komisarz.

— Ależ nie. Wprost przeciwnie, bardzo ją lubiłam. — Ton niepokoju w jej głosie przybrał teraz nutę prawdziwego strapienia.

— Pani coś ukrywa — obwinił ją o nieszczerłość sir Henry.

— Mnie też to przyszło na myśl, ale nie chciałam pytać — rzekła panna Marple.

— Kiedy to pani przyszło do głowy? — spytała pani Bantry.

— W chwili gdy pani powiedziała, że młoda para była zaręczona i że śmierć Sylvii była tym bardziej wstrząsająca. Ale nie powiedziała pani tego w ten sposób. To znaczy, ton pani głosu nie brzmiał zbyt przekonująco, o ile pani rozumie, o co mi chodzi.

— Pani jest wprost straszna! — pani Bantry aż zachłysnęła się. — Nic się przed panią nie ukryje. Przyszło mi coś do głowy, ale naprawdę nie wiem, czy powinnam o tym mówić.

— Musi pani — rozstrzygnął jej wahanie komisarz. Mimo skrupułów nie może pani niczego zataić.

— No więc to było tak — pani Bantry nie dała się już dłużej prosić. Jednego wieczoru, a właściwie tuż przed tą tragedią wyszłam na taras. Okno w bawialni było otwarte. I wtedy zobaczyłam Jerry'ego Lorimera i Maud Wye. On ją, no... całował. Nie wiedziałam, oczywiście, czy to jest coś poważnego, czy tylko przelotny flirt. Nikt tego nie mógł wiedzieć.

Zdawałam sobie sprawę jednak, że sir Ambrose nigdy nie darzył Jerry'ego sympatią. Być może znał go lepiej niż inni. Jednego jestem pewna. Maud Wye naprawdę lubiła Jerry'ego, wystarczyło tylko przechwycić wyraz jej oczu, gdy patrzyła na niego i sądziła, że nikt tego nie widzi. Poza tym wydaje mi się, że ci dwoje lepiej do siebie pasowali niż Jerry i Sylvia.

— Chcę teraz zadać prędko pytanie, zanim zrobi to panna Marple — z komicznym pośpiechem rzekł sir Henry. — Chciałbym wiedzieć, czy Jeny poślubił Maud Wye po tej tragedii?

— Tak, poślubił. Pobrali się w sześć miesięcy później.

— Och! Szeherezado, Szeherezado — z wymówką w głosie powiedział komisarz. — I pomyśleć tylko, jak przedstawiła nam pani sprawę na samym początku! Same gnaty, gdy tymczasem było na nich tyle mięsa!

— Traktuje pan to wszystko jak sęp — nie pozostała dłużna pani Bantry. — I niech pan nie mówi o mięsie w taki sposób, jak robią to wegetarianie. Jak oni już powiedzą „nie jadam mięsa”, to człowiekowi niedobrze się robi na sam widok choćby nie wiem jak pięknego befsztyka. Pan Curie był wegetarianinem i na śniadanie jadł zwykle coś, co wyglądało jak otręby. Tacy panowie w podeszłym wieku, z brodą i małym garbem na plecach, mają nieraz nielicznego fioła. I noszą oryginalną bieliznę.

— Na Boga, Dolly! Co ty możesz wiedzieć o bieliźnie pana Curie?! — wykrzyknął pułkownik Bantry.

— Nic — z godnością rzekła jego żona. — Domyślam się tylko.

— Powiem więc inaczej niż przed chwilą — zażegnał wymianę zdań między wzburzonymi małżonkami sir Henry. — Trzeba przyznać, że bohaterowie tej tragedii przedstawiają się bardzo ciekawie. Ich sylwetki zaczynają mi się rysować coraz wyraźniej...

A pani, panno Marple?

— Natura ludzka jest zawsze interesująca, sir Henry. To dziwne, ale można wyraźnie zauważyć, jak poszczególne typy ludzkie zawsze postępują w ten sam sposób.

— Dwie kobiety i jeden mężczyzna — podsumował komisarz. — Trójkąt stary jak świat.

Czy to właśnie leży u podłoża naszej sprawy? Mnie się wydaje, że tak.

Doktor Lloyd przełknął ślinę i nieśmiało zwrócił się do pani Bantry.

— Czy mówiła pani, że też się rozchorowała?

— Jeszcze jak! Tak samo Arthur. I wszyscy inni.

— Ano właśnie — wszyscy — dowodził doktor. — Wiecie, o co mi chodzi? W historii, którą przytoczył przed chwilą sir Henry, jeden człowiek zastrzelił drugiego i wcale nie musiał zabić wszystkich obecnych w pokoju.

— Zupełnie nie rozumiem — poskarżyła się piękna Jane. — Kto kogo zastrzelił??!

— Po prostu staram się wyjaśnić, że ktokolwiek planował tę zbrodnię, zrobił to w przedziwny sposób, gdyż albo zawierzył ślepemu losowi, albo też zupełnie lekkomyślnie szafował ludzkim

życiem. Nie chce mi się wierzyć, aby ktoś narażał życie ośmiu osób po to, by otruć jedną.

— Wiem już, o co panu chodzi — z namysłem odparł komisarz. — Przyznaję, nie wziąłem tego pod uwagę.

— Nie bał się, że sam siebie też otruje? — wtrąciła aktorka.

— Czy kogoś brakowało na kolacji tego wieczoru? — spytała panna Marple.

— Wszyscy byli na miejscu — rzekła pani Bantry.

— Chyba oprócz młodego Lorimera, moja droga. On przecież nie mieszkał w domu sir Ambrose'a na stałe, prawda?

— Nie, ale wtedy był na kolacji — sprostowała pani Bantry.

— Och! — wykrzyknęła panna Marple zmienionym głosem. — Ależ to szalona różnica!

— Po czym zmartwiona zmarszczyła czoło i zamruczała pod nosem. — Jaka ja głupia! Jaka głupia.

— Muszę przyznać, że pana sugestia niepokoi mnie — rzekł sir Henry. — Jak w takim wypadku można być pewnym, że wyłącznie dziewczyna zostanie otruta?

— Nie można — potwierdził lekarz. — Dlatego właśnie pomyślałem, co by było, gdyby założyć, że to wcale nie dziewczyna miała zostać otruta?

— Co takiego?

— W wypadkach zatrucia pokarmowego nigdy nie można przewidzieć skutku. Kilka osób je to samo. I co się dzieje? Jedna lub dwie tylko lekko zapadają na zdrowiu, następne dwie chorują poważniej, jedna zaś umiera. To typowe dla zatruc, że nigdy nie ma pewności jak delikwenci zareagują na truciznę. Digitalis działa bezpośrednio na serce, jest nawet w pewnych wypadkach przepisywany przez lekarzy jako lek. W domu była jedna osoba, która skarżyła się na serce. Przypuśćmy więc, że to o nią chodziło? Co innym nie zaszkodziło, dla tego człowieka byłoby fatalne w skutkach. W każdym razie morderca mógł na to liczyć.

Planowana zbrodnia przybrała zupełnie inny obrót i jest dowodem na to, że nie można przewidzieć do końca, jaki skutek odniesie działanie substancji trujących na ludzki organizm.

— Sądzi więc pan, że to sir Ambrose miał paść ofiarą, a śmierć jego wychowawcy była pomyłką?
— dopytywał się komisarz.

— Kto dziedziczyłby majątek po jego śmierci? — spytała Jane.

— Bardzo słuszne pytanie, panno Helier. Jedno z pierwszych, jakie zadawaliśmy zawsze w policji, gdy byłem w czynnej służbie — rzekł sir Henry.

— Pan Bercy miał syna — podjęła z wolna pani Bantry. — Byli ze sobą skłócenii od wielu lat. Myślę, że powodem było nieokrzesane zachowanie chłopca. Mimo wszystko sir Ambrose nie mógł pozbawić go majątku ani prawa do tytułu, bo Clodderham Court było dziedzictwem rodzowym, przechodzącym bezpośrednio na syna po śmierci ojca. Sir Ambrose miał jednak jakieś inne dochody i te mógł zapisać z testamentu, komu chciał. To właśnie miała po jego śmierci dziedziczyć Sylvia. Wiem o tym, bo sir Ambrose zmarł rok później i nie zmienił testamentu. Pieniądze przeszły na skarb państwa, czy też otrzymał je syn sir Ambrose'a jako najbliższy krewny, nie pamiętam dokładnie.

— Więc jego śmierć leżała w interesie syna, którego tam wtedy nie było, i dziewczyny, która otruła się sama zamiast swego opiekuna — powiedział w zamyśleniu sir Henry. —

Niewiele z tego wynika.

— Czy ta druga kobieta, ta „kiciusia”, jak ją pani nazwała, nie odziedziczyła? —

spytała Jane.

— Nie była w ogóle wymieniona w testamencie — stwierdziła pani Bantry.

— Panno Marple, pani nas nie słucha. Jest pani myślami gdzieś daleko — rzekł sir Henry.

— Rozmyślałam właśnie o panu Badger, który prowadził drogerię — odparła starsza pani. — Miał bardzo młodą gospodynię, tak młodą, że mogła być nie tylko jego córką, ale wnuczką. Nikt nic nie wiedział, nawet jego rodzina, liczni siostrzeńcy i bratanice, którzy wiele sobie obiecywali z chwilą jego śmierci. Czy uwierzycie, że gdy umarł, okazało się, że on i ta młoda dziewczyna byli od dwóch lat małżeństwem? Pewnie, że pan Badger był tylko drogerzystą, i do tego gruboskórnym, prostym człowiekiem, a sir Ambrose Bercy gentlemanem w każdym calu, jak powiedziała pani Bantry. Ale przecież natura ludzka jest wszędzie taka sama.

Zapadła cisza. Sir Henry obrzucił pannę Marple karcącym spojrzeniem. Starsza pani popatrzyła na niego spokojnie i jakby trochę kpiąco swymi niebieskimi oczami. Wreszcie Jane Helier przerwała ciszę.

— Czy pani Carpenter była przystojna? — spytała.

— Tak, raczej tak. Daleko jednak jej było do piękności.

— Miała bardzo miły głos — wtrącił pułkownik Bantry.

— Ja to nazywam miauczeniem — rzuciła krótko pani Bantry. — Po prostu miauczeniem!

— Niedługo ktoś ciebie weźmie za kota, Dolly.

— W domu, wśród przyjaciół, nie mam nic przeciwko temu. Zresztą nie za bardzo lubię kobiety i ty wiesz o tym. Zdecydowanie wolę mężczyzn i kwiaty.

— Wspaniały gust — zażartował sir Henry. — Zwłaszcza że mężczyźni znaleźli się na pierwszym

miejscu!

— Chciałam być po prostu taktowna — odcięła się natychmiast pani Bantry. —

Wszystko ładnie pięknie, ale co dalej z moją sprawą? Przedstawiłam wszystko zupełnie fair, tak mi się przynajmniej wydaje. Czy nie, Arthurze?

— Tak, moja droga. Myślę, że nic ci nie można zarzucić.

— Ty pierwszy, chłopcze — żartobliwie wezwała komisarza do odpowiedzi pani Bantry.

— Nie będę długo lawirował, bo widzicie, nie mam pełnego przekonania do całej tej sprawy. Po pierwsze, sir Ambrose. Cóż, nie popełniałby samobójstwa w tak wymyślny sposób. Z drugiej strony nic przecież nie zyskiwał przez śmierć swej wychowawicy. Tak więc sir Ambrose odpada. Weźmy pod uwagę panna Curie. Nie miał żadnego motywu, by zabijać Sylwię. Jeśli godził na życie sir Ambrose'a, można przyjąć, że przywłaszczył sobie parę

„białych kruków” ze zbioru manuskryptów pana Bercy'ego, że po śmierci właściciela nikt nie spostrzeże ich braku. Ta hipoteza jest grubą nitką szyta i mało prawdopodobna. Uważam więc, że mimo zastrzeżeń pani Bantry co do bielizny pana Curie, możemy jednak uwolnić go od podejrzeń.

Co do panny Wye. Nie miała żadnego motywu, by otruć sir Ambrose'a. Ale miała inny motyw, i to silny. Chciała odbić Sylvii narzeczonego i bez zbytnich skrupułów dążyła do tego, jak wynikało z opowiadania pani Bantry. Była tamtego ranka z Sylwią w ogrodzie, miała więc okazję, by nazbierać trujących liści. Nie, panny Wye nie możemy za prędko wykreślić z listy podejrzanych.

Dalej, młody Lorimer. Miał motyw, by zabić w obydwu wypadkach. Pozbywając się Sylvii mógłby poślubić tę, którą kochał naprawdę. Czy musiał się jednak posuwać aż do zabójstwa? Przecież zerwanie zaręczyn jest dzisiaj na porządku dziennym. Gdyby zaś zabił sir Ambrose'a, zyskiwał dużo, bo żeniłby się wtedy z bogatą spadkobierczynią majątku jej opiekuna. Może to byłby ważny trop, zależy wszystko od stanu jego finansów. Jeśli jego majątek był zadłużony i obciążony hipotecznie, a pani Bantry celowo ukryła przed nami ten fakt, będę miał do niej poważne pretensje.

I wreszcie pani Carpenter, co do której mam pewne podejrzania. Jej nieskazitelnie białe ręce to jedno, a drugie to wspaniałe alibi na czas, kiedy zbierano liście. Nigdy nie wierzę ludziom, którzy zdają się niewinni, bo mają niepodważalne alibi. Mam jeszcze inny powód, by ją podejrzewać, ale to na razie zatrzymam przy sobie.

W każdym razie, gdybym miał typować, to wybrałbym Maud Wye jako najbardziej podejrzaną z nich wszystkich, bo przeciwko niej jest najwięcej obciążających poszlak.

— Następny, proszę — zarządziła pani Bantry wskazując na doktora Lloyda.

— Uważam, że nie ma pan racji, Clithering, upierając się przy wersji zabójstwa dziewczyny jako zamierzonym przez mordercę. Jestem przekonany, że zabójca mierzył w sir Ambrose'a. Nie sądzę, by młody Lorimer miał wystarczającą wiedzę, by próbować otrucia.

Wygląda mi to raczej na panią Carpenter. Mieszkała razem z nimi tak długo, że była w stanie zorientować się dokładnie co do stanu zdrowia sir Ambrose'a, i mogła tak pokierować Sylvią, by sama zebrała trujące liście nie wiedząc o tym. Zwłaszcza że nie grzeszyła nadmiarem inteligencji, jak twierdzi pani Bantry. Przyznaję, nie widzę, jakim motywem mogła się kierować pani Carpenter, ale zaryzykowałbym przypuszczenie, że sir Ambrose sporządził

kiedyś w przeszłości inny testament, w którym zapisał jej jakąś sumę. To już wszystko, co mam do powiedzenia.

Pani Bantry wskazała palcem na Jane Helier.

— Chcę zapytać tylko o jedno — zaczęła aktorka. — Dlaczego Sylvia nie mogła być morderczynią? To przecież ona przyniosła liście do kuchni. A pani mówiła, że sir Ambrose sprzeciwiał się jej małżeństwu z panem Lorimerem. W razie jego śmierci dziedziczyłaby pieniądze i mogła natychmiast wyjść za mąż. A wiedziała o chorobie sir Ambrose'a równie dobrze jak pani Carpenter.

Palce pani Bantry przesunął się w wolna w kierunku panny Marple.

— Słuchamy, Znacznicy Natury Ludzkiej.

— Sir Henry tak zgrabnie to wszystko wyłożył, naprawdę — rzekła starsza pani. — I doktor Lloyd miał wiele racji w tym, co powiedział. Obydwaj wyjaśnili wszystko tak przejrzyście. Tylko wydaje mi się, że doktor Lloyd niezbyt dobrze uświadomił sobie pewien aspekt sprawy. Widzicie, nie leczył osobiście sir Ambrose'a, nie mógł więc wiedzieć, na jaką chorobę serca cierpiał, prawda?

— Nie wiem, o czym pani mówi — rzekł doktor Lloyd.

— Pan założył, że działanie digitalisem na serce sir Ambrose'a mogło się skończyć tragicznie. Ale nie ma na to żadnego dowodu. Mogło być zupełnie odwrotnie.

— Odwrotnie??

— Tak, przecież sam pan powiedział, że digitalis często jest stosowany przez lekarzy przy schorzeniach serca.

— Nawet gdyby tak było, nie rozumiem, do czego pani zmierza?

— No cóż, zmierzam do tego, że zabójca miał pod ręką digitalis w czystej postaci jako lekarstwo, nie musiał więc go szukać. Pewnie znowu wyrażam się niejasno, ale staram się powiedzieć, że najprostszym i najłatwiejszym sposobem otrucia kogoś jest zatrucie wszystkich w domu, powiedzmy liśćmi naparstnicy. Nikt nie umrze poza jedną z góry wybraną osobą, a jej śmierć nie będzie czymś nadzwyczajnym, gdyż trujące substancje działają bardzo różnie, w zależności od organizmu. Sam doktor Lloyd tak twierdzi. Nikomu nie przyszłoby do głowy pytać, czy dziewczyna rzeczywiście zmarła na skutek dawki digitalisu, którą mogły zawierać liście. A zabójca mógł przecież wlać truciznę do koktajlu lub kawy albo też podać ją zmieszaną z tonikiem.

— Pani więc uważa, że to sir Ambrose otruł swą wychowanicę, to urocze stworzenie, które tak

bardzo kochał??!

— Nie inaczej — stwierdziła ze spokojem panna Marple. — Tak samo jak pan Barger otruł swą młodziutką gospodynię. Nikt mi nie wmówi, że mężczyzna sześćdziesięcioletni nie może pokochać dwudziestoletniej dziewczyny. To prawie na porządku dziennym. W

wypadku zaś sir Ambrose’a, gentlemana w starym stylu, uczucie mogło nim zawładnąć w szczególny sposób. Taka późna miłość kończy się niekiedy szaleństwem. Nie mógł się pogodzić z myślą o jej małżeństwie, robił, co tylko mógł, by temu przeszkodzić — i wszystko na próżno. Zazdrość tak go opętała, że wolał ją zabić niż widzieć żoną młodego Lorimera.

Musiał to planować długo naprzód, by naparstnica zdążyła wyrosnąć jednocześnie z liśćmi szałwi. Gdy nadszedł czas zbrodni, sam zebrał trujące liście digitalisu i posłał Sylwię z tym do kuchni. To straszne, co zrobił, ale uważam, że musimy spojrzeć na jego występki tak miłosiernie, jak tylko potrafimy. Gentlemani w podeszłym wieku tracą niekiedy głowę, gdy w grę wchodzi młode dziewczęca. Nasz organista, na przykład... Hola, hola, nie wolno plotkować!

— Pani Bantry, czy to tak było?! — komisarz nie mógł wprost w to uwierzyć.

Żona pułkownika potwierdziła skinieniem głowy.

— Tak. Nie miałam o niczym bladego pojęcia, zawsze sądziłam, że to był nieszczęśliwy wypadek. Ale gdy sir Ambrose zmarł, przyszedł do mnie list, bo takie polecenie wydał przed śmiercią pan Bercy. W tym liście wyznał całą prawdę. Zupełnie tego nie rozumiem, a on i ja zawsze świetnie rozumieliśmy się.

Po tym stwierdzeniu zapadła kłopotliwa cisza. Pani Bantry wyczuła pewnie ogólną konsternację, bo powiedziała pospiesznie:

— Myślicie, że zdradziłam jego zaufanie, ale się mylicie. Zmieniłam wszystkie nazwiska, on także nie nazywał się Bercy. Czy nie widzieliście, jaką Arthur zrobił głupią minę, gdy zaczęłam opowiadać o jakimś sir Ambrosie? Z początku nie rozumiał, o co mi chodzi.

Zmieniłam wszystko, co tylko się dało. W czasopiśmie lub na początku książki pisze nieraz:

„wszystkie postacie występujące w niniejszej historii są fikcyjne”. Tak i wy nigdy nie będziecie wiedzieć, o kogo chodziło.

Wypadek w bungalowie

— Coś mi się przypomniało — zaczęła Jane Helier. Jej piękną twarz rozjaśnił ufny uśmiech dziecka, które oczekuje pochwały. Ten właśnie uśmiech poruszał do głębi całą widownię co wieczór w londyńskim teatrze, a fotografom wypychał kieszenie pieniędzmi.

— To zdarzyło się mojej przyjaciółce — zaasekurowała się aktorka.

Zebrani zachęcali ją do opowiadania okrzykami, w których było sporo fałszu, wszyscy bowiem jak jeden mąż (pułkownik Bantry, jego żona, sir Henry Clithering, doktor Lloyd i panna Marple) byli przekonani, że ta „przyjaciółka” to po prostu Jane we własnej osobie.

Piękna aktorka nie zwróciłaby najmniejszej uwagi na sprawę tyczącą kogoś innego, a tym bardziej nie zaprzętałaby sobie pamięci czymś takim.

— Moja przyjaciółka, której nazwiska nie chcę wymieniać, była aktorką, i to znaną aktorką...

Nikt nie okazał najmniejszego zdziwienia, a sir Henry pomyślał w duchu: „Ciekawe, ile zdań powie, zanim się jej nie wyrwie „»ja« zamiast »ona«,„.

— Rok czy dwa lata temu moja przyjaciółka grała w objazdowym teatrze. Myślę, że będzie lepiej, gdy nie wymienię nazwy tego miejsca. Było to w mieście leżącym nad rzeką, niedaleko Londynu. Przyjmijmy, że nazwiemy to miasto...

Urwała, a jej brwi ściągnęły się w głębokim namyśle. Wymyślenie choćby najprostszej nazwy zdawało się przekraczać jej możliwości umysłowe. Sir Henry znów pospieszył z pomocą.

— Może Riverbury? — zaproponował bez uśmiechu.

— Och, tak! Świetnie! Riverbury, zapamiętam na pewno. No więc, jak już powiedziałam, moja przyjaciółka przebywała w Riverbury wraz z całym zespołem i zdarzyło się jej tam coś bardzo dziwnego.

Brwi aktorki znowu ściągnęły się w jedną linię.

— Bardzo trudno mówić tak, żeby opowiadanie wypadło dobrze. Tak łatwo pomieszać fakty albo zacząć od niewłaściwego punktu.

— Świetnie pani idzie — zachęcał ją doktor Lloyd. — Proszę mówić dalej.

— No więc, zdarzyło się coś dziwnego. Po moją przyjaciółkę przyszli policjanci i wezwali ją na posterunek. Okazało się, że w bungalowie nad brzegiem rzeki dokonano włamania i aresztowano młodego człowieka, który opowiedział przedziwną historię. Wobec tego posłano po nią. Nigdy przedtem nie była na policji, ale wszyscy byli tam dla niej bardzo, bardzo mili.

— Nie wątpię — mruknął sir Henry.

— Sierżant, bo chyba to był sierżant, a może inspektor, podał jej krzesło i wyjaśnił, o co chodzi, i oczywiście natychmiast spostrzegłam, że to jedna wielka pomyłka...

„Acha, tu cię mamy. Ja! A więc się nie myliłem” — pomyślał w duchu sir Henry.

— Tak powiedziała moja przyjaciółka — ciągnęła dalej Jane zupełnie nieświadoma, że już się zdradziła.

— Wyjaśniła, że w tym czasie odbywała próbę ze swoją garderobianą w hotelu i nigdy nie słyszała nawet o panu Faulkenerze. Wtedy sierżant przedstawił ich sobie.

— „To panna Hel”...

Urwała nagle i zaczerwieniła się.

— Panna Helman — podsunął sir Henry porozumiewawczo mrużąc oko.

— Tak, właśnie. Dziękuję. A więc powiedział — „Cóż, panno Helman, czułem przez skórę, że musiała zajść jakaś pomyłka, bo wiem, że zatrzymała się pani w Bridge Hotel”.

Potem zapytał mnie, czy nie miałabym nic przeciwko konfrontacji. Czy było to już w czasie konfrontacji, nie pamiętam dokładnie.

— To nie ma większego znaczenia — zapewnił komisarz.

— W każdym razie chodziło o tego młodego człowieka. Oczywiście zgodziłam się na konfrontację, a wtedy wprowadzono go i policjant przedstawił nas sobie: „To jest panna Helier, a to...” Och! — urwała Jane patrząc na nas z otwartymi ustami.

— Nic nie szkodzi, moja miła — pocieszyła ją panna Marple. — To nie przeszkodzi nam w rozwiązywaniu zagadki. Przecież nie podała pani ani miejsca, ani żadnych konkretnych szczegółów.

— No, dobrze, choć naprawdę chciałam przypisać tę historię komuś innemu. Ale to takie trudne, czyż nie? Tak łatwo się zapomnieć, gdy mówi się cały czas w trzeciej osobie.

Każdy z zebranych zgodził się z tym, a pocieszona i zachęcona Jane ciągnęła dalej swoje opowiadanie, któremu daleko było jednak do tego, co nazywamy porywającą narracją.

— Był przystojnym mężczyzną, naprawdę przystojnym. Młody, z lekka rudawymi włosami. Na mój widok rozdziawił usta. Gdy sierżant zapytał, czy to mnie widział, zaprzeczył, a nawet nazwał siebie osłem. Uśmiechnęłam się do niego i zapewniłam, że nic złego się nie stało.

— Mogę sobie z łatwością wyobrazić tę scenę — rzekł sir Henry.

Jane znów zmartwiła się i nachmurzyła.

— Chwileczkę... No i co mam teraz mówić?

— A może powiedziałyby nam pani, o co w tym wszystkim chodziło? — poddała panna Marple tak miłym głosem, że nikomu nawet do głowy nie przyszło, by posądzić ją o ironię.

— Mam na myśli, na czym polegała pomyłka tego młodego człowieka i fakt włamania.

— Och, tak — podjęła Jane. — No więc widzicie, ten młody mężczyzna — Leslie Faulkener, to jego nazwisko — napisał sztukę. W gruncie rzeczy nie była jedyną, jaką napisał, ale jego sztuki jeszcze nie były wystawiane. A tę ostatnią wysłał mi do przeczytania.

Nie wiedziałam o tym, przychodzą do mnie dziesiątki różnych sztuk, ale osobiście czytam tylko te, o których już coś wiem. Tak czy inaczej, wyglądało na to, że przeczytałam ją i wysłałam do niego list, ale to właściwie zrobił ktoś inny, rozumiecie...

Zebrani oświadczyli chórem, że wszystko jest zupełnie jasne.

— W tym liście podobno odpisałam, że czytałam jego sztukę, Bardzo mi się miała podobać, wobec czego zaprosiłam go na rozmowę. Podałam też swój adres — bungalow w Riverbury. Ogromnie zadowolony pan Faulkener zjawił się tam. Gdy pokojówka otworzyła drzwi, zapytał o pannę Helier, ona zaś odparła, że pani jest i oczekuje w bawialni. Tam też przyszła jakaś kobieta podając się za mnie. Przyjął to bez zdziwienia, co wydaje mi się trochę dziwne, bo ostatecznie widział mnie na scenie, a poza tym moje fotografie ukazują się tak często, prawda?

— Jak Anglia długa i szeroka — szybko potwierdziła pani Bantry. — Pamiętaj jednak, że jest duża różnica między fotografią a żywym człowiekiem, moja kochana. Tak samo, jak jest różnica między wyglądem aktora na scenie i w życiu prywatnym. I nie każdej aktorce udaje się sprostać temu testowi tak dobrze, jak tobie, wiedz o tym.

— Cóż, może i tak — powiedziała Jane, której próżność została mile polechtana. — W

każdym razie ten młody człowiek opisał kobietę jako wysoką, jasnowłosą, z dużymi niebieskimi oczami i świetnie się prezentującą, co zgadza się z moim wyglądem. Nie miał

absolutnie żadnych wątpliwości, że chodzi o mnie. Ona tymczasem usiadła i zaczęła mówić o sztuce, gdyż — jak powiedziała — czekała na tę chwilę niecierpliwie. Podczas rozmowy podano koktajle. Wypił jeden i w gruncie rzeczy tylko to pamięta. Gdy się obudził i przyszedł

do siebie, stwierdził, że leży na poboczu szosy tak, by nie zrobiły mu krzywdy przejeżdżające samochody. Czuł się bardzo źle, był rozdygotany do tego stopnia, że gdy już stanął na nogi, zaczął iść przed siebie, nie bardzo wiedząc dokąd. Gdyby był bardziej przytomny wróciłby z powrotem do bungalowu, by dowiedzieć się, co się w rzeczywistości stało. Otumaniony i rozkojarzony, szedł drogą nie wiedząc, gdzie i po co. W momencie gdy aresztowała go policja, zaczynał dopiero powoli przytomnieć.

— Dlaczego go aresztowano? — spytał doktor Lloyd.

— Och, nie mówiłam tego? — otworzyła szeroko ze zdumienia oczy Jane. — Jak niemądrze z mojej strony. Chodziło o włamanie.

— Wspomniałaś o włamaniu, ale nie podałaś żadnych konkretów — rzekła pani Bantry.

— No więc, ten bungalow, do którego wszedł, nie był oczywiście mój. Należał do człowieka, który nazywał się...

Czoło Jane znowu pokryły zmarszczki głębokiego namysłu.

— Jeszcze raz mam się zabawić w ojca chrzestnego? — zapytał sir Henry. —

Pseudonimy za darmo! Proszę opisać tego człowieka, a ja znajdę mu odpowiednie nazwisko.

— To był bardzo zamożny pan z miasta — kawaler orderu.

— Może sir Herman Cohen? — poddał komisarz Clithering.

— Świetne nazwisko! Otóż wynajął on ten dom dla pewnej aktorki, żony aktora tak samo jak ona.

— Aktora nazwiemy Claud Leason — zdecydował sir Henry. — A ta dama z pewnością została przy panińskim nazwisku, jak sądzę. Będzie więc Mary Kerr.

— Pan jest naprawdę niezastąpiony — zachwyciła się Jane. — Zupełnie nie wiem, jak to się dzieje, że tak łatwo przychodzą panu do głowy nazwiska. Widzicie, ten domek służył do weekendowych spotkań dla sir Hermana — mówił pan Herman? — i tej damy. No i oczywiście jego żona nic o tym nie wiedziała.

— Żony zawsze dowiadują się ostatnie — wtrącił sir Henry.

— Ofiarował tej aktorce sporo biżuterii, między innymi piękne szmaragdy.

— Oho, zbliżamy się do sedna sprawy — rzekł doktor Lloyd.

— Biżuterię trzymano w bungalowie, zamkniętą po prostu w szkatułce. Policja orzekła, że to karygodny brak ostrożności. Każdy mógł mieć do niej dostęp.

— Widzisz, Dolly? A co ja ci zawsze powtarzam? — wtrącił pułkownik Bantry.

— No, z własnego doświadczenia wiem, że ci, co są przesadnie ostrożni, zawsze właśnie tracą. Ja swojej biżuterii nie zamykam po szkatułkach, trzymam ją po prostu w szufladzie pod pończochami. Mogę się założyć, że gdyby — jak to jej było? — Mary Kerr zrobiła tak samo, nigdy by jej nie straciła.

— Straciłaby — zaprzeczyła Jane Helier. — Wszystkie szuflady były przetrząśnięte, a rzeczy na podłodze.

— Wobec tego nie szukano biżuterii — powiedziała z przekonaniem pani Bantry. —

Szukano sekretnych dokumentów. Tak dzieje się zawsze w książkach.

— Nic mi nie wiadomo o żadnych dokumentach — powątpiewała Jane.

— Proszę sobie nie przerywać, panno Helier — rzekł pułkownik Bantry. — Nie trzeba brać dzikich pomysłów Dolly zbyt poważnie.

— Mówiła pani o włamaniu — odpowiedział sir Henry.

— Tak. No więc policja została zawiadomiona o włamaniu przez kogoś, kto się przedstawił jako Mary Kerr. Powiedziała, że włamano się do bungalowu, i podała opis młodego mężczyzny o rudych włosach, który był tam rano w dniu włamania. Jej pokojówka nie wpuściła go do domu, bo wydał się jej jakiś dziwny. Później widziała go, jak wychodził

oknem z domku. Opisała rabusia tak dokładnie, że policja schwytała go godzinę później, a on opowiedział o tym, co mu się zdarzyło, pokazując ten list ode mnie. Jak już mówiłam, policja przysłała po mnie, ale gdy mnie zobaczył, stwierdził, że to był ktoś zupełnie inny.

— Zdziwiająca historia — orzekł doktor Lloyd. — Czy ten Faulkener znał Mary Kerr?

— Nie, a w każdym razie tak twierdził. Jeszcze nie opowiedziałam najdziwniejszej części tej sprawy. Policja przyjechała na miejsce przestępstwa i oczywiście zastali wszystko tak, jak zostało opisane — szuflady wyciągnięte, brak biżuterii, a w bungalowie żywej duszy. Kilka godzin później przyjechała panna Kerr i powiedziała, że absolutnie nie dzwoniła na policję i że pierwszy raz w ogóle o tym słyszy. Wynikało z tego, co mówiła, że otrzymała telegram od swojego menedżera, który zaproponował jej główną rolę i prosił o spotkanie. Pospiesznie więc udała się do miasta, by się z nim zobaczyć. Gdy przysłała na miejsce, okazało się, że całe to zaproszenie było sfingowane i nie wysyłano żadnego telegramu.

— Typowy podstęp, by usunąć ją z domu — skomentował sir Henry. — A co ze służbą?

— Usunięto ją w podobny sposób. Rzekoma panna Kerr zadzwoniła do pokojówki i poleciła jej, by przywiozła torebkę, którą trzymała w szufladzie w sypialni. Miała złapać najwcześniejszy pociąg jadący w tamtą stronę. Pokojówka tak oczywiście zrobiła, uprzednio zamknąwszy dom na klucz. Gdy zaś przysłała na spotkanie z panną Kerr, okazało się, że przyjechała na próżno. Czekala na nią, ale jej pani nie przysłała.

— Hm... — mruknął sir Henry. — Zaczyna mi coś świtać. Dom był pusty, a wejście przez okno nie sprawiało większego kłopotu, jak mi się wydaje. Ciągle jednak nie wiem, jaka w tym wszystkim jest rola Faulkenera. Kto zawiadomił policję, jeśli nie zrobiła tego panna Kerr?

— Tego nikt nie wie.

— Dziwne — powiedział sir Henry. — Czy przypadkiem ten młody człowiek nie podał się za kogoś innego?

— Nie, był w zupełnym porządku. Miał nawet przy sobie list, który rzekomo ja miałam napisać. To nie był mój charakter pisma, nawet nie podobny. Ale wtedy, gdy go dostał, nie mógł o tym wiedzieć.

— Cóż, zbierzmy więc fakty — podjął komisarz Clithering. — Proszę mnie poprawiać, jeśli się pomylę. Z domu usunięto zarówno pannę Kerr, jak i jej pokojówkę. Tego młodzieńca zwabiono tam podrabianym listem, a fakt ten ma szczególny smaczek, gdy się zważy, że rzekomo prawdziwa jego autorka — panna Helier — grała wówczas w tym mieście.

Faulkener został unieszkodliwiony narkotykiem, a policja zawiadomiona o włamaniu kieruje na niego podejrzenia. Włamanie zdarzyło się w rzeczywistości, a biżuterię zrabowano, czy tak?

— Tak — potwierdziła Jane.

— Nie odnaleziono jej?

— Nie, nigdy. Sądzę, że sir Herman sprawę chciał zatuszować, ale niewiele zdołał zrobić, gdyż żona dowiedziała się o jego romansie i wystąpiła o rozwód. Nie jestem tego jednak pewna.

— A co się stało z panem Faulkenerem?

— W końcu go uwolniono. Policja nie miała przeciw niemu jednoznacznych dowodów.

Czy nie sądzicie, że cała ta sprawa jest przedziwna?

— Zdecydowanie tak. Po pierwsze, czyjemu zeznaniu można wierzyć? Zauważyłem, że pani, panno Helier, skłonna jest wierzyć panu Faulkenerowi. Czy kieruje się pani innymi względami poza intuicją?

— Nie... — z ociąganiem przyznała Jane. — Chyba nie. Ale on był taki miły, gdy przeproszał mnie za pomyłkę, że zyskałam pewność, iż na pewno mówił prawdę.

— Rozumiem — odrzekł komisarz i uśmiechnął się nieznacznie. — Lecz musi pani przyznać, że z łatwością mógł wymyślić całą tę historię. Mógł sam napisać list, który rzekomo otrzymał od pani. Mógł też sam zadenuncjować się na policję. Przyznaję, że nie widzę, gdzie tkwi sedno tej sprawy. Łatwo mógł wejść do domu, obrabować i zniknąć —

chyba że zauważył go ktoś z sąsiedztwa, a on się zorientował, że jest obserwowany. Wówczas pospiesznie wymyślił cały plan swojej niby to winy, by odwrócić od siebie podejrzenie i wytłumaczyć tym samym obecność w tej okolicy.

— Czy był zamożny?

— Nie wydaje mi się — odparła Jane. — Nie, chyba źle mu się wiodło.

— Cała sprawa wydaje mi się dziwna — rzekł doktor Lloyd. — Muszę przyznać, że jeśli przyjmiemy wersję tego młodego człowieka za prawdziwą, ta cała sprawa gmatwa się jeszcze bardziej. Po co kobieta, która podaje się za pannę Helier, miałaby wciągać tego człowieka w kłopoty? W jakim celu

miałaby aranżować tę historię?

— Powiedz mi, Jane — wtrąciła pani Bantry. — Czy młody Faulkener miał możliwość widzenia panny Kerr całkiem z bliska kiedykolwiek przedtem?

— Nie mam pojęcia — powoli odpowiedziała panna Helier i zmarszczyła brwi, gdy starała sobie przypomnieć.

— Bo jeśli nie, to było to tak! — z przekonaniem zaczęła dowodzić pani Bantry. —

Jestem całkowicie pewna, że tym razem mam rację. Cóż łatwiejszego, niż udawać, że jest się telefonicznie wezwanym do miasta? Potem zadzwonić do pokojówki ze stacji Paddington lub jakiegokolwiek innej i wezwać ją do przyjazdu, podczas gdy panna Kerr spiesznie wraca do bungalowu. Młody człowiek przychodzi na umówione spotkanie, wypija koktajl z rozmieszonym narkotykiem, ta kobieta zaś robi scenerię włamania rozrzucając rzeczy naokoło. Następnie dzwoni na policję, daje rysopis swego kozła ofiarnego i znów wyrusza do miasta. Później wraca do domu i robi z siebie chodzącą niewinność.

— Ale dlaczego miałaby rabować swoje własne klejnoty? — powątpiewał pułkownik Bantry.

— Takie kobiety jak ona zawsze to robią — rzuciła zdecydowanie jego żona. — Potrafię wam podać setki powodów. Możliwe, że potrzebowała natychmiast gotówki, a stary sir Herman nie chciał jej dać pieniędzy — udaje więc, że obrabowano ją z biżuterii, którą sama opchnie na lewo. Może była szantażowana i zagrożono jej ujawnieniem ich romansu jej mężowi lub żonie sir Hermana. A może sprzedała biżuterię już wcześniej, a że sir Herman nalegał na pokazanie mu jej, sfingowała włamanie, by uzasadnić jej brak. Tak właśnie dzieje się przeważnie w książkach. Niewykluczone, że sir Herman upominał się o klejnoty, a ona zastąpiła już wcześniej prawdziwą biżuterię dobrze wykonaną imitacją. Albo — niezły pomysł i rzadko wykorzystywany przez autorów książek — udaje, że została okradzona w nadziei, że kochanek kupi jej nowe klejnoty, by nie dopuścić do jej rozpacz. Tymczasem ona wzbogaci się podwójnie. Kobiety tego pokroju świetnie potrafią udawać.

— Dobrze to wymyśliłaś, Dolly — powiedziała z podziwem w głosie Jane. — Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy.

— Może i dobrze, ale Jane nie twierdzi wcale, że masz rację — nie dowierzał talentom żony pułkownik Bantry. — Skłonny jestem podejrzewać tego miastowego bogacza.

Wiedziałyby, co trzeba napisać w telegramie, by usunąć z pola widzenia tę aktorkę. A sam dokonałby reszty z pomocą swojej nowej przyjaciółki. Nikt nie pomyślał, by zapytać go o alibi.

— A co pani sądzi, panno Marple? — spytała Jane odwracając się w kierunku starszej pani, która siedziała cicho, ale jej zmarszczone czoło wskazywało, że intensywnie nad czymś myśli.

— Moja droga, naprawdę nie wiem co powiedzieć. Sir Henry będzie się zapewne śmiał, ale tym razem nie pomoże mi żadna podobna historia, jaką znam. Oczywiście, jest parę pytań, które nasuwają się same. Na przykład, służba. W takim... hm... nielegalnym związku, jak to panna Helier

przedstawiła, zatrudniona służąca musiała się orientować w sytuacji. Wydaje mi się, że prawdziwe uczciwa dziewczyna nie przyjęłaby pracy u takich ludzi. Jej matka nie pozwoliłaby na to. Myślę więc, że możemy przyjąć tę dziewczynę jako niezbyt godną zaufania. Mogła współpracować ze złodziejami. Zostawiła drzwi otwarte i spokojnie pojechała do Londynu, choć zdawała sobie sprawę, że telefon jest fałszywy. Ale tym odwróciła od siebie uwagę. Muszę przyznać, że takie rozwiązanie wydaje mi się bardzo prawdopodobne. Ale jeśli to byli zwykli złodzieje, to wątpię, by aż tak przebiegle ułożyli to wszystko. Nie, w tym wypadku ktoś z głową na karku to zorganizował, a nie wygląda mi to na służącą.

Panna Marple urwała na chwilę, a potem ciągnęła dalej w zamyśleniu.

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że cała ta sprawa opiera się na czyimś osobistym odczuciu. Na przykład może ktoś żywił jakąś urazę? Może ta aktorka nie była dobrze traktowana? Czy nie sądzicie, że to wyjaśniłoby sprawę lepiej? Świadome działanie, by wpędzić kochankę w kłopoty. Na to wygląda, ale jest jednak coś, co mnie nie zadowala całkowicie...

— A pan, doktorze, nic nie mówił — zwróciła się Jane do pana Lloyd'a. — Byłabym o panu zapomniała.

— Taki już mój los — odparł ze smutkiem lekarz. — Widocznie trudno mnie zauważyć.

— Ależ, co pan mówi — obruszyła się Jane. — Proszę nam powiedzieć, co pan sądzi na ten temat?

— Jestem w takiej sytuacji, że mógłbym się zgodzić z każdym z was, a równocześnie z nikim. Osobiście mi się wydaje, choć to pewnie błędna teoria, że żona miała coś z tym wspólnego. To znaczy, żona sir Hermana. Nie mam żadnych podstaw, by tak sądzić, ale gdybyście wiedzieli, na jakie niesamowite rzeczy stać żony, które czują się skrzywdzone!

— Och, doktorze! — zawołała nagle ożywiona panna Marple. — Jak mądrze z pana strony. Zupełnie bym zapomniała o biednej pani Pabmarsh.

Jane wlepiała w nią wzrok.

— Pani Pabmarsh? Kto to taki?

— No, nie wiem, czy ona dobrze pasuje do tej sytuacji... — zawahała się. — Jest praczką.

Ukradła przypiętą do bluzki spinkę z opalem i ukryła ją w domu kogoś innego.

Jane miała zbaraniałą minę bardziej niż kiedykolwiek.

— I to właśnie wyjaśnia pani całą sprawę, panno Marple? — zapytał sir Henry jak zwykle z przymrużeniem oka, ale ku jego wielkiemu zdziwieniu panna Marple potrząsnęła przecząco głową.

— Obawiam się, że niestety nie. Muszę przyznać, że nic nie przychodzi mi do głowy. Z

czego jednak dobrze zdaję sobie sprawę, to z tego, że kobiety muszą trzymać się razem. W

sytuacji zagrożenia powinno się brać stronę własnej płci. I uważam, że taki jest morał

opowieści panny Helier.

— Muszę przyznać, że etyczna strona tej zagadki zupełnie uszła mojej uwadze —

zauważył komisarz posepnie. — Być może zdam sobie lepiej z tego sprawę, gdy panna Helier wyjawi nam rozwiązanie tej historii.

— Proszę? — Jane wyglądała na zaskoczoną.

— Z moich obserwacji wynika, że — jak mówią dzieci — musimy poddać grę. Pani i tylko pani, panno Helier, ma zaszczyt przedstawić rozwiązanie absolutnej łamigłówki, której nie podołała nawet panna Marple.

— Wszyscy się poddajecie? — upewniała się Jane.

— Tak.

Zapadła chwila ciszy, po czym jeszcze raz podniósł przemówił sir Henry.

— Jakby to powiedzieć, stoimy przy swoich próbnym rozwiązaniach lub padniemy razem z nimi. Mężczyźni jeden raz, panna Marple dwa razy, a kilkanaście razy pani B.

— Wcale nie kilkanaście — sprzeciwiła się pani Bantry. — To były warianty tego samego wątku. I ile razy mam panu powtarzać, że nie jestem żadną panią B.?!

— A więc wszyscy się poddajecie — powiedziała w zamyśleniu Jane. — To bardzo ciekawe. — Odchyliła się do tyłu na krześle i zaczęła polerować paznokcie, jakby w roztargnieniu.

— No — rzekła pani Bantry. — Mówże, Jane. Jakie jest rozwiązanie?

— Rozwiązanie??

— No, tak. Jak to było naprawdę?

Jane wlepiała w nią wzrok.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparła.

— Co??!

— Ja też jestem ciekawa. Sądziłam że jesteście na tyle sprytni, by mnie wyjaśnić tę sprawę.

Każdy walczył z ogarniającą go irytacją. Bardzo dobrze, że Jane była nadzwyczaj piękna.

W tym momencie jednak wszyscy czuli, że głupota jej posunęła się za daleko. Nawet największa uroda nie mogła tego usprawiedliwić.

— To znaczy, że nie zna pani prawdy? — wołał się upewnić sir Henry.

— Nie. Dlatego właśnie sądziłam, że ktoś będzie w stanie podać ją mnie. — Jane była najwyraźniej urażona. Było jasne dla wszystkich, że czuła się dotknięta.

— No cóż, ja... ja... — chciał coś powiedzieć pułkownik Bantry, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

— Jesteś paskudna, Jane — wybuchnęła jego żona. — W każdym razie jestem pewna i zawsze będę, że ja miałam racje. A gdybyś ujawniła prawdziwe nazwiska tych ludzi, byłabym zupełnie pewna.

— Sądzę, że nie mogę tego zrobić.

— Tak, droga pani. Panna Helier nic nie może powiedzieć — poparła ją panna Marple.

— Ależ, oczywiście, że by mogła — upierała się pani Bantry. — Nie zadzieraj nosa, Jane. Starsza generacja też lubi trochę poplotkować. Przynajmniej powiedz, kim był ten bogacz z miasta.

Jane jednak potrząsnęła przecząco głową, a panna Marple na swój staroświecki sposób podtrzymała jej decyzję.

— To chyba była bardzo kłopotliwa sprawa — zagadnęła starsza pani.

— Nie — odparła prawdomównie Jane. — Sądzę, że raczej nieźle się bawiłam.

— Być może tak — powiedziała panna Marple. — Myślę, że było to miłym odskokiem od monotoni. W jakiej sztuce grała pani wtedy?

— W *Smithie*.

— Och, tak. To jedna ze sztuk Somerseta Maughama, prawda? Uważam, że wszystkie jego sztuki są bardzo mądre. Widziałam prawie wszystkie.

— Będziecie ją powtarzać tej jesieni w programie objazdowym, prawda? — spytała pani Bantry.

Jane potwierdziła.

— No — powiedziała panna Marple podnosząc się z krzesła. — Pora wracać do domu.

To był naprawdę uroczy wieczór. Wydaje mi się, że historia panny Helier zdobywa pierwsze miejsce. Czy zgadzacie się ze mną?

— Przykro mi, że zezłościłście się na mnie — rzekła Jane. — To znaczy, że nie podałam rozwiązania tej sprawy. Przyznaję, że powinnam była uprzedzić o tym wcześniej.

Jane mówiła jakby w zamyśleniu. Doktor Lloyd sprostął sytuacji z właściwą sobie galanterią.

— Droga młoda damo, dlaczego pani mówi, że powinna? Dostarczyła nam pani takiej zagadki, że wszyscy połamaliśmy na niej zęby. To nam jest przykro, że nikt nie zdołał

odgadnąć prawdy.

— Nie pan mówi za siebie — włączyła się pani Bantry. — Ja ją rozwiązałam. Jestem pewna, że miałam rację.

— Wiesz, Dolly, mnie naprawdę trafiło do przekonania to, co powiedziałaś na ten temat

— poparła ją Jane. — Brzmiało to bardzo prawdopodobnie.

— A do której z siedmiu teorii pani Bantry chce się pani odwołać? — drocząc się zapytał

sir Henry.

Doktor Lloyd, uprzejmy jak zwykle, pomógł panie Marple włożyć kalosze.

— Ubrałam je na wszelki wypadek — wyjaśniła starsza pani, którą miał odprowadzić do jej staroświeckiego domku. Owinięta w kilka wełnianych szali panna Marple jeszcze raz życzyła wszystkim dobrej nocy. Na końcu podeszła do Jane Helier i pochylając się ku niej szepnęła coś aktorce do ucha. Pełna zaskoczenia „Och!” wyrwało się z ust dziewczyny tak głośno, że pozostali odwrócili głowy w jej kierunku.

Panna Marple wyszła wśród uśmiechów i potakiwań, Jane zaś stała jak wryta patrząc za nią.

— Idziesz spać, Jane? — spytała pani Bantry. — Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Aktorka westchnęła głęboko i opanowała się. Rozdała czarujące uśmiechy dla obu panów i podążyła za panią domu na górę. Pani Bantry weszła za nią do pokoju.

— Ogień na kominku prawie wygasł — rzekła i energicznie poszturchała pogrzebaczem, ale niewiele to dało. — Nigdy nie potrafią po ludzku rozpalić. Jakie te służące głupie! Zdaje mi się, że idziemy dziś późno spać. Do licha, jest już po pierwszej!!

— Jak ci się wydaje, czy ludzie ją lubią? — zapytała Jane. Siedziała na kraju łóżka całkowicie pogrążona w myślach.

— Lubią służącą?

— Nie, chodzi mi o tę śmieszłą staruszkę — jak jej tam, Marple?

— Och! Nie mam pojęcia. Zdaje mi się, że takich jak ona jest wiele w małych miasteczkach.

— O rany, nie wiem teraz, co robić — rzekła Jane. Westchnęła głęboko.

— Co się stało?

— Martwię się czymś.

— Czym? — dociekała pani Bantry.

— Dolly — powiedziała Jane głosem, który brzmiał złowroźnie poważnie. — Czy wiesz, co ta dziwna staruszka szepnęła mi do ucha tuż przed wyjściem?

— Nie wiem. Co takiego?

— Powiedziała: „Nie robiłabym tego na twoim miejscu. Nigdy nie ufaj drugiej kobiecie, nawet jeśli jest ci w danej chwili oddana”. Wiesz, Dolly, to święta prawda.

— Ta maksyma? Być może, ale nie wiem, do czego zmierzasz.

— Wydaje mi się, że rzeczywiście nie można wierzyć kobiecie bez zastrzeżeń. Może cię trzymać w szachu. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

— O jakiej kobiecie mówisz?

— O Necie Greene, mojej garderobianej.

— A cóż, na Boga, ma twoja garderobiana wspólnego z panną Marple?

— Ta staruszka chyba odgadła prawdę. Choć zupełnie nie wiem, jak do tego doszła.

— Jane, czy zechcesz mi łaskawie powiedzieć, o czym mówisz?

— O tej historii, którą wam dzisiaj opowiedziałam. Och. Dolly, ta kobieta — no wiesz, która zabrała mi Clauda!...

Pani Bantry potwierdziła cofając się pamięcią do pierwszego nieudanego małżeństwa Jane z aktorem Claudem Averburym.

— On się z nią ożenił. Przewidywałam, jak się to skończy. Claud nie wie, że ona ma romans z sir Josephem Salomonem i spędza z nim weekendy w bungalowie, o którym ci mówiłam. Chciałabym, żeby się to wydało i żeby każdy wiedział, jakiego to pokroju kobieta.

I widzisz, jeśli byłoby włamanie, wszystko wyszłoby na jaw.

— Jane! — zachłysnęła się pani Bantry. — Czy wykorzystałaś tę historię, którą nam opowiedziałaś?

Jane skinęła głową.

— Dlatego właśnie wybrałam *Smitha* do grania. W tej sztuce noszę strój pokojówki —

mam więc to pod ręką. A gdy wezwą mnie na posterunek policji, to mogę najprościej w świecie zeznać, że byłam cały czas w hotelu, gdzie próbowałam rolę wraz z garderobianą. W

rzeczywistości będziemy w bungalowie. Ja mam tylko otworzyć drzwi i podać koktajle, a Netta uda mi się. On nigdy nie zobaczy jej ponownie, nie ma więc obawy, że ją rozpozna. A ja mogę się ucharakteryzować na służącą. Poza tym nikt się zwykle nie przygląda uważnie służbie, jakby to nie byli również ludzie. Po wszystkim wyciągamy go na drogę, zabieramy szkatułkę z biżuterią, dzwoniemy na policję i wracamy spokojnie do hotelu. Nie chcę, by ten młody człowiek miał kłopoty, ale sir Henry nie brał tego pod uwagę, prawda? A ona znajdzie się na łamach prasy i każdy, nawet Claud zobaczy, jaka naprawdę jest.

Pani Bantry usiadła z wrażenia i jęknęła.

— Och! Moja głowa! Cały więc czas... Jane Helier, ty krętaczu! Pomyśleć tylko, jak opowiadałaś tę historię!!!

— Ja jestem dobrą aktorką — rzekła Jane z zadowoleniem, — I zawsze nią byłam, cokolwiek by ludzie mówili. Ani razu się nie sypnęłam, prawda?

— Wobec tego panna Marple miała rację — wymamrotała pani Bantry. — Pobudki osobiste. No tak, osobiste. Jane, moje dziecko, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że kradzież jest kradzieżą i mogłabyś trafić do więzienia?!

— Cóż, nikt z was nie zgadł — rzekła Jane. — Z wyjątkiem panny Marple. — Jane znowu przybrała zmartwioną minę. — Dolly, jak uważasz, czy takich jak ona jest dużo?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparła pani Bantry.

Jane znów westchnęła.

— Lepiej nie ryzykować. No i oczywiście Netta miałaby mnie w garści. Mogłaby się zwrócić przeciwko mnie, szantażować czy coś takiego. Pomogła mi wprawdzie opracować plan w szczegółach i przysięgła, że będzie mi zawsze oddana, ale z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Nie, panna Marple miała rację, lepiej nie ryzykować.

— Moja droga, żałować teraz już za późno.

— Ależ nie! — Jane otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. — Czy nie rozumiesz? Nic się nie stało. Ja, no, improwizowałam, jakby można rzecz.

— Nie będę się wysilać, by poznać twoje aktorskie wyrażonka — rzekła z godnością pani Bantry. — Czy chcesz powiedzieć, że to dopiero chcesz zrobić, a nie że już zrobiłaś?

— Miałam zamiar wykorzystać ten plan tego roku, we wrześniu. I teraz nie wiem, co robić.

— Panna Marple odgadła prawdę, a jednak nie powiedziała nic — gniewnie rzuciła pani Bantry.

— Myślę, że to z powodu jej przekonania, iż kobiety powinny trzymać się razem. Nie chciała ujawnić moich spraw przed mężczyznami. To bardzo miło z jej strony. A ty, Dolly, i tak mnie nie zdradzisz.

— Ale nie rób tego, Jane. Błagam cię!

— Chyba nie zrobię — wymamrotała Jane Helier. — Może być przecież więcej takich panien Marple...

XIII

Wypadek na moście

Sir Henry Clithering, były komisarz Scotland Yardu, odwiedził swych przyjaciół, pułkownika Bantry z żoną i zatrzymał się u nich. Mieszkali w pobliżu wioski St. Mary Mead.

W sobotę rano, gdy zszedł na śniadanie o dziesiątej piętnaście, porze późniejszej niż zwykle ze względu na pobyt gościa w domu, omal nie zderzył się w drzwiach jadalni z panią Bantry, która wybiegała stamtąd wyraźnie czymś przejęta i podekscytowana.

W jadalni zastał pułkownika siedzącego przy stole z twarzą zaczerwienioną bardziej niż zwykle.

— Dzień dobry, Clithering — powiedział. — Ładny dzień. Siadaj do stołu.

Sir Henry poszedł za jego radą. Przed nim pojawił się talerz z nerczkami na bekonie, gdy tymczasem pułkownik ciągnął dalej.

— Dolly jest dzisiaj trochę podenerwowana.

— Tak i mnie się zdawało — przytaknął sir Henry. Zamyślił się na chwilę. Pani domu miała raczej spokojne usposobienie i niełatwo poddawała się złemu humorowi lub zdenerwowaniu. O ile zdążył się zorientować, jeden tylko temat mógł ją wytrącić aż tak z równowagi — ogrodnictwo, które było jej prawdziwą pasją.

— Tak — powiedział pan Bantry — Zdenerwowała się wiadomością, którą usłyszała dziś rano. O jednej dziewczynie, córce Emmotta, który ma gospodę „Pod Błękitnym Dzikim”.

— Ach, tak, oczywiście.

— Taaak — przeciągając sylaby rzekł pułkownik. — Ładna dziewczyna. Wpadła w kłopoty. Historia, jakich wiele. Posprzeczałem się z Dolly na ten temat. Co za głupota z mojej strony. Kobiety nigdy nie potrafią myśleć logicznie. Dolly jest zupełnie po stronie dziewczyny, wiesz, jak to kobiety plotą, że mężczyźni to nieokrzesane bestie i tym podobne.

A to wcale nie jest takie proste, a w każdym razie nie w dzisiejszych czasach. Dziś dziewczęta wiedzą o tych sprawach wszystko, a gość, który sprowadzi dziewczynę na złą drogę, wcale nie musi być brutalem. I w połowie wypadków nie jest. Lubiłem tego Sandforda.

Wyglądał mi raczej na wyrośniętego dzieciaka niż na Don Juana. Tak bym powiedział.

— To ten, który wpędził dziewczynę w kłopoty?

— Tak by wypadało. Oczywiście, nie wiem nic pewnego — zastrzegł się pułkownik na wszelki wypadek. — To tylko plotki i ludzkie gadanie. Wiesz, co to za miścina! Jak powiedziałem, niczego nie jestem pewny. I w przeciwieństwie do Dolly nie rzucam oskarżeń na prawo i lewo ani nie

zmieniam raz po raz zdania. Do diabła, powinno się uważać, co się mówi. Trzeba poczekać na wyniki śledztwa.

— Śledztwa?

Pułkownik popatrzył na niego zdziwiony.

— Tak. Nie mówiłem ci? Dziewczyna utopiła się. Stąd taki szum koło sprawy.

— Paskudny wypadek — przyznał sir Henry.

— No właśnie. Sam o tym nie mogę myśleć. Biedne, urocze diablątko. Jej ojciec ma mocną rękę. Przypuszczam, że ta mała nie mogła sobie dać rady z tym wszystkim.

Urwał na chwilę.

— I to właśnie tak bardzo martwi Dolly.

— Gdzie się utopiła?

— W rzece. Poniżej młyna jest dość głęboko. Do mostu na rzece biegnie ścieżka. Ludzie mówią, że skoczyła z niego do wody. No cóż, nie da się o tym myśleć spokojnie.

Pułkownik Bantry rozłożył gazetę ze złowieszczym szelestem usiłując odwrócić uwagę od tych przykrych wydarzeń przez skierowanie jej na porcję najnowszych wiadomości i niegodziwościach rządu.

Sir Henry nie za bardzo się przejął miejscową tragedią. Po śniadaniu ulokował się wygodnie na krześle przed domem, wcisnął kapelusz głębiej na oczy i rozmyślał nad przyjemnościami życia. Około pół do dwunastej miła sjesta została przerwana przez schludnie wyglądającą pokojówkę, która cicho podeszła przez trawnik.

— Przepraszam pana, ale przyszła panna Marple i chciałyby rozmawiać z panem.

— Panna Marple?

Sir Henry usiadł i odsunął z oczu kapelusz. Zdziwił się na dźwięk tego nazwiska.

Doskonale pamiętał pannę Marple, jej miłe zrównoważone zachowanie i zadziwiająca zdolność logicznego myślenia. Przypomniawszy sobie z tuzin nie rozwiązanych zagadek kryminalnych i sposób, w jaki poradziła sobie z nimi ta „typowa stara panna ze wsi”, nieomylnie docierając do sedna sprawy. Sir Henry żywił dla panny Marple głęboki szacunek.

Zastanawiał się teraz, co ją do niego sprowadzało.

Panna Marple siedziała w bawialni, wyprostowana jak zwykle, a koło niej stał koszyk na zakupy, pochodzący chyba z importu. Policzki miała zaróżowione i zdawała się bardzo podniecona.

— Sir Henry, tak się cieszę. Jak dobrze, że pana zastałam. Właśnie dowiedziałam się, że jest pan tutaj. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan...

— To dla mnie prawdziwa przyjemność widzieć panią — rzekł sir Henry ściskając wyciągniętą do niego rękę. — Obawiam się jednak, że pani Bantry wyszła z domu.

— Tak — rzekła starsza pani. — Widziałam ją, gdy przechodziłam koło rzeźnika, jak z nim rozmawiała. Wczoraj samochód rozjechał jego psa, Henry'ego Footita. To był

gładkowłosa foksterier, trochę grubawy i hałaśliwy, jak zwykle psy rzeźników.

— Tak — komisarz starał się podtrzymać rozmowę.

— Jestem rada, że nie ma pani Bantry w domu — ciągnęła dalej panna Marple. — To pana chciałam widzieć. Chodzi mi o tę smutną sprawę.

— O Henry'ego Footita? — z niedowierzaniem w głosie spytał sir Henry.

Panna Marple rzuciła mu spojrzenie pełne nagany.

— Nie, nie. O Rose Emmott, oczywiście. Czy pan słyszał?

— Bantry mi o tym mówił. Bardzo przykry wypadek.

Komisarz był nieco zaskoczony. Nie mógł zrozumieć, dlaczego panna Marple chciała się z nim widzieć w sprawie śmierci Rose Emmott.

Panna Marple ponownie usiadła. Komisarz również zajął miejsce. Gdy starsza pani zaczęła mówić, jej zachowanie zmieniło się. Nabrało powagi i godności.

— Być może pamięta pan, że raz czy dwa zdarzyło się nam brać razem udział w miłej zabawie. Podawanie zagadek kryminalnych i rozwiązywanie ich. Był pan uprzejmy twierdzić, że... że jakoś sobie z tym radziłam.

— Pobiła nas pani wszystkich na głowę — rzucił ciepło komisarz. — Wykazała pani wręcz geniusz w dochodzeniu prawdy. Pamiętam, że zawsze wzorowała się pani na jakichś podobnych historiach, które działy się w pani wiosce i które były dla pani kluczem do rozwiązania każdej sprawy.

Uśmiechnął się, gdy to mówił, ale panna Marple nie odwzajemniła jego uśmiechu.

Pozostała bardzo poważna.

— To co pan wtedy powiedział, ośmieliło mnie, by przyjść teraz. Przeczuwam, że jeśli panu to powiem, to przynajmniej nie będę wyśmiana.

Komisarz zdał sobie nareszcie sprawę, że panna Marple jest ogromnie przejęta.

— Z całą pewnością — zapewnił sir Henry.

— Sir Henry, ta dziewczyna, Rose Emmott — ona się nie utopiła, ją zamordowano... I ja wiem, kto ją zabił.

Komisarz z wrażenia zaniemówił na kilka sekund. Głos panny Marple brzmiał absolutnie spokojnie. Powiedziała to takim tonem, jakby mówiła o czymś najzupełniej zwyczajnym.

— To poważne oskarżenie, panno Marple — rzekł sir Henry, gdy odzyskał już mowę.

Starsza pani pokiwała łagodnie głową kilka razy.

— Wiem, wiem. Dlatego właśnie przyszedłam z tym do pana.

— Ależ, droga pani, nie jestem właściwą osobą. Dzisiaj nie mam już wpływu na te sprawy. Jeśli uważa pani, że zna prawdziwe fakty, proszę udać się z tym na policję.

— Nie mogę tego zrobić — powiedziała panna Marple.

— Dlaczego?

— Ponieważ, widzi pan, ja nie znam — jak pan powiedział — faktów.

— To znaczy, że tylko się pani domyśla?

— Może pan to tak nazwać, ale to niezupełnie tak jest. Ja wiem. Jestem w tej sytuacji, że wiem, ale gdybym powiedziała inspektorowi Drewittowi, skąd wiem — cóż, pewnie by się nieźle uśmieł. I prawdę mówiąc, nie miałabym do niego pretensji. Bardzo trudno zrozumieć to, co można by nazwać specyficznym wyczuciem.

— Takim jak? — dociekał komisarz.

Panna Marple uśmiechnęła się lekko.

— Jeśli powiedziałabym panu, że wiem, kto zabił Rose Emmott, ponieważ człowiek nazwiskiem Peasegood zostawił rzepę zamiast marchewki, gdy jeździł ze swym straganem po wsi i sprzedał jarzyny mojej siostrzenicy parenaście lat temu... — Urwała wymownie.

— Dobre nazwisko jak na domokrążcę — wymamrotał pod nosem komisarz. — To znaczy, że osądza pani tę sprawę po prostu na podstawie innej, podobnej.

— Znam naturę ludzką — rzekła panna Marple. — Nie można jej nie znać, gdy mieszka się w takim jak to miejscu przez wiele lat. Pytanie tylko, czy wierzy mi pan, czy nie?

Spojrzała komisarzowi prosto w oczy. Na policzki jej wypełzł rumieniec, ale oczy patrzyły odważnie na sir Henry'ego.

Komisarz miał olbrzymie doświadczenie życiowe. Nauczył się podejmować natychmiastowe decyzje, bez przelewania pustego w próżne. Jakkolwiek twierdzenie panny Marple mogłoby się wydawać mało prawdopodobne, wręcz fantastyczne, jednak sir Henry przyjął je bez zastrzeżeń.

— Naprawdę wierzę pani, panno Marple. Ale nie wiem, co mógłbym w tej sprawie zrobić i dlaczego przyszła pani do mnie.

— Myślałam nad tym i myślałam — rzekła starsza pani. — Jak już powiedziałam, nie byłoby sensu iść z tym na policję nie mając konkretnych faktów. Nie znam ich. Chciałabym prosić pana o jedno. O współpracę z inspektorem Drewittem, który przyjmie ją z ochotą, proszę mi wierzyć. Nawet jeśli sprawa trafi do nadinspektora, pułkownika Melchetta, ten również da się urobić jak wosk w pana rękach. Jestem pewna.

Spojrzała na komisarza Clitheringa prosząco.

— A na jakich danych miałbym się oprzeć?

— Myślałam, żeby napisać nazwisko — nazwisko przestępcy — na kawałku papieru i dać to panu. Jeśli w czasie śledztwa zdecyduje pan jednak, że ta osoba nie ma nic wspólnego ze sprawą, wtedy, no cóż, uznamy to za moją pomyłkę.

Przerwała na chwile, a potem dodała lekko się wstrząsając.

— To byłoby straszne, po prostu straszne, gdyby powieszono za to niewinnego człowieka.

— Cóż pani mówi — wykrzyknął wzburzony komisarz.

Panna Marple zwróciła do niego twarz z wyrazem strapienia.

— Być może się mylę, choć w gruncie rzeczy jestem pewna swego. Widzi pan, inspektor Drewitt jest naprawdę inteligentnym człowiekiem, ale inteligencja jest czasem najbardziej niebezpieczna. Nie prowadzi zwykle za daleko.

Sir Henry spojrzał na nią ciekawie.

Panna Marple nieporadnie otworzyła mały woreczek, wyjęła stamtąd notesik, wyrwała kartkę i starannie napisała na niej nazwisko, po czym złożyła ją na pół i podała komisarzowi.

On rozwinął kartkę i przeczytał nazwisko tam napisane. Nic mu nie mówiło, ale brwi jego lekko się uniosły. Spojrzał na pannę Marple i włożył kawałek papieru do kieszeni.

— No, no — powiedział. — To niezwykle. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Ale wspiera mnie moje zaufanie do pani, panno Marple.

Sir Henry siedział w pokoju z pułkownikiem Melchettem, nadinspektorem okręgu, i inspektorem Drewittem.

— Naprawdę mam uczucie, że wchodzę panom w paradę — rzekł sir Henry uśmiechając się z zażenowaniem — I nie potrafię nawet wyjaśnić, po co to robię. (Co było prawdą!)

— Ależ, drogi kolego, jesteście zachwyceni. To dla nas wielki dzień.

— Jesteśmy zaszczytzeni, sir Henry — zapewniał inspektor Drewitt.

A w duchu nadinspektor myślał: „Pewnie się, biedak nudził śmiertelnie u Bantrych.

Staruszek ciągle narzeka na rząd, a jego żona stale gada o sadzonkach”.

Inspektor Drewitt myślał: „Jaka szkoda, że nasz przeciwnik jest tak marny. Sir Henry to jeden z najlepszych detektywów w Anglii. A tu sprawa jasna jak słońce”.

Głośno nadinspektor powiedział:

— Obawiam się, że nie będzie za wiele komplikacji w tej sprawie. Pierwsza hipoteza brzmiała, że dziewczyna zabiła się sama. Spodziewała się dziecka, rozumie pan. A lekarz sądowy, doktor Haydock, jest bardzo staranny. Zauważył ślady zadrapań na ramionach ofiary.

Zrobione przed śmiercią. Tak, jakby ktoś chwycił ją mocno za ramiona i wrzucił do rzeki.

— Czy wymagało to dużej siły?

— Chyba nie. Nie było żadnych śladów walki, dziewczyna się nawet nie spostrzegła, co jej grozi. Tam jest drewniana kładka i łatwo stracić na niej równowagę. To było zupełnie proste zepchnąć ją stamtąd. Po tej stronie kładki nie ma poręczy.

— Czy wie pan na pewno, że to jest właśnie miejsce, gdzie wydarzyła się tragedia?

— Tak. Mamy zeznanie chłopca, Jimmy Browna. Ma dwanaście lat. Był w tym czasie w lesie po drugiej stronie. Słyszał jakiś krzyk na moście, a potem plusk. Zmierzchało się już, trudno było zobaczyć coś dokładnie. Ujrzał coś białego unoszącego się na wodzie, więc pobiegł po pomoc. Wyciągnięto ciało, ale za późno, by móc ją uratować.

Sir Henry pokiwał głową.

— Chłopiec nie widział nikogo na moście?

— Nie, ale jak już panu powiedziałem, zapadał zmierzch, a poza tym w tym miejscu zawsze wisi mgła. Mam go właśnie wypytać, czy nie widział nikogo przed lub po wypadku.

On przyjął, że dziewczyna sama rzuciła się do rzeki. Każdy tak myślał na początku.

— Mamy jeszcze tę notkę — powiedział inspektor Drewitt. Zwrócił się ku komisarzowi Clitheringowi.

— Była w ręce dziewczyny, sir. Napisana malarskim pastelem i chociaż rozmoknięta w wodzie, zdołaliśmy ją odcyfrować.

— Co było tam napisane?

— To było od młodego Sandforda i brzmiało: „W porządku. Spotkamy się przy moście o pół do dziewiątej. R.S.” O tej akurat porze lub parę minut po Jimmy Brown usłyszał krzyk i plusk.

— Nie wiem, być może widział pan Sandforda — ciągnął dalej pułkownik Melchett. —

Jest u nas około miesiąca. To jeden z tych młodych architektów, którzy budują przedziwne domy. Ten buduje dom dla Allingtonów. Bóg jeden wie, jak to będzie wyglądać — cały pełen wymyślnych nowości, jak sądzę. Stół w jadalni ze szkła, a krzesła niczym u chirurga zrobione z metalu i obite płótnem. Ni to przypiał, ni przyłatał, ale dokładnie określa Sandforda. Poza tym jest komunistą, wie pan, nie ma żadnych zasad moralnych.

— Uwiedzenie jest bardzo starym przestępstwem, ale nie tak starym jak zbrodnia — rzekł komisarz spokojnie.

Pułkownik Melchett popatrzył na niego z uwagą.

— Ach, tak — powiedział. — Racja. Zupełna racja.

— Cóż, sir Henry — rzekł Drewitt. — Jest to paskudna sprawa, ale zupełnie jasna. Ten młody Sandford wpędził dziewczynę w kłopoty. A potem chciał urwać się stąd jak najprędzej do Londynu. Ma tam dziewczynę, miłą młodą pannę, jest z nią zaręczony, a ślub już niedługo.

No i nagle ta sprawa, przez którą może brzydko wpaść, jeśli ona się dowie. Spotyka się więc z Rose przy moście, a jest mglisty wieczór i żywej duszy dokoła, bierze ją za ramiona i wtrąca do rzeki. Wstrętny łajdak, zasługuje na to, co go czeka. Takie jest moje zdanie.

Sir Henry siedział w milczeniu przez jakiś czas. Czuł wyraźnie podskórne uprzedzenie, jakie żywiła cała wieś do młodego Sandforda. Wymyślny architekt nie był za bardzo lubiany w St. Mary Mead.

— Przypuszczam, że nie ma żadnych wątpliwości, iż Sandford jest ojcem dziecka Rose?

— spytał.

— Jest ojcem z całą pewnością — rzekł Drewitt. — Rose wyznała to swemu ojcu.

Myślała, że zmusi go tym do ożenku. Akurat! Nie jego!!

„Rany boskie — pomyślał w duchu sir Henry. — Zdaje mi się, że cofnąłem się do czasów wiktoriańskiego melodramatu. Niewinna dziewczyna, pan z Londynu, srogi ojciec, zdrada —

brakuje nam tylko miejscowego adoratora. Tak, myślę, że najwyższa pora zapytać o niego”.

I głośno powiedział:

— Czy dziewczyna nie miała tu kogoś na miejscu?

— Ma pan na myśli Joe Ellisa? — stwierdził raczej, niż zapytał inspektor Drewitt. — Joe to porządny chłop. Zajmuje się stolarstwem. Ha, gdyby to jego się trzymała...

Nadinspektor Melchett skinął potakująco głową.

— Przede wszystkim swojej klasy społecznej — wyrzucił burkliwie.

— Jak Joe przyjął jej śmierć? — zapytał sir Henry.

— Nikt nie wie, jak to przyjął — powiedział inspektor. — To spokojny chłopak.

Zamknięty z sobą. Cokolwiek by Rose zrobiła, było dla niego święte. Owinęła go sobie dokoła palca, to pewne. Wydaje mi się, że czekał po prostu, aż pewnego dnia wróci do niego.

Taki był jego stosunek do tej sprawy.

— Chciałbym się z nim zobaczyć — powiedział sir Henry.

— Och, my także go chcemy przesłuchać — rzekł pułkownik Melchett. — Nie zaniedbujemy niczego. Już myślałem, by najpierw przesłuchać Emmotta, potem Sandforda, a następnie przejść się do Ellisa. Czy to panu odpowiada, Clithering?

Sir Henry potwierdził.

Znaleźli Toma Emmotta „Pod Błękitnym Dzikim”. Był roslym krzepkim mężczyzną w sile wieku, o rozbieganych oczach i potężnej szczęce.

— Miło was widzieć, panowie. Dzień dobry, pułkowniku. Przejdźcie tutaj, panowie.

Będziemy sami. Czy poczęstujecie się czymś? Nie? Cóż, jak chcecie. Przyszliście w sprawie mojej biednej Rose. Ach! To była dobra córka, moja dziewczuszka. Zawsze była dobra, dopóki ten młody bydlak — z przeproszeniem panów — zanim się tu nie przyszwędał. Obiecał, że się z nią ożeni, tak. Ale i na niego znajdzie się prawo. Mordujące bydlę. Przyniósł nam tylko wstyd. Moja biedna dziewczuszka!

— Pańska córka powiedziała panu wyraźnie, że Sandford jest odpowiedzialny za jej stan?

— oględnie zapytał Melchett.

— A jakże! W tym pokoju mi to powiedziała.

— A co pan jej odpowiedział? — spytał sir Henry.

— Co jej powiedziałem? — mężczyznę jakby zatknęło na chwilę.

— Tak. Czy nie groził jej pan przypadkiem, że wyrzuci ją z domu?

— Byłem zdenerwowany, to jasne. Chyba zgodzicie się ze mną, że miałem powody. Ale nie zrobiłbym tego. Nie mógłbym zrobić czegoś takiego. — Okazał święte oburzenie. — Nie.

Od czego jest prawo? No, po co jest prawo? Musiałby się z nią ożenić. A jeśli by nie chciał, to by drogo zapłacił. — Grzmotnął pięścią w stół.

— Kiedy widział pan córkę po raz ostatni? — zapytał Melchett.

— Wczoraj, koło podwieczorku.

— Jak się zachowywała?

— No, tak samo jak zawsze. Nic nie zauważyłem. Gdybym wiedział...

— Ale nie wiedział pan — rzucił sucho inspektor.

Wyszli stamtąd.

— Emmott nie prezentuje się zbyt sympatycznie — powiedział w zamyśleniu sir Henry.

— Kawał hultaja — rzekł Melchett. — Zadusiłby Sandforda własnymi rękami, gdyby tylko mógł.

Następnie poszli do młodego architekta. Rex Sandford wyglądał zupełnie inaczej, niż sir Henry podświadomie o nim myślał. Był wysokim, szczupłym młodzieńcem, o bardzo jasnych włosach. Jego niebieskie oczy miały marzycielski wyraz, a włosy były trochę przydługie i niesfornie przyczesane. Mówił w nieco kobiecy sposób.

Pułkownik Melchett przedstawił siebie i swoich towarzyszy. Potem przeszedł do sedna sprawy i poprosił architekta, by wyjaśnił, co robił poprzedniego wieczoru.

— Proszę zrozumieć mnie właściwie — rzekł ostrzegawczo. — Nie mam prawa zmuszać pana do zeznań i wszystko, co pan teraz powie, może być użyte przeciw panu. Chciałbym, by było to dla pana jasne.

— Nie... nie rozumiem — wyjąkał Sandford.

— Wie pan, że dziewczyna nazwiskiem Rose Emmott utopiła się wczoraj wieczorem? —

upewnił się pułkownik.

— Wiem. Och! To straszne! Nie zmrzyłem całą noc oka. Przez cały dzień nie mogłem pracować. Czuję się za to odpowiedzialny, okrutnie odpowiedzialny.

Przezcesał palcami włosy burząc je jeszcze bardziej.

— Nie chciałem zrobić nic złego — powiedział ze skrucą w głosie. — Nigdy nie sądziłem, nawet nie śniło mi się, że ona może to przyjąć w taki sposób.

Usiadł przy stole i schował twarz w dłonie.

— Czy mam rozumieć, panie Sandford, że odmawia pan odpowiedzi, gdzie był wczoraj około ósmej trzydzieści?

— Ależ nie, oczywiście, że nie. Nie było mnie w domu. Poszedłem się przejść.

— Wyszedł pan na spotkanie z Rose Emmott?

— Nie, byłem sam. W lesie. Przez cały czas.

— Więc jak wytłumaczyć tę notkę, proszę pana, którą znaleziono przy zmarłej w kieszeni?

Inspektor Drewitt przeczytał ją na głos beznamiętnym tonem.

— No więc, przeczy pan, że napisał tę kartkę?

— Nie, nie. Ma pan rację. Napisałem to. Rose prosiła mnie o spotkanie. Nalegała. Nie wiedziałem, co robić. Więc napisałem do niej.

— No, to już lepiej — rzekł inspektor.

— Ale ja tam nie poszedłem! — głos Sandforda przybrał wysokie tony podniecenia. —

Nie poszedłem! Czuję, że tak będzie lepiej. Nazajutrz miałem wracać do Londynu. Nie chciałem się z nią widzieć. Zamierzałem napisać do niej i... i jakoś to załatwić.

— Zdaje pan sobie sprawę, że dziewczyna spodziewała się dziecka i mówiła o panu jako o ojcu?

Sandford jęknął, ale nic nie odpowiedział.

— Czy to prawda?

Architekt ukrył twarz w dłoniach jeszcze głębiej.

— Tak sędzę — odpowiedział zduszonym głosem.

— Acha! — inspektor Drewitt nie ukrywał satysfakcji. — Niech pan opowie o tym

„spacerze”. Czy ktoś pana widział?

— Nie wiem. Chyba nie. Nie przypominam sobie, bym spotkał kogoś po drodze.

— Szkoda.

— Co pan ma na myśli? — wykrzyknął dziko Sandford wlepiając w niego wzrok. —

Jakie to ma znaczenie, czy byłem na spacerze, czy nie? Co to za różnica dla Rose, która się utopiła?

— Ha! Sęk w tym, panie Sandford, że nie zrobiła tego sama. Ktoś jej w tym pomógł.

— Ona... — upłynęła dobra chwila, zanim słowa inspektora dotarły do jego świadomości.

— Mój Boże! Więc... — odpadł ciężko na krzesło.

Pułkownik Melchett zbierał się do wyjścia.

— Rozumie pan, Sandford — powiedział. — Nie wolno panu bez wątpienia opuszczać domu.

Trzej mężczyźni wyszli od niego. Inspektor wymienił spojrzenia ze swymi zwierzchnikami.

— Wydaje mi się, że to wystarczy, sir — rzekł Drewitt.

— Tak. Trzeba przygotować nakaz aresztowania.

— Przepraszam panów — rzekł zniecka sir Henry. — Zapomniałem rękawiczek.

Wrócił pospiesznie do Sandforda, który siedział na krześle tak, jak go zostawili, patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem.

— Wróciłem panu powiedzieć, że osobiście jestem gotów zrobić wszystko, by panu pomóc. Powód mojego zainteresowania pańską osobą wolałbym na razie zatrzymać przy sobie. Chcę pana prosić, żeby — o ile to możliwe — opowiedział mi w skrócie, co zaszło między panem a tą dziewczyną, Rose.

— Była bardzo ładna — zaczął Sandford. — Bardzo ładna i pociągająca. Nie dawała mi spokoju. Klnę się na Boga, że to prawda. Zagięła na mnie parol. A ja czułem się tu bardzo samotny, nikt mnie nie lubił, a ona była zadziwiająco piękna i zdawała się wiedzieć, czego chce... — Głos zamarł mu w krtani. Podniósł wzrok na komisarza. — A potem stało się.

Chciała, bym się z nią ożenił. Nie wiedziałem, co robić. Jestem zaręczony z dziewczyną w Londynie. Jeśli się o tym dowie — a dowie się z pewnością — to zerwie ze mną. I będzie miała rację, bo jestem skończonym łajdakiem. Nie wiedziałem, co mam robić. Unikałem spotkania z Rose. Myślałem, że wrócę do miasta, skontaktuję się z moim adwokatem, by ustalić dla niej jakieś odszkodowanie pieniężne czy coś takiego. Boże, jakim byłem głupcem!

Wszystko jest jasne i przemawia przeciw mnie. Ale tamci panowie się myślą. Ona na pewno zabiła się sama.

— Czy groziła kiedykolwiek, że odbierze sobie życie?

Sandford przecząco pokiwał głową.

— Nigdy. Nie sędzę, by była do tego zdolna.

— A co z tym chłopcem, Joe Ellisem?

— Tym stolarzem? To poczciwiec ze wsi. Trochę tępą, ale wariował na punkcie Rose.

— Mógł być zazdrosny?

— Myślę, że tak. Ale on jest taki powolny. Cierpiałby chyba w milczeniu.

— Cóż, muszę już iść — zakończył rozmowę sir Henry.

Przyłączył się do swych kolegów po fachu.

— Wie pan, Melchett — powiedział. — Wydaje mi się, że powinniśmy rzucić okiem na tego Ellisa, zanim przedsięwziemy jakieś drastyczne kroki. Nie trzeba, by dokonał pan aresztowania, które miałyby się okazać pomyłką. Zazdrość jest równie poważnym powodem zabójstwa — i do tego częstym.

— To prawda — zgodził się nadinspektor. — Nie pasuje to jednak do Joe Ellisa. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Nikt nigdy nie widział, by stracił panowanie nad sobą. Wydaje mi się jednak, że trzeba go zapytać, gdzie był wczoraj wieczorem. Będzie teraz w domu.

Mieszka z panią Bartlett, poczciwą wdową, która dorabia sobie przyjmując pranie do domu.

Mały domek, do którego się skierowali, świecił wprost czystością i schludnością. Rosła, krzepka kobieta w średnim wieku otworzyła im drzwi. Twarz miała miłą i niebieskie oczy.

— Dzień dobry, pani Bartlett — powitał ją inspektor. — Czy zastaliśmy Joe Ellisa?

— Wrócił niedawno, jakieś dziesięć minut temu — odpowiedziała kobieta. — Wejdźcie, panowie, do środka, proszę.

Wycierając ręce w fartuch wprowadziła ich do małego pokoju bawialnego mieszczącego się od frontu, gdzie pełno było wypchanych zwierząt i porcelanowych psów. Stała tam sofa i różne meble niewiadomego przeznaczenia.

Pospiesznie przygotowała dla nich miejsca do siedzenia, pozbierała drobiazgi na półkę, by zrobić więcej miejsca, i wyszła wołając:

— Joe, jacyś panowie do ciebie.

Głos z kuchni odpowiedział:

— Zaraz tam będę, tylko się umyję.

Pani Bartlett uśmiechnęła się.

— Joe nie sprawia żadnego kłopotu? — spytał pułkownik Melchett niedbale.

— Nie wyobrażam sobie lepszego lokatora, sir. Spokojny młody człowiek. Nigdy nie pije ani kropli. Ceni swoją pracę. Zawsze uprzejmy i chętny do pomocy. Zrobił dla mnie te półki i nowy stół w kuchni. Dogląda wszystkich napraw w domu, a robi to tak, po prostu, nawet nie chce, bym mu dziękowała. Ach! Niewielu jest dzisiaj takich jak Joe, proszę pana.

— Jakaś dziewczyna będzie miała kiedyś szczęście — rzucił od niechcienia Melchett. —

Robił słodkie oczy do tej biednej Rose, prawda?

Pani Bartlett westchnęła.

— Aż przykro było patrzeć, naprawdę. Wielbił prawie ziemię, po której chodziła, a ona nie dbała o niego nawet tyle, ile brudu za paznokciem.

— Jak Joe spędzał wieczory, pani Bartlett?

— Tutaj, oczywiście. Czasem majsterkuje, a czasem uczy się listownie prowadzenia ksiąg.

— Ach, tak! A wczoraj wieczorem był w domu?

— Tak, proszę pana.

— Na pewno, pani Bartlett?

Kobieta obróciła się w jego stronę.

— Najzupełniej.

— Nigdzie nie wychodził między ósmą a pół do dziewiątej?

— Ależ nie! — Pani Bartlett roześmiała się. — Robił właśnie stół w kuchni przez cały wieczór, a ja mu pomagałam.

Sir Henry spojrzał na jej uśmiechniętą twarz i po raz pierwszy uczuł, jak ogarniają go wątpliwości.

W chwilę później Ellis wszedł do pokoju. Był wysokim, barczystym mężczyzną o trochę wiejskiej urodzie. Miał niebieskie oczy, które patrzyły nieśmiało, i dobroduszny uśmiech.

Całość robiła wrażenie dobrego, młodego olbrzyma.

Melchett zagadnął go. Pani Bartlett wycofała się do kuchni.

— Badamy okoliczności śmierci Rose Emmott. Pan ją znał, Ellis.

— Tak. — Zawahał się, a potem wykrztusił. — Miałem nadzieję, że się z nią kiedyś ożenię. Biedna dziewczyna.

— Wie pan, w jakim była stanie?

— Tak. — W oczach błysnął mu gniew. — Rzucił ją. Ale to dla jej dobra. Nie byłaby z nim szczęśliwa. Liczyłem, że przyjdzie do mnie, gdy to się stało. Zająłbym się nią.

— Mimo że...

— To nie była jej wina. Zwiódł ją niecnymi obietnicami. Powiedziała mi to. Nie miała powodu, by się topić. On nie był tego wart.

— Gdzie pan był Ellis, o ósmej trzydzieści wczoraj wieczorem?

Czy sir Henry'emu zdawało się, czy w jego odpowiedzi — nazbyt prędkiej, jakby z góry przygotowanej — krył się jakiś cień przymusu.

— Byłem w domu. Robiłem koło stołu dla pani B. Zapytajcie ją, to wam powie.

„Za szybko — pomyślał sobie sir Henry. — Nie jest przecież zbyt błyskotliwy, a to wyrzucił bez zastanowienia. Jakby wcześniej miał przygotowaną odpowiedź na to pytanie”.

Zaraz potem zganił się w myślach za zbyt wybujałą wyobraźnię. Komplikował sprawę, tak, najwyraźniej komplikował wyobrażając sobie, że zauważył jakiś błysk w niebieskich oczach chłopca.

Padło jeszcze kilka pytań i odpowiedzi, po czym wyszli na zewnątrz. Sir Henry przeprosił

na chwile i zajrzał do kuchni. Pani Bartlett była zajęta przy piecu. Popatrzyła na niego z miłym uśmiechem. Przy ścianie stał nowy stół, jeszcze niezupełnie gotowy. Trochę narzędzi i kawałków drewna leżało obok.

— To nad tym pracował wczoraj wieczór Ellis? — zapytał sir Henry.

— Tak, proszę pana. Ładny kawał roboty, prawda? To bardzo zdolny stolarz, ten Joe.

W jej oczach nie było ani podejrzliwości, ani zakłopotania.

Ale u Ellisa, czyżby sobie wymyślił? Nie, coś tam jednak było. „Muszę go jeszcze przepytac” — pomyślał sir Henry.

Gdy wychodził z kuchni potknął się o wózek dziecienny.

— Mam nadzieję, że nie obudziłem dziecka — przestraszył się.

Pani Bartlett roześmiała się.

— Ależ nie, proszę pana. Nie mam, niestety, dzieci. A na tym rozwożę pranie po ludziach.

— Och, rozumiem!...

Urwał w połowie zdania, a potem spytał jakby pod wpływem impulsu.

— Pani Bartlett, pani znała Rose Emmott. Niech mi pani powie, co myśli o tej dziewczynie.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— No, więc myślałam, że to latawica. Ale ona już nie żyje, a ja nie mam w zwyczaju źle mówić o zmarłych.

— Ale ja nie pytam bez powodu, i to ważnego powodu — nalegał sir Henry.

Rozważała to przez chwilę patrząc na niego uważnie. W końcu się zdecydowała.

— To było nic dobrego, ta dziewczyna — powiedziała spokojnie. — Nie powiedziałabym tego w obecności Joe. Owinęła go dokoła palca. Takie jak ona to potrafią, tym większa szkoda. Wie pan, jak to jest.

Tak, sir Henry wiedział, że tacy jak Joe wpadają najczęściej. Ufają ślepo i dlatego, gdy przejrzą nareszcie, wstrząs jest tym silniejszy.

Opuścił dom gubiąc się w domysłach. Stał przed murem nie do przebicia. Joe Ellis był

w domu cały wieczór. Pani Bartlett miała go na oczach. Co więc można z tym zrobić? Nie ma żadnego punktu zaczepienia. Z wyjątkiem tej podejrzenie szybkiej odpowiedzi.

— Cóż — powiedział Melchett. — To wydaje się przesądzać sprawę, prawda?

— Tak — zgodził się inspektor. — Sandford jest już nasz. Bez żadnych wątpliwości.

Sprawa jasna jak słońce. Według mnie dziewczyna i jej ojciec mogli szantażować go. Nie ma dużych pieniędzy i nie chce, by sprawa dotarła do jego narzeczonej. Był zrozpaczony i gotów na wszystko. Co pan na to? — zapytał zwracając się z szacunkiem do sir Henry'ego.

— Tak by się mogło wydawać — przyznał komisarz. — A jednak... nie wyobrażam sobie, by Sandford mógł się zdobyć na taki czyn.

Ale zdawał sobie sprawę, że to marny argument. Nawet najłagodniejsze zwierzę jest w stanie zaatakować, gdy czuje się przyparte do muru.

— Chciałbym mimo wszystko porozmawiać z tym chłopcem, który słyszał krzyk —

powiedział z nagłą.

Jimmy Brown okazał się inteligentnym malcem, dość małym jak na swój wiek, z ostrą, sprytną buzią. Poddał się przesłuchaniu z ochotą, trochę rozczarował się tylko, gdy wypytywano go, co słyszał tamtego wieczoru.

— Byłeś na drugim końcu mostu, jak zrozumiałem — zagadnął sir Henry. — Po drugiej stronie rzeki. Czy widziałeś tam kogoś?

— Ktoś spacerował po lesie. Chyba to był Sandford, ten architekt, który buduje taki śmieszny dom.

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie.

— To było na dziesięć minut, zanim usłyszałeś krzyk?

Chłopiec potwierdził.

— Czy widziałeś jeszcze kogoś na brzegu od strony wsi?

— Jakiś pan szedł tamtędy ścieżką, Szedł wolno i gwizdał. Mógł to być Ellis.

— Nie mogłeś zobaczyć, kto to był — przerwał mu ostro inspektor Drewitt. — Była mgła i już zmierzchało.

— To przez tę piosenkę poznałem — wyjaśnił chłopiec. — Joe Ellis zawsze gwizdże to samo „Chcę, by była szczęśliwa”, bo tylko to zna. — W głosie malca zabrzmiała nuta zniecierpliwienia, że musi wyjaśniać rzecz tak oczywistą.

— Każdy mógł gwizdać tę melodię — powiedział Melchett. — Czy ten człowiek przechodził przez most?

— Nie, odwrotnie. Szedł do wsi.

— Wydaje mi się, że niepotrzebnie byśmy zawracali sobie głowę tym nieznanym mężczyzną — powiedział Melchett. — Usłyszałeś krzyk i plusk, a w chwilę później zobaczyłeś ciało w wodzie i pobiegłeś po pomoc przez most do wsi. Czy nie widziałeś nikogo w pobliżu?

— Wydaje mi się, że szło dwóch mężczyzn z taczkami po ścieżce nad rzeką, ale z daleka nie widziałem dokładnie, czy szli do wsi, czy wracali. A pan Giles mieszka najbliżej, więc tam pobiegłem.

— Postąpiłeś bardzo mądrze — pochwalił chłopca Melchett. — Bardzo mądrze i roztropnie. Jesteś harcerzem, prawda.

— Tak, proszę pana.

— Bardzo dobrze. Bardzo dobrze.

Sir Henry milczał. Rozmyślał. Wyjął z kieszeni kawałek papieru, spojrzął na niego i pokiwał głową.

Wydaje się to mało prawdopodobne, a jednak... Postanowił odwiedzić pannę Marple.

Przyjęła go w swoim miłym, nieco zagraconym saloniku.

— Przyszedłem zdać sprawozdanie — rzekł sir Henry. — Obawiam się jednak, że patrząc z naszego punktu widzenia sprawa ma się nie najlepiej. Chcą aresztować Sandforda. I muszę przyznać, że mają powody ku temu.

— A więc nic pan nie znalazł, by — jakby to powiedzieć — podtrzymać moją teorię na ten temat? — Wydawała się zmieszana i zaniepokojona. — Musiałam się wobec tego pomylić, całkowicie pomylić. Pan ma tak duże doświadczenie, z pewnością nie pominąłby niczego, gdyby coś było.

— Z jednej strony nie wydaje mi się to prawdopodobne — rzekł sir Henry. — Ale nie można zaprzeczyć faktowi, że mamy do czynienia z alibi nie do podważenia. Joe Ellis przez cały wieczór mocował półki w kuchni, a pani Bartlett mu pomagała.

Panna Marple pochyliła się do przodu łapiąc gwałtownie powietrze.

— To niemożliwe — rzekła z mocą. — Przecież to był piątek wieczór.

— Piątek wieczór? — powtórzył sir Henry nie rozumiejąc.

— Tak, właśnie. Zawsze w piątek wieczorem pani Bartlett rozwozi pranie po ludziach.

Sir Henry odchylił się głębiej na krześle. Przypomniawszy sobie, co mały Jimmy opowiadał o gwizdzącym mężczyźnie. Tak, to by pasowało do reszty. Podniósł się z miejsca ciepło ujmując pannę Marple za rękę.

— Zdaje się, że już wiem — powiedział. — W każdym razie trzeba spróbować...

Pięć minut później był z powrotem w domku pani Bartlett i spoglądał prosto w twarz Joe Ellisowi, z którym rozmawiał w bawialni przepelnionej psami z porcelany.

— Ellis, skłamałeś nam wczoraj wieczorem — powiedział ostro. — Nie mocowałeś półek w kuchni między ósmą a pół do dziewiątej. Widziano cię przechodzącego nad rzeką w kierunku mostu na kilka minut przed zabójstwem Rose Emmott.

Chłopak gwałtownie złapał ustami powietrze.

— Jej nie zamordowano, nie. Musiała sama to zrobić, naprawdę. To do niej podobne. Ja nie tknąłbym nawet włosa na jej głowie, na pewno nie.

— Więc dlaczego skłamałeś, że cię tam nie było? — łagodnie spytał komisarz.

Chłopak podniósł oczy, po czym zaraz spuścił je z powrotem.

— Bałem się. Pani B. zobaczyła mnie tam i gdy dowiedzieliśmy się, co się stało, ona pomyślała, że

to niedobrze dla mnie. Ja powiedziałem, że zeznam, że pracowałem cały wieczór, a ona zgodziła się to potwierdzić. Taka kobieta to dziś rzadkość, naprawdę. Zawsze była dla mnie dobra.

Sir Henry bez słowa opuścił pokój i wszedł do kuchni. Pani Bartlett prała w zlewie.

— Pani Bartlett — rzekł komisarz. — Wiem wszystko. Myślę, że będzie lepiej, jeśli pani się przyzna, o ile nie chce pani, by powieszono Joe Ellisa za coś, czego nie zrobił... Nie, widzę, że pani tego nie chce. Powiem, jak to było. Wyszła pani z praniem z domu. Natknęła się pani na Rose Emmott. Pomyślała pani, że ona oszukuje Joe i ma się spotkać z tym obcym.

Teraz wpadła w kłopoty, a Joe gotów był spieszyć jej z pomocą. Ożeniłby się z nią, jeśli zaszłaby taka potrzeba i jeśli ona by się tylko zgodziła. Mieszkał z panią przez cztery lata.

Pani zakochała się w nim i nie chciała go stracić. Nienawidziła pani Rose, nie mogła pani znieść, że taka bezwartościowa dziewczyna mogłaby go pani zabrać. Jest pani silną kobietą, pani Bartlett. Chwyciła pani Rose za ramiona i wtrąciła do rzeki. Kilka minut później spotkała pani Joe. Widział was razem z daleka Jimmy, ale było już ciemno, więc wziął wózek za taczki, a was za dwóch mężczyzn. Zasugerowała pani Joe, że może być podejrzanym, i ustaliła pani z nim alibi, ale to pani było ono potrzebne, a nie jemu. No więc, mam rację czy nie?!

Wstrzymał oddech. Wyłożył wszystkie karty na stół. Pani Bartlett stała przed nim wycierając ręce w fartuch i z wolna decydując się mówić.

— Tak było, jak pan powiedział, sir — przemówiła w końcu spokojnym, opanowanym głosem (groźnym głosem, jak odczuł teraz sir Henry). — Nie wiem, co mnie naszło.

Bezwstydnicą, bo taka była. Ja nie miałam łatwego życia, sir. Mój mąż, biedak, był inwalidą i rzadko kiedy nie był zły. Pielęgnowałam go i opiekowałam się nim, jak tylko mogłam. A potem przyszedł mieszkać Joe. Nie jestem jeszcze stara, sir, mimo siwych włosów. Mam dopiero czterdzieści lat, sir. Takich jak Joe spotyka się jednego na tysiąc. Zrobiłabym dla niego wszystko, wszystko. Był jak małe dziecko, taki miły i ufny. To ja miałam się nim opiekować i troszczyć. A ta, ta... — Zakrztusiła się własnym gniewem, ale zaraz opanowała.

Nawet w takim momencie pozostała silną kobietą. Stała prosto i patrzyła na sir Henry'ego odważnie. — Jestem gotowa, sir. Nigdy nie myślałam, że to wyjdzie na jaw. Nie wiem, jak się pan dowiedział sir, naprawdę nie wiem.

Sir Henry pokiwał łagodnie głową.

— To nie ja się dowiedziałem — powiedział i pomyślał o skrawku papieru, który nadal leżał w jego kieszeni, i o słowach, które były na nim napisane starannym, staroświeckim pismem.

„Pani Bartlett, z którą mieszka Joe Ellis przy Mill Cottage 2”.

Panna Marple nie pomyliła się raz jeszcze.